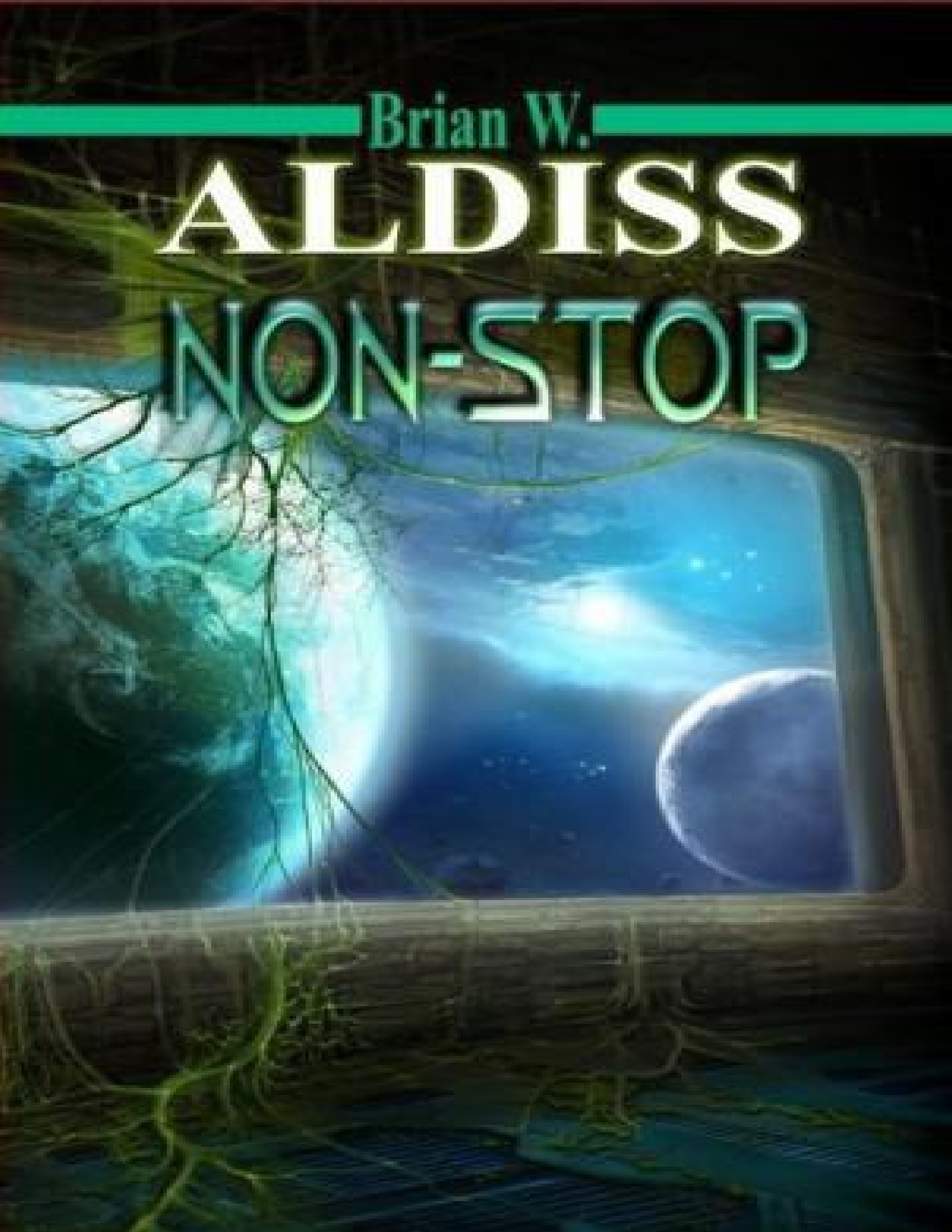


Brian W.

ALDISS

NON-STOP



# Brian W. Aldiss

## Non Stop

przekład : Marek Wagner

Powieść o bardzo interesującej fabule, której bohater Roy Complain stopniowo, krok po kroku, zdobywa niesamowitą i tragiczną wiedzę o swoim otoczeniu, należy do najwybitniejszych osiągnięć Aldissa.

Spółczesność, które nie zdaje sobie lub nie chce zdawać sobie sprawy ze swojego miejsca we wszechświecie, nie może uważać się za prawdziwie cywilizowane. Można powiedzieć, że posiada ono pewne fatalne w skutkach cechy, które czynią je do pewnego stopnia społeczeństwem niezrównoważonym. O takim właśnie społeczeństwie mówi ta książka.

Żadna idea będąca płodem ludzkiego umysłu nie jest nigdy, w odróżnieniu od miliarda czynników, które rządzą naszym wszechświatem, całkowicie zrównoważona. Nosi ona nieuchronnie wszystkie cechy ludzkiej słabości i może być albo zupełnie skromna i uboga, albo wspaniała i imponująca. Książka niniejsza mówi właśnie o takiej wspaniałej idei.

Dla społeczeństwa, o którym mowa; idea ta była czymś więcej: z czasem stała się sensem jego istnienia. Sama zaś, jak to się zdarza, okazała się błędna i zniszczyła to istnienie.

### Kabiny

Jak fala radaru odbita od jakiegoś odległego przedmiotu wraca do swego źródła, tak odgłos bicia serca Roya Complaina wypełniał w jego odczuciu całą otaczającą go przestrzeń. Stał w drzwiach swojego mieszkania słuchając gniewnego tętnienia pulsu w skroniach.

- Więc idź już sobie, jeżeli w ogóle masz iść, dobrze? Powiedziałeś przecież, że wychodzisz! Zjadliwy głos za plecami, głos Gwenny, przyspieszył jego decyzję. Wydając stłumiony pomruk wściekłości, zatrzasnął drzwi nie odwracając się, po czym stał trąc ręce aż do bólu, by się opanować. Tak właśnie wyglądało życie z Gwenny, najpierw kłótnie bez żadnego powodu, a potem te szalone, wyczerpujące jak choroba wybuchy gniewu. Co gorsza, nie był to nigdy zwykły, czysty gniew, tylko obrzydliwe, lepkie uczucie, które nawet przy największym nasileniu nie było w stanie zagłuszyć świadomości, że wkrótce będzie tu z powrotem przeproszając ją i poniżając się. Cóż... Complain nie mógł się bez niej obejść.

O tej wczesnej porze kręciło się jeszcze kilku mężczyzn. Później dopiero mieli ruszyć do swoich zajęć. Grupa siedząca na pokładzie grała w Skacz wzwyż. Complain podszedł do nich i nie wyjmując rąk z kieszeni ponuro obserwował przebieg gry ponad ich rozwichrzonymi głowami. Plansza do gry namalowana była na pokładzie i stanowiła kwadrat o boku równym podwójnej długości męskiego ramienia. Na planszy rozrzucone były bezładnie kostki i pionki. Jeden z grających pochylił się i przesunął swoje dwa pionki.

- Oskrzydlenie na pozycji piątej - stwierdził z bezlitosnym triumfem, po czym uniósł głowę i mrugnął konspiracyjnie do Complaina.

Complain odwrócił się obojętnie. Przez długi czas jego zainteresowanie tą grą było wręcz niezdrowe. Grał w nią nieustannie, tak długo, aż jego młode nogi przestały wytrzymywać ciągle siedzenie w kucki, a zmęczone oczy nie były w stanie dostrzec srebrnych pionków. Także na innych, prawdę mówiąc prawie na wszystkich, członków szczepu Greene gra ta rzuciła jakiś czar, dawała im poczucie przestrzeni i siły, a więc doznania, których ich normalne życie było całkowicie pozbawione. W tej chwili czar prysł i Complain był już od niego wolny, chociaż na pewno byłoby dobrze mieć znowu coś, co by podobnie absorbowało.

W smętnej zadumie powlókł się przed siebie nie zwracając prawie uwagi na znajdujące się po obu stronach drzwi, ale za to bystro obserwując przechodniów, jakby w oczekiwaniu jakiegoś sygnału. Nagle dostrzegł spieszącego do barykad Wantage'a, który odruchowo ukrywał swoją zdeformowaną lewą połowę twarzy przed ludzkimi oczami. Wantage nigdy nie brał udziału w grach towarzyskich. Nie znosił być otoczony ludźmi. Dlaczego Rada oszczędziła go, gdy był jeszcze dzieckiem? W szczepie Greene przychodziło na świat wiele zdeformowanych dzieci, ale oczekiwał je tylko nóż. Jako chłopcy nazywali Wantage'a "Dziurawą Gębą" i znęcali się nad nim, lecz obecnie, gdy wyrósł na silnego i agresywnego mężczyznę, ich stosunek do niego stał się bardziej tolerancyjny, a przytyki bardziej zawoalowane.

Nieświadom, że jego leniwe włóczenie się nabrało sensu, Complain także skierował się w stronę barykady podążając za Wantage'em. W okolicy tej znajdowały się najlepsze pomieszczenia przystosowane do użytku Rady. Drzwi jednego z nich otworzyły się gwałtownie i ukazał się sam porucznik Greene w towarzystwie dwóch oficerów. Wprawdzie Greene był już w mocno podeszłym wieku, ale jego rozdrażnienie i nerwowy chód nosiły jeszcze znamiona młodzieńczego temperamentu. Obok niego szli dumnie oficerowie Patcht i Zilliac z wyraźnie widocznymi paralizatorami wetkniętymi za pasy.

Ku wielkiej radości Complaina Wantage zaskoczony ich nagłym pojawieniem się wpadł w panikę i oddał wodzowi honory. Był to żałosny gest, głowa przyłożona do ręki zamiast na odwrót, co Zilliac skwitował wymuszonym uśmiechem. Służalczość była ogólnie obowiązującą zasadą, choć duma nie pozwalała się do tego przyznać.

Kiedy Complain miał ich mijać, postąpił zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem, to znaczy odwrócił się patrząc w inną stronę. Nikt nie miał prawa myśleć, że on, łowca, może być od kogokolwiek gorszy. Powiedziane było bowiem w Nauce: "Żaden człowiek nie jest gorszy od innych, chyba że sam odczuwa potrzebę okazania drugiemu szacunku".

W wyraźnie lepszym nastroju dogonił Wantage'a i położył mu rękę na lewym ramieniu. Wantage odwrócił się i przystawił mu do brzucha krótki, zaostrzony kij. Ruchy miał jak zawsze bardzo ekonomiczne, zachowywał się jak człowiek otoczony zewsząd nagimi ostrzami. Czubek kija spoczywał dokładnie w okolicy pępka Complaina.

- Spokojnie, piękniśiu. Czy zawsze tak witasz przyjaciół? - zapytał Complain odsuwając ostrze kija.

- Sądziłem... Przestrzeni, łowcze... Dlaczego nie jesteś na polowaniu? - spytał Wantage odwracając wzrok.

- Ponieważ idę w stronę barykad w twoim towarzystwie. Poza tym mój garnek jest pełny, a podatki zapłacone. Osobiście nie czuję potrzeby mięsa.

Szli w milczeniu. Complain usiłował znaleźć się po lewej stronie Wantage'a, który jednak do tego nie dopuszczał. Complain był ostrożny, bał się prowokować zbyt mocno Wantage'a, aby się na niego nie rzucił. Przemoc i śmierć były zjawiskiem powszechnym w Kabinach - tworzyły naturalną przeciwwagę dla wysokiego przyrostu naturalnego, nikt jednak nie umiera chętnie jedynie dla zachowania równowagi.

Blżej barykad korytarz był zatłoczony i Wantage oddalił się mamrocząc coś o porządkach, jakie musi jeszcze zrobić. Szedł pod ścianą, wyprostowany, z pełną goryczy godnością.

Główna barykada była drewnianą przegrodą, która całkowicie blokowała korytarz. Pilnowało jej stale dwóch strażników. W tym miejscu kończyły się Kabin i zaczynał labirynt splecionych glonów. Sama barykada była budowlą tymczasową, gdyż miejsce, w którym ją stawiano, ulegało stałym zmianom.

Szczep Greene miał charakter koczowniczy: niezdolność do uzyskania dostatecznych zbiorów i niezbędnej żywności zmuszała go do częstej zmiany miejsca. Polegało to na posuwaniu do przodu barykady przedniej, a cofaniu tylnej. Coś takiego działo się właśnie w tej chwili; spleciony glonów atakowana i niszczone na przodzie, mogła swobodnie rosnąć za nimi; w ten sposób szczep wdierał się powoli w niekończące się korytarze, jak czerw w gnijące jabłko. Za barykadą pracowali mężczyźni, którzy ścinali długie łodygi z taką energią, że jadalny sok tryskał im spod ostrzy. Łodygi te zabezpieczano potem celem zachowania możliwie największej ilości soku. Suchych tyczek, pociętych na równe części, używano później do najróżniejszych celów. Na samym przodzie, tuż przed migającymi ostrzami, odbywał się zbiór innych części roślin: liści dla celów leczniczych, młodych pędów jako specjalnego przysmaku, nasion o różnorodnym zastosowaniu, a więc jako pożywienia, guzików, sypanego balastu do kabinowej wersji tamburynu, pionków do gry Skacz wzwyż i wreszcie zabawek dla dzieci (były one na szczęście za duże, aby się zmieścić w zachłannych dziecięcych buziach).

Najtrudniejszym zadaniem przy oczyszczaniu terenu z glonów było karczowanie korzeni, które jak stalowa siatka rozciągały się pod powierzchnią wgrzyzając się niektórymi odnogami głęboko w pokład. Po wycięciu korzeni następna ekipa zbierała łopatom humus do worków. W tym miejscu próchnica była wyjątkowo głęboka, pokrywała pokład prawie na wysokość dwóch stóp, co wskazywało na to, że tereny te były zupełnie nie zbadane i nie przebywał tutaj żaden inny szczep. Pełne worki dostarczano do Kabin, gdzie w kolejnych pomieszczeniach zakładano nowe pola uprawne.

W trwającej przed barykadą pracy brała udział jeszcze jedna grupa mężczyzn i tę właśnie grupę obserwował z zainteresowaniem Complain. Byli to strażnicy. Wyżsi rangą od pozostałych, rekrutowali się wyłącznie spośród łowców i istniała pewna szansa, że którejś jawy Complain przy odrobinie szczęścia lub jako wyróżnienie wejdzie do tej godnej pozazdroszczenia klasy.

Gdy prawie jednolita ściana, jaką tworzyły splecione glony, została już wykarczowana, oczom ludzi ukazały się ciemne otwory drzwi. Pokoje znajdujące się za tymi drzwiami kryły rozliczne zagadki, tysiące dziwnych przedmiotów, czasem potrzebnych, czasem zupełnie zbędnych lub bez znaczenia, które stanowiły kiedyś własność zaginionej rasy Gigantów. Do obowiązków strażników należało wyważanie drzwi prowadzących do tych starożytnych grobowców i rozstrzyganie, co z ich

zawartości może być przydatne dla szczepu, oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem siebie samych. Po pewnym czasie zawartość albo rozdzielano, albo niszczone, w zależności od kaprysu Rady. Wiele z tego, co w ten sposób trafiało do Kabin, Komenda uznawała za niebezpieczne i paliła. Sama czynność otwierania drzwi nie była pozbawiona ryzyka, chociaż istniało ono bardziej w wyobraźni niż w rzeczywistości. W Kabinach krążyły pogłoski, że inne małe szczepy także walczące o byt w gęstej dżungli znikają cicho i bez śladu po otwarciu takich właśnie drzwi.

Complain nie był w tej chwili jedynym, któremu udzieliła się fascynacja pracą innych. Liczne kobiety, każda otoczona wianuszkami dzieci, stały obok barykady przeszkadzając swoją obecnością tym, którzy byli zajęci transportem próchnicy i glonów. Z cichym brzęczeniem much, których Kabin nigdy nie mogły się całkowicie pozbyć, łączyły się głosy dziecięce. Przy akompaniamencie tych dźwięków strażnicy otworzyli następne drzwi. Na chwilę zapadła cisza i nawet robotnicy rolni przerwali pracę patrząc z lękiem na stojący otworem pokój. Przyniósł on rozczarowanie. Nie zawierał nawet fascynującego i budzącego grozę szkieletu Giganta. Był niewielkim magazynem zastawionym półkami, na których leżały małe woreczki z różnokolorowym proszkiem. Dwa z nich, z kolorami jasnożółtym i szkarłatnym, spadły i popękały tworząc na pokładzie dwa wachlarze, a w powietrzu dwie mieszające się ze sobą chmurki. Rozległy się pełne zachwyty okrzyki dzieci, które rzadko widywały jakiegokolwiek koloru, a strażnicy, wydając krótkie, energiczne rozkazy, ustawili się w żywy transporter, zaczęli wynosić swoją zdobycz do czekającego za barykadą pojazdu.

Uświadomiwszy sobie pewien spadek napięcia Complain oddalił się. Może jednak mimo wszystko wybierze się na polowanie...

- Ale dlaczego tam w gęstwinie jest światło, skoro nie ma nikogo, kto by go potrzebował?

Pytanie to dotarło do Complaina pomimo gwaru. Odwrócił się i zobaczył, że zadał je jeden z małych chłopców zgromadzonych wokół siedzącego w kucki wysokiego mężczyzny. Obok stało kilka matek uśmiechając się pobłażliwie i opędzając leniwie od much.

- Światło potrzebne jest po to, aby glony mogły rosnąć; ty także nie mógłbyś żyć w ciemnościach - padła odpowiedź.

Okazało się, że udzielił jej Bob Fermour, człowiek ociężały i powolny, który z tych właśnie przyczyn nadawał się tylko do pracy w polu. Był wesoły nieco bardziej, niż na to zezwalała Nauka, i dlatego ogromnie lubiany przez dzieci. Complain przypomniał sobie, że Fermour miał opinię gawędziarza, i poczuł nagle gwałtowną potrzebę jakiejś rozrywki. Bez gniewu, który mu już przeszedł, czuł w sobie pustkę.

- A co tam było, zanim pojawiły się glony? - zapytała mała dziewczynka.

Dzieci wyraźnie próbowały w naiwny nieco sposób skłonić Fermoura do opowiadania.

- Opowiedz im historię świata, Bob - poradziła jedna z matek.

Fermour spojrzał z zakłopotaniem na Complaina.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - rzekł Complain - teorie znaczą dla mnie mniej niż te muchy.

Władze szczepu nie popierały teoretyzowania ani żadnych rozważań nie mających praktycznego znaczenia i to było przyczyną wahania Fermoura.

- No cóż, to są wszystko tylko domysły, ponieważ nie mamy żadnych zapisów z okresu

poprzedzającego pojawienie się szczepu Greene - rzekł Fermour - a jeżeli nawet coś jest, to i tak nie ma to wielkiego sensu. - Po czym patrząc uważnie na dorosłych słuchaczy dodał szybko: - Mamy poza tym ważniejsze sprawy na głowie niż roztrząsanie starych legend.

- Jaka jest historia świata, Bob? Czy jest ciekawa? - zapytał niecierpliwie jeden z chłopców.

Fermour odgarnął chłopcu włosy spadające mu na oczy i rzekł poważnie:

- Jest to najbardziej pasjonująca historia, jaką można sobie wyobrazić, ponieważ dotyczy ona nas wszystkich i całego naszego życia. Świat jest wspaniały. Zbudowany jest z licznych pokładów takich jak ten. Są to warstwy, które nie kończą się nigdzie, gdyż tworzą zamknięty okrąg. W ten sposób moglibyście iść bez końca i nigdy nie dotrzeć do kresu świata. Warstwy te wypełnione są tajemniczymi pomieszczeniami, z których jedne zawierają rzeczy dobre, a inne złe, zaś wszystkie bez wyjątku korytarze zarośnięte są glonami.

- A co z ludźmi z Dziobu? - spytał jeden z chłopców. - Czy to prawda, że mają zielone twarze?

- Dojdziemy i do nich - rzekł Fermour zniżając głos, tak że jego młodociani słuchacze z konieczności przysunęli się bliżej. - Mówiłem wam, co się stanie, jak będziecie trzymać się bocznych korytarzy. Ale gdybyście dostali się na Korytarz Główny, wyjdziecie na autostradę, która zaprowadzi was prosto w odległe części świata. W ten sposób możecie dotrzeć do terytorium Dziobowców.

- Czy to prawda, że oni wszyscy mają po dwie głowy? - zapytała mała dziewczynka.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Fermour. Są bardziej cywilizowani od naszego małego szczepu - znowu spojrzawszy uważnie na swych dorosłych słuchaczy - ale nie wiemy o nich wiele, ponieważ ich tereny dzieli od nas mnóstwo przeszkód. Waszym obowiązkiem jest, w miarę jak dorastacie, pogłębiać wiedzę o naszym świecie. Pamiętajcie, że bardzo wielu rzeczy nie wiemy, a poza naszym światem mogą być jeszcze inne, których istnienia możemy się tylko domyślać.

Dzieci wydawały się bardzo przejęte, ale jedna z kobiet roześmiała się i rzekła:

- Dużo będą mieli z tego pożytku, jak zaczną się zastanawiać nad czymś, czego pewnie w ogóle nie ma.

Complain odchodząc pomyślał, że w głębi duszy się z nią zgadza. Krążyło obecnie wiele tego typu teorii, mglistych i mocno zróżnicowanych, ale żadna nie znalazła poparcia u władz. Zastanawiał się, czy sporządzenie donosu na Fermoura poprawiłoby w czymś jego sytuację, ale na nieszczęście wszyscy ignorowali Fermoura, był bowiem zbyt powolny. Nie dalej jak w czasie ostatniej jawy został publicznie wychłostany za lenistwo wykazane w czasie prac polowych.

Complain miał w tej chwili inny problem do rozwiązania - iść czy nie iść na polowanie. Uświadomił sobie nagle, jak to ostatnio ciągle biegał niespokojnie do barykady i z powrotem. Zacisnął pięści... Czas przemija, sprzyjające okoliczności przemijają, a ciągle czegoś brak i brak... Complain i teraz - jak to zwykle robił od czasu dzieciństwa - gwałtownie wyężył umysł w poszukiwaniu tego elementu, który przecież powinien gdzieś być, a którego nigdy nie znajdował. Niejasno zdawał sobie sprawę, że zupełnie bezwiednie przygotowuje się do jakiegoś kryzysu, jakiejś gwałtownej zmiany. Tak jakby wzbierała w nim gorączka, czuł jednak, że będzie to coś dużo gorszego.

Zaczął biec. Długie, intensywnie czarne włosy spadały mu na oczy. Był bardzo niespokojny. Jego młoda twarz była silna i sympatyczna mimo nieznacznej tendencji do tycia. Linia szczęki

wskazywała na charakter, usta na odwagę. A jednak nad wszystkim dominowała jałowa gorycz - posępny w sumie wygląd, właściwy wszystkim prawie członkom szczepu. Trzeba przyznać, że Nauka wykazała ogromną mądrość zalecając, aby ludzie nie patrzyli sobie prosto w oczy.

Complain biegł prawie na oślepi, pot zalewał mu czoło. Zarówno w sen, jak i za jawy w Kabinach było ciepło i ludzie łatwo się pocili. Nikt nie zwrócił na niego uwagi; bezsensowna bieganina była w szczepie zjawiskiem nagminnym, wiele osób próbowało w ten sposób uciec przed prześladowającymi je zmorami. Complain wiedział tylko jedno: musi wrócić do Gwenny, gdyż tylko kobiety posiadały magiczną zdolność dawania zapomnienia.

Kiedy wpadł do ich kwatery, stała bez ruchu trzymając w ręku filiżankę herbaty. Udawała, że go nie widzi, ale jej nastrój uległ zmianie, szczupła twarz wyrażała napięcie. Była silnie zbudowana, a jej masywne ciało dziwnie kontrastowało z tą drobną twarzą. W tej chwili cała jej postać wyrażała stanowczość, jakby przygotowywała się na fizyczny atak.

- Nie patrz tak, Gwenny. Nie jestem przecież twoim śmiertelnym wrogiem - niezupełnie to zamierzał jej powiedzieć, a i ton nie był dostatecznie pojednawczy, ale na jej widok gniew mu częściowo wrócił.

- Owszem, jesteś moim śmiertelnym wrogiem - powiedziała z naciskiem nadal nie patrząc na niego - nikogo nie darzę taką nienawiścią jak ciebie.

- Daj mi w takim razie łyk swojej herbaty i miejmy nadzieję, że to mnie otruje.

- Bardzo bym tego chciała - powiedziała głosem pełnym jadu, podając mu filiżankę.

Znał ją dobrze. Jej gniew nie był podobny do jego gniewu. Jemu przechodził powoli - jej błyskawicznie. Mogła dać mu w twarz, a w sekundę potem się z nim kochać. I wtedy robiła to najlepiej.

- Rozchmurz się - rzekł. - Wiesz przecież, że kłócimy się jak zwykle o nic.

- O nic? A więc Lidia to dla ciebie nic? Tylko dlatego, że zmarła zaraz po urodzeniu... nasze jedyne dziecko, a ty mówisz, że to nic?

- Lepiej nazywać ją niczym, niż używać jej jako pretekstu do kłótni, prawda? - Skorzystał z tego, że Gwenny wyciągnęła rękę po filiżankę, i posuwając dłoń po jej nagim ramieniu zręcznie wsadził palce w dekolt bluzki.

- Przestań! - krzyknęła wrywając się. Jesteś obrzydliwy! Nie potrafisz myśleć o niczym innym, nawet kiedy do ciebie mówię! Puszczaj mnie, wstrętny bydlaku.

Ale on nie puścił. Zamiast tego objął ją drugim ramieniem i przyciągnął do siebie. Usiłowała go kopnąć. Zręcznie podciął jej kolana i upadli razem na podłogę. Kiedy przybliżył twarz, próbowała ugryźć go w nos.

- Precz z rękami! - zawołała z trudem łapiąc oddech.

- Gwenny... Gwenny, kochanie... - wyszeptał pieszczotliwie.

Jej zachowanie zmieniło się gwałtownie. Zacięta czujność ustąpiła rozmarzeniu.

- A zabierzesz mnie potem na polowanie?

- Oczywiście. Zrobię wszystko, co zechcesz.

To, czego Gwenny chciała lub nie chciała, nie miało jednak większego wpływu na dalszy bieg wypadków, gdyż w tym samym momencie wpadły zadyszane dwie jej kuzynki Ansa i Daise zawiadamiając, że jej ojciec Ozbert Bergass poczuł się gorzej i wzywa ją do siebie. Zachorował na gnilec postępowy jedną sen-jawę temu i Gwenny odwiedziła go już raz w jego odległym miejscu zamieszkania. Panował ogólny pogląd, że nie pociągnie długo. Tak się zwykle kończyły choroby w Kabinach.

- Muszę do niego iść - powiedziała Gdvenny.

Separacja dzieci od rodziców bywała w sytuacjach krytycznych przestrzegana nie tak surowo, a prawo zezwalało na odwiedzanie ciężko chorych.

- To był dla nas nieoceniony człowiek rzekł uroczyście Complain. Ozbert Bergass był starszym przewodnikiem przez wiele snów-jaw i jego śmierć stanowiłaby dla szczepu odczuwalną stratę, mimo to Complain nie wyraził chęci odwiedzenia teścia; wszelkie sentymenty szczep Greene starał się wykorzenić. Po wyjściu Gwenny udał się zaraz na rynek, aby spotkać się z wyceniaczem Ernem Rofferym i dowiedzieć się, ile obecnie kosztuje mięso. Po drodze minął zagrody dla zwierząt. Były one obficie niż zazwyczaj wypełnione zwierzyną domową, o smaczniejszym i delikatniejszym mięsie niż dzikie zwierzęta chwymane przez łowców. Roy Complain nie był myślicielem, ale tego paradoksu nie potrafił sobie wytłumaczyć: nigdy dotąd szczep nie prosperował tak dobrze, nigdy hodowla się tak wspaniale nie rozwijała, żeby nawet najprostszy robotnik mógł jeść mięso co cztery sen-jawy, a za to on, Complain, był teraz biedniejszy niż kiedykolwiek. Polował więcej, ale coraz mniej łowił i coraz mniej za to dostawał. Wielu łowców, którzy stanęli wobec tego samego problemu, porzuciło łowiectwo i zajęło się czym innym.

Nie będąc w stanie skojarzyć logicznie niskich cen, jakie Roffery ustanowił na dziczyznę, z obfitością pożywienia, ten smutny stan rzeczy Complain kładł na karb niechęci, jaką wyceniacz żywił do całego klanu łowców.

Complain z determinacją przepchnął się przez tłum wypełniający rynek i niezbyt grzecznie zwrócił się do wyceniacza.

- ...strzeni dla twojego ja.

- Twoim kosztem - odrzekł z ożywieniem wyceniacz podnosząc głowę znad długiej listy, nad którą właśnie ślęczał. - Mięso dziś spadło, łowcze. Trzeba mieć duże ścierwo, aby zarobić sześć sztuk.

- Flaki się we mnie przewracają! Jak cię widziałem ostatnim razem, mówiłeś, że spadła cena zboża, krętaczu jeden.

- Wyrażaj się grzeczniej, Complain, twoje własne ścierwo nie jest dla mnie warte ani grosza. Owszem, mówiłem ci, że cena zboża spadła, bo to prawda, ale cena mięsa spadła jeszcze bardziej.

Wyceniacz z zadowoleniem nastroszył swoje sumiaste wąsy i wybuchnął śmiechem. Kilku innych mężczyzn kręcących się w pobliżu przyłączyło się do ogólnej wesołości. Jeden z nich, przysadzisty, śmierzący osobnik zwany Cheap, miał ze sobą stos okrągłych puszek, które zamierzał korzystnie wymienić na targu. Gwałtownym kopnięciem Complain rozrzucił je dokoła. Z wściekłym rykiem Cheap skoczył, aby je pozbierać, walcząc jednocześnie z tymi, którzy już zdążyli je pochwycić. Na ten widok Roffery zaczął śmiać się jeszcze bardziej, ale fala jego śmiechu zmieniła niejako swój kierunek. Nie była już wymierzona przeciw Complainowi.



- Ciesz się, że nie żyjesz wśród Dziobowców - rzekł Roffery pocieszająco - ci ludzie czynią istne cuda. Wyczarowują jadalną zwierzynę ze swego oddechu, po prostu łapią ją w powietrzu i nie potrzebują wcale łowców. Gwałtownie trzepnął muchę, która usiadła mu na karku. - Udało im się także zlikwidować przekleństwo, jakim są te owady...

- Bzdura! - rzekł stary człowiek stojący obok.

- Nie sprzeczasz się ze mną, Eff - rzekł wyceniacz - chyba że wyżej cenisz swoje straty od dochodów.

- To jest bzdura - potwierdził Complain. - Nie ma chyba takiego idioty, co by uwierzył w miejsce bez much.

- Ja za to świetnie wyobrażam sobie miejsce bez Complaina! - wrzasnął Cheap, który zdążył już pozbierać swoje puszki i stał groźnie koło Complaina. Patrzyli teraz na siebie gotowi do bójki.

- No już, lej go! - zawołał wyceniacz do Cheapa. - Pokaż mu, że ja nie życzę tu sobie łowców, którzy przeszkadzają mi w interesach.

- A odkąd to śmieciarz ma więcej do powiedzenia w Kabinach niż łowca? - zwrócił się do wszystkich stary człowiek zwany Effem. Ostrzegam was, złe czasy nadchodzą dla szczepu. Jestem szczęśliwy, że ja już tego nie będę oglądał.

Dookoła rozległy się pomruki pełne drwiny i dezaprobaty dla starczego sentymentalizmu.

Zmęczony nagle tym towarzystwem Complain rozepchnął tłum i odszedł. Zauważył, że stary człowiek idzie za nim, więc kiwnął mu ostrożnie głową.

- Widzę to jak na dłoni - rzekł Eff najwyraźniej pragnąc kontynuować swój smętny monolog. - Stajemy się mięczakami. Wkrótce nikt nie będzie chciał opuszczać Kabin ani Wycinać glonów. Nie będzie żadnej podniety... Nie będzie odważnych mężczyzn, tylko same żarłoki i gogusie. Wkrótce dojdą do tego choroby, śmierć i ataki innych szczepów - widzę to tak dokładnie jak ciebie, i tam, gdzie żył szczep Greene, wyrośnie dżungla.

- Słyszałem, że Dziobowcy są porządni przerwał tę tyradę Compian - że posługują się rozumem, a nie czarami.

- Pewnie słuchałeś tego typu Fermoura lub jemu podobnych - rzekł opryskliwie Eff. Niektórzy ludzie chcą nas oślepić, abyśmy nie odróżniali naszych prawdziwych wrogów. Nazywam ich ludźmi, ale to nie są ludzie, to Obcy. Obcy, łowcze - istoty nadprzyrodzone. Gdyby bo ode mnie zależało, kazałbym ich pozabijać. Chciałbym przeżyć znowu polowanie na czarownice. Tak, chciałbym, ale obecnie nie poluje się już na czarownice. Kiedy byłem dzieckiem, stale mieliśmy takie polowania. Mówię ci, że szczep robi się za miękki, za miękki. Gdyby to ode mnie zależało...

Zasapał się i umilkł mając przed oczyma prawdopodobnie obraz jakiejś dawnej, ogromnej masakry. Complain na widok zbliżającej się Gwenny odszedł prawie nie zauważony.

- Jak ojciec? - spytał.

Wykonała dłonią ruch pełen rezygnacji.

- Wiesz dobrze, co to jest gnilec - powiedziała bezbarwnym głosem. - Uda się w Długą Podróż, zanim minie następna sen-jawa.

- W pełni życia stajemy w obliczu śmierci rzekł uroczyście Complain. - Bergass był człowiekiem pełnym godności.

- A Długa Podróż zawsze ma swój początek - dokończyła za nim cytat z Litanii. Nic więcej nie da się zrobić. Jak na razie mam serce ojca i twoją obietnicę. Chodźmy, Roy. Weź mnie w glony na polowanie, proszę cię...

- Mięso spadło do sześciu sztuk za ścierwo - rzekł - nie warto iść, Gwenny.

- Za sztukę można wiele kupić, na przykład naczynie na czaszkę mego ojca.

- To obowiązek twojej macochy.

- Chcę iść z tobą na polowanie.

Znał ten ton. Odwracając się gniewnie ruszył bez słowa w stronę przedniej barykady. Gwenny potulnie podążyła za nim.

Polowanie stało się wielką pasją Gwenny. Uwalniało ją to od Kabin, gdzie kobietom nie wolno było oddalać się samotnie z terenu zajmowanego przez szczep, a poza tym polowanie ją podniecało. Nie brała udziału w samym zabijaniu, skradała się tylko jak cień za Complainem tropiąc zwierzęta zamieszkujące gąszcze. Pomimo rozwiniętej hodowli zwierząt domowych i wynikającego stąd spadku cen dziczyzny, Kabiny nie były w stanie pokryć wzrastającego zapotrzebowania na mięso. Szczep znajdował się stale na krawędzi kryzysu. Powstał dopiero dwie generacje temu, założony przez Dziada Greene, i jeszcze przez pewien czas nie mógł być samowystarczalny. W gruncie rzeczy każdy poważniejszy wstrząs lub wypadek mógł doprowadzić do rozproszenia się ludzi, którzy zaczęliby szukać szczęścia wśród innych szczepów.

Początkowo Complain i Gwenny szli ścieżką biegnącą tuż za przednią barykadą, ale po chwili skręcili w gęstwinię. Kilku łowców i łapaczy, których spotkali po drodze, zniknęło i ogarnęła ich teraz samotność - szeleszcząca samotność dżungli. Complain prowadził Gwenny w górę wąskim przesmykiem, przedzierając się raczej między łodygami, niż wycinając je. W ten sposób pozostawiali za sobą mniej widoczny ślad. Na szczycie stanęli i Gwenny zaczęła rozglądać się niespokojnie ponad jego ramieniem.

Pojedyncze glony parły do światła z ogromną, chociaż krótkotrwałą energią, tworząc gęste pęki nad ich głowami. Z tej przyczyny oświetlenie było dość nikłe i bardziej podniecało wyobraźnię, niż umożliwiało widzenie. Do tego dochodziły jeszcze muchy i chmary drobnych owadów snujące się jak dym między liśćmi; widoczność była bardzo ograniczona, sceneria wręcz nierealna. Tym razem jednak nie było żadnych wątpliwości: przyglądał im się jakiś mężczyzna o małych oczach i kredowobiałym czole. Znajdował się trzy kroki przed nimi, a jego postawa wyrażała czujność. Wielki tors był nagi, a za całą odzież służyły mu szorty. Wpatrywał się w jakiś punkt na lewo od nich, ale było tak, że im dłużej mu się przyglądali, tym wszystko wydawało się mniej jasne, z wyjątkiem faktu, że mężczyzna stał tam naprawdę. Nagle zniknął.

- Czy to był duch? - syknęła Gwenny. Ujmując paralizator w rękę Complain ruszył naprzód. Prawie już zdołał przekonać siebie, że dał się oszukać grze cieni; wrażenie to wywołała szybkość, z jaką obserwator zniknął im z oczu. W chwili obecnej nie pozostał po nim żaden ślad, z wyjątkiem zdeptanych roślin w miejscu, gdzie przed chwilą stał.

- Nie idźmy dalej - wyszeptała nerwowo Gwenny - to mógł być Dziobowiec albo Obcy.

- Nie bądź śmieszna - odrzekł Complain. Wiesz dobrze, że istnieją dzicy ludzie ogarnięci szaleństwem, którzy żyją samotnie w zaroślach. On nie wyrzuci nam żadnej krzywdy. Gdyby chciał do nas strzelać, zrobiłby to już wcześniej.

Pomimo tych słów mrowie go przeszło na myśl, że włóczęga może ich ~w tej chwili obserwować szykując im pewną i niewidzialną jak zaraza śmierć.

- Ale on miał taką białą twarz - zaprotestowała Gwenny.

Ujął ją zdecydowanie pod ramię i ruszył naprzód. Im prędzej znikną z tego miejsca, tym lepiej.

Szli szybko, przekraczając po drodze szlak wędrowek dzikich świń, po czym weszli w boczny korytarz. Tutaj Complain przywarł plecami do ściany zmuszając Gwenny, aby zrobiła to sama.

- Słuchaj uważnie i patrz, czy nikt za nami nie idzie - rzekł.

Głony szumiały i szeleściły, a niezliczone owady też zakłócały ciszę. Razem urosło to do hałasu, który rozsądzał Complainowi głowę. Wśród tej gamy dźwięków można było wyodrębnić jeden, którego tu być nie powinno.

Gwenny usłyszała go także.

- Zbliżamy się do innego szczepu - wyszeptała. - Tutaj jest jeden po drodze.

Dźwięk, który usłyszeli, był płaczem i wołaniem dziecka, zdradzającym obecność szczepu na długo przed dotarciem do barykady, na długo, zanim poczuli zapach. Jeszcze kilka jaw temu teren ten zamieszkiwały wyłącznie świnię, co dowodziło, że nadszedł jakiś inny szczep, z innego poziomu, i powoli zbliżał się do łowisk Greene.

- Zameldujemy o tym po powrocie - rzekł Complain prowadząc Gwenny w przeciwnym kierunku.

Posuwali się bez trudu naprzód, licząc po drodze zakręty, aby nie zabłądzić. Weszli w sklepioną alejkę po lewej stronie, trzymając się widocznego śladu świni. Teren ten był znany jako Schody Rufowe i tu z wysokiego wzgórza schodziło się na niższe poziomy. Spoza zbocza doszedł ich trzask łamanych łodyg i wyraźny kwik. To była na pewno świnię.

Nakazując Gwenny, aby pozostała na szczycie wzgórza, Complain zsunął łuk z prawego ramienia, założył strzałę i zaczął ostrożnie schodzić w dół. Krew łowcy tętniła mu w żyłach, zapomniał o wszystkich kłopotach, poruszał się jak cień. Oczy Gwenny zwrócone były na niego z niemą zachęta.

Mając wreszcie dosyć miejsca, aby osiągnąć swe właściwe rozmiary, glony wyrastały z dolnych poziomów na kształt smukłych drzew, a ich korony tworzyły w górze jednolite sklepienie. Complain podkradł się do samego brzegu i spojrzał w dół: między wysokimi glonami, chrząkając z zadowoleniem, poruszało się zwierzę. Complain nie mógł dostrzec miotu, chociaż popiskiwanie wskazywało na obecność małych.

Schodząc ostrożnie w dół zboczem i przedzierając się pomiędzy wszechobecnymi glonami poczuł nagle chwilowy żal nad życiem, które miał zaraz zniszczyć. Życie świni! Stłumił w sobie natychmiast to uczucie, Nauka nie aprobowała litości.

Obok maciory kręciły się trzy prosiaki, dwa czarne i jeden brązowy. Były to kudłate,

długonogie podobne do wilków stworzenia o ruchliwych nozdrzach i długich ryjach. Maciora odwróciła się nadstawiając dogodnie do strzału szeroki bok. Podniosła podejrzliwie łeb i małymi oczkami rozglądała się wokoło.

- Roy! Roy! Na pomoc! - dobiegł z góry przeraźliwy krzyk. Był to pełen lęku krzyk Gwenny.

Rodzina świń rzuciła się do ucieczki z ogromną szybkością; młode dzielnie podążały przez gęstwinę za matką. Hałas, jaki czyniły, nie zagłuszył całkowicie odgłosu szamotania dochodzącego ze szczytu.

Complain nie wahał się ani chwili. Zaskoczony pierwszym krzykiem Gwenny upuścił strzałę i nie próbując jej nawet podnieść zarzucił łuk na prawe ramię, wyciągnął paralizator i pognął Schodami Rufowymi w górę. Ale porastająca zbocze gęstwina utrudniała bieg, więc gdy osiągnął wreszcie szczyt, Gwenny już tam nie było.

Po lewej stronie usłyszał jakie trzask i pomknął w tym kierunku. Biegł schylony, by stanowić jak najmniejszy cel, i w pewnej chwili zobaczył dwóch brodatych mężczyzn niosących Gwenny. Nie broniła się, wyglądało na to, że została ogłuszona.

Mało brakowało, by padł ofiarą trzeciego mężczyzny, którego przedtem nie zauważył. Mężczyzna ten pozostał nieco w tyle i ukryty wśród łądyg osłaniał odwrót towarzyszy, teraz zaś wypuścił wzdłuż korytarza strzałę, która gwizdnęła Complainowi koło ucha. Complain rzucił się na ziemię unikając w ten sposób następnej strzały i szybko odpełził do tyłu. Nikomu nic z tego nie przyjdzie, że zginie.

Zapadła cisza przerywana tylko zwykłym chrzęstem nienaturalnie rosnących roślin. Nikomu też nic nie przyjdzie z tego, że będzie żył obie te prawdy uderzyły go jak obuchem w głowę. Stracił zdobycz i Gwenny, a teraz czekała go rozprawa z Radą, której będzie musiał wytłumaczyć, jak doszło do tego, że szczep został pozbawiony jednej kobiety. Szok zagłuszył w pierwszym momencie świadomość, że utracił Gwenny. Complain nie kochał jej, często jej nienawidził, ale była jego, była mu nieodzowna...

Na szczęście wzbierający w nim gniew przytłumił inne uczucia. Gniew. To było właściwe lekarstwo, zgodne z zaleceniem Nauki. Chwycił garść gleby i cisnął ją przed siebie - jego gniew wzmagął się. Szaleństwo, szaleństwo, szaleństwo... rzucił się na ziemię, miotał, przeklinał - wszystko w absolutnej ciszy.

Po pewnym czasie wzburzenie zaczęło słabnąć pozostawiając pustkę. Przez długą chwilę siedział podpierając głowę rękami, czuł, że mózg ma wyjałowiony jak muł po przypiływie. Nie pozostawało mu nic innego, jak wstać i wracać do Kabin. Musi złożyć raport... Głowę miał teraz pełną smutnych myśli.

Mógłbym tu siedzieć bez końca. Wietrzyk jest taki lekki, ma stale tę samą temperaturę; bardzo rzadko jest ciemno. Wokół mnie glony rosną, padają, gniją... Nic mi tutaj nie grozi, najwyżej śmierć...

Ale tylko żyjąc będę mógł znaleźć to coś brakującego, co jest bardzo ważne... Coś, co sobie obiecałem będąc jeszcze dzieckiem. Może teraz już nigdy tego nie odnajdę, a może Gwenny mogła to dla mnie odnaleźć - nie, tego ona nie mogła zrobić, ona mi to coś zastępowała, muszę przyznać. A może tego w ogóle nie ma? Ale jeżeli coś tak ważnego nie istnieje, to to już jest jakaś forma istnienia. Otwór. Ściana. Kapłan mówi, że zdarzył się kataklizm...

Mogę sobie niemal to coś wyobrazić. Jest ogromne... Ogromne jak... czy może być coś większego niż świat? Nie, bo to byłby właśnie świat... Świat, statek, ziemia, planeta... To teorie innych ludzi, nie moje... To tylko żaloszny zamęt, teorie niczego nie rozwiązują, tylko coraz większy zamęt, żaloszny bełkot... Wstawaj, ty słaby głupcze.

Wstał. Jeżeli powrót do Kabin nie miał sensu, to siedzenie tutaj tym bardziej. Ale przede wszystkim powstrzymywała go od powrotu świadomość, jak obojętna będzie reakcja: staranne unikanie spojrzeń, głupie uśmiešky na temat losu, jaki spotkał Gwenny, i kara za jej utracenie. Powoli ruszył z powrotem przedzierając się przez gąszcz glonów.

Zanim pojawił się na polanie przed barykadą, zagwizdał. Został rozpoznany i wpuszczony do Kabin. W czasie jego krótkiej nieobecności w Kabinach zaszły duże zmiany, których nie mógł, mimo przygnębienia, nie zauważyć.

Poważny problem szczepu Greene stanowiło ubranie, na co wskazywała jego różnorodność. Nie było dwóch identycznie ubranych ludzi, i to z konieczności, gdyż indywidualizm bynajmniej nie był cechą rozpowszechnioną. Ubranie nie służyło szczepowi dla ochrony przed zimnem - z jednej strony okrywało nagość i zaspokajało próżność, z drugiej stanowiło łatwy sposób ustalania pozycji społecznej. Tylko elita, a więc strażnicy, łowcy i ludzie na stanowisku, tacy jak wyceniasz, mogli pozwolić sobie na coś w rodzaju munduru, pozostali tworzyli jednolity tłum ubrany w różnego rodzaju tkaniny i skóry.

W tej chwili stare i bezbarwne ubrania wyglądały jak nowe. Największe ciury paradowały w pięknych zielonych ciuchach.

- Co tu się do diabła dzieje, Butch? - spytał Complain przechodzącego obok mężczyznę.

- Przestrzeni dla twojego ja, przyjacielu odparł zapytany. - Strażnicy znaleźli dziś rano skład z farbami. Ufarbuj się. Szykuje się wielka uroczystość.

Nie opodal zebrał się tłum rozprawiający w podnieceniu. Wzdłuż pokładu poustawiano paleniska, na których - niby kotły czarownic stały wypełnione wrzącą zawartością wszelkie dostępne naczynia. Żółty, szkarłatny, czerwony, fioletowy, czarny, granatowy, niebieski, zielony, miedziany - wszystkie te kolory gotowały się, wrzały i parowały. Stłoczony tłum co chwila zanurzał w farbie jakąś część garderoby. Wśród obłoków pary niecodziennie podnieceni ludzie krzyczeli przeraźliwie.

Nie było to jedyne zastosowanie farby. Z chwilą gdy zapadła decyzja, że Radzie jest ona niepotrzebna, strażnicy rozrzucili woreczki barwników do ogólnego użytku. Wiele woreczków rozpruto, a ich zawartość wysypano na ściany i podłogi. Całe osiedle udekorowane było obecnie okrągłymi, podłużnymi i wachlarzowatymi barwnymi plamami.

Rozpoczęły się tańce. W wilgotnej jeszcze odzieży, niby ruchome tęcze, które stapiały się w brązowe kałuże, mężczyźni i kobiety zebrani na otwartej przestrzeni zaczęli wirować w koło trzymając się za ręce. Jakiś łowca wskoczył na skrzynkę i zaczął śpiewać, za nim wskoczyła kobieta w żółtej sukni i stała klaszcząc rytmicznie w dłonie; ktoś inny uderzał w tamburyn. Coraz więcej ludzi dołączało się śpiewając, skacząc wokół kotła po pokładzie... I tak tańczyli w radosnym zapamiętaniu, bez tchu, pijani orgią kolorów, których większość nigdy w życiu nie widziała.

Rzemieślnicy i niektórzy strażnicy, początkowo sztywni, porwani ogólnym nastrojem, przyłączyli się powoli do tańczących. Z pokojów, gdzie trwały prace polne, z barykad nadbiegali mężczyźni pragnąc także wziąć udział w ogólnym święcie.

Complain obrzucił to wszystko ponurym spojrzeniem, po czym odwróciwszy się na pięcie odszedł w kierunku Komendy, aby złożyć raport. Jeden z oficerów wysłuchał w milczeniu jego opowieści, po czym kazał mu zgłosić się bezpośrednio do porucznika Greene. Strata kobiety mogła być potraktowana jako poważne przewinienie. Szczep Greene liczył mniej więcej dziewięćset dusz, z czego prawie połowę stanowili małoletni, zaś kobiet było zaledwie około stu trzydziestu. W tej sytuacji nikogo nie mogło dziwić, że walki o kobiety były źródłem najczęstszych zamieszek w Kabinach.

Complaina zaprowadzono przed oblicze porucznika. Otoczony strażnikami, przy biurku pamiętającym lepsze czasy, siedział stary mężczyzna ze spadającymi na oczy siwymi krzaczastymi brwiami. Mimo tego że siedział zupełnie bez ruchu, całą postacią wyrażał niezadowolenie.

- Przestrzeni dla pańskiego ja - rzekł potulnie Complain.

- Twoim kosztem - odpowiedział szorstko porucznik, po czym burknął: - Łowcze Complain, w jaki sposób straciłeś swoją kobietę?

Urywaniem głosem opisał Complain zajście na szczycie Schodów Rufowych.

- To mogła być robota Dziobowców - zasugerował na zakończenie.

- Nie opowiadaj tutaj tych bzdur! - warknął jeden ze współpracowników Greene'a, Zilliac. - Słyszeliśmy już te historyjki o nadludziach, ale nie dajemy im wiary. Szczep Greene jest panem wszystkiego po tej stronie Bezdroży.

W miarę jak Complain snuł swoją opowieść, porucznik robił się coraz bardziej zły. Zaczął drzeć, jego oczy napełniły się łzami, z wykrzywionych ust ściekała na brodę ślina, a z nosa kapał śluz. W miarę narastania furii biurko zaczęło się rytmicznie kołysać. Greene trząsał się, bełkotał, a jego twarz pod burzą potarganych siwych włosów zrobiła się sina.

Pomimo strachu Complain musiał przyznać, że było to niepowtarzalne, acz przerażające widowisko.

Nagle nastąpiło przesilenie: porucznik wprost gotując się z wściekłości upadł i znieruchomiał. W tej samej chwili Zilliac i Patcht stanęli nad jego ciałem z wydobytymi paralizatorami. Twarze im drgały z gniewu.

Wolno, bardzo wolno, drżąc nadal, porucznik wstał i z trudem wdrapał się na krzesło. Był wyraźnie wyczerpany całym tym rytuałem.

Szlag go kiedyś przy tym trafi - pomyślał Complain, i ta myśl pokrzepiła go nieco.

- Teraz trzeba będzie rozstrzygnąć, jak cię ukarać zgodnie z prawem - rzekł starzec z wysiłkiem. Rozejrzał się bezradnie po pokoju.

- Gwenny nie była pożyteczna dla szczepu, pomimo że była córką tak znamienitego ojca rzekł Complain zwilżając wargi. - Nie mogła mieć dzieci, proszę pana. Mieliśmy tylko jedną dziewczynkę, która zresztą umarła jeszcze przed odstawieniem od piersi. Gwenny nie mogła mieć więcej dzieci, proszę pana, tak mówił kapłan Marapper...

- Marapper to kawał durnia! - zawołał Zilliac.

- Twoja Gwenny była bardzo zgrabna, pięknie zbudowana - rzekł Patcht. - Na pewno dobra w

łóżku.

- Znasz prawa, młody człowieku - rzekł porucznik. - Ustanowił je mój dziad, kiedy zakładał ten szczepek. Obok Nauki mają one ogromne znaczenie dla naszego... dla naszego życia. Co to za hałasy na zewnątrz? Tak, mój dziad to był wielki człowiek. Pamiętam, jak w dniu, w którym umarł, posłał po mnie...

Wprawdzie strach nie opuścił go jeszcze, ale Complain w nagłym olśnieniu ujrzał ich wszystkich czterech takimi, jakimi byli naprawdę: zapatrzeni w siebie, innych dostrzegali na tyle tylko, na ile odnajdowali w nich własne lęki. Izolowani i samotni, skłóceni ze wszystkimi dokoła.

- Jaki ma być wyrok? - przerwał ostro wspomnienia porucznika Zilliac.

- Czekaj, niech pomyślę... Jesteś już właściwie ukarany stratą kobiety, Complain. Chwilowo nie ma dla ciebie żadnej innej. Co to za wrzaski?

- On - musi zostać przykładowie ukarany, bo inaczej powiedzą, że pan traci władzę - rzekł chytrze Patcht.

- Ależ oczywiście, oczywiście, ja mam szczerzy zamiar go ukarać. Twoja uwaga była zupełnie niepotrzebna, Patcht. Łowcze... ee... aha, Complain, w ciągu następnych sześciu sen-jaw otrzymasz sześć razy chłostę, którą wykona kapitan straży przed każdym snem, zaczynając od zaraz. Dobrze. Możesz iść. Zilliac, na miłość boską, idź zobacz, co tam się dzieje.

Complain znalazł się za drzwiami w samym sercu orgii kolorów i dźwięków. Wydawało się, że zgromadzili się tu wszyscy, że wszyscy biorą udział w tym bezsensownym szaleństwie tańca i radości. Normalnie przyłączyłby się do nich, gdyż tak jak każdy pragnął zrzucić z siebie choćby na chwilę ciężar szarej codzienności, ale w obecnym nastroju starannie omijał tłum usiłując nie patrzeć nikomu w oczy. A jednak mimo wszystko zwlekał z powrotem do swojego mieszkania (wiadomo było, że zostanie z niego usunięty, gdyż samotni mężczyźni nie mieli prawa do własnego pokoju). Snuł się bezsensownie wokół rozbawionego tłumu i gdy dokoła szalał taniec., on czuł w żołądku ciężar oczekującej go kary. Poszczególne grupy odłączały się od głównej masy i parami miotaly się w takt muzyki jakichś instrumentów strunowych. Ogłuszający hałas, gwałtowne ruchy głów i palców tancerzy... - patrząc na to postronny widz mógł znaleźć wiele powodów do niepokoju.

Kilku mężczyzn nie brało udziału w ogólnym szaleństwie. Byli to przede wszystkim wysoki, posępny lekarz Lindsey, Fermour, zbyt niezdarzy, aby tańczyć, Wantage, stale ukrywający swą napiętnowaną twarz przed oczyma tłumu, i wreszcie biczownik publiczny. Ten ostatni miał po prostu obowiązki, w ramach których zjawił się w odpowiednim czasie w otoczeniu strażników u Complaina. Brutalnie ściągnięto ze skazańca ubranie, po czym otrzymał pierwszą porcję należnej mu kary. W normalnych warunkach wymierzaniu kary towarzyszył tłum gapiów, ale tym razem ciekawsze widowisko odciągnęło ich uwagę i Complain cierpiał prawie samotnie. Następnego dnia mógł się spodziewać większego zainteresowania.

Przykrywając koszulą rany z trudem skierował się do swego mieszkania. Czekał tam na niego kapłan Marapper.

Kapłan Henry Marapper był tęgim, masywnie zbudowanym mężczyzną. Przykucnięty cierpliwie, oparł się biodrem o ścianę, a jego wielki, obwisły brzuch kołysał się przed nim miarowo. Pozycja, w której siedział, była dla niego normalna, nietypowa była za to pora, w której się zjawił. Complain stanął przed skurczoną postacią kapłana oczekując powitania lub wyjaśnień, ponieważ jednak nic

takiego nie nastąpiło, musiał przemówić pierwszy. Duma nie pozwoliła mu jednak na nic więcej, jak tylko nieokreślone mruknięcie. Marapper uniósł do góry brudną łapę.

- Przestrzeni dla twojego ja, synu. - Twoim kosztem, ojcze.

- I kosztem niepokoju w mojej jaźni - wyrecytował nabożnie kapłan, po czym nie usiłując nawet wstać, wykonał zwyczajowy przyklęk jako symbol gniewu.

- Zostałem wychłostany, ojcze - rzekł Complain nabierając jednocześnie kubek żółtawej wody z dzbanka. Wypił parę łyków, a resztę zużył na zwilżenie i wygładzenie włosów.

- Tak, słyszałem, Roy, słyszałem. Mam nadzieję, że przyniosło ci to ulgę?

- Owszem, ale wyraźnie kosztem mojego grzbietu.

Zaczął ściągać koszulę; robił to powoli, wzdrygając się. Ból, jaki wywołało tarcie materiału o rany, był prawie przyjemny. Oczywiście w czasie następnej sen-jawy będzie dużo gorzej... Rzucił pokrwawioną odzież na podłogę i splunął na nią. Jego irytację powiększała obojętność, z jaką kapłan przyglądał się jego zabiegom.

- A ty co, nie na tańcach, Marapper? spytał cierpko.

- Moje obowiązki związane są z duchem, a nie zmysłami - odparł nabożnie kapłan. - Poza tym znam lepsze sposoby na zapomnienie.

- Jak na przykład porwanie w gąszczu, prawda?

- Ciesz się, że tak poważnie traktujesz swoją sprawę, przyjacielu. To zgodne z Nauką. Obawiałem się, że zastanę cię w czarnej rozpacz, ale jak widzę, moja pociecha nie jest ci, na szczęście, potrzebna.

Complain spojrział na twarz kapłana, unikając jego łagodnego spojrzenia. Nie była to twarz przyjemna - w tej chwili przypominała raczej jakiegoś bożka prymitywnie ulepionego z tłuszczu, pomnik cnót, dzięki którym człowiek przetrwał: chytryści, zachłanności, egoizmu. Nie mogąc sobie dać rady z samym sobą Complain poczuł nagle przyływ życzliwości do tego człowieka - jego przynajmniej zna, z nim sobie poradzi.

- Niech cię nie obraża stan moich nerwów, ojcze - rzekł. - Wiesz już o tym, że utraciłem swoją kobietę i moje życie nie jest w tej chwili wiele warte. Cokolwiek osiągnąłem - a nie było tego wiele - straciłem, a to, co zachowałem, zostanie mi odebrane siłą. Przyjdą strażnicy, którzy wychłostali mnie dzisiaj i wychłostczą jutro, po to aby mnie stąd wyrzucić do samotnych mężczyzn i małych chłopców. Żadnych nagród za udane polowanie, żadnej pociechy w nieszczęściu. Prawa tego szczepu są zbyt surowe, kapłanie, sama Nauka pełna jest okrutnych sformułowań, cały ten dławiący nas świat to nic innego, jak tylko jedno źródło nieszczęść. Dlaczego tak musi 'być? Dlaczego nie ma żadnych widoków na szczęście, żadnej nadziei? Co tam zresztą, i tak chyba zwariuję jak kiedyś mój brat. Przedrę się przez ten tłum durniów i każdego z nich napiętnuję moim nieszczęściem.

- Oszczędź mi dalszego słuchania - przerwał kapłan. - Mam dużą parafię, którą się muszę zająć. Mogę wysłuchać twojej spowiedzi, ale wybuchy gniewu zatrzymaj dla siebie.

Wstał, przeciągnął się i poprawił brudny płaszcz na ramionach.

- Ale co my mamy z takiego życia? - zapytał Complain tłumiąc w sobie nieodparte pragnienie



zaciśnięcia rąk na tłustej szyi kapłana. - Po co tu jesteście? Jaki jest cel istnienia tego świata? Jako kapłan powiedz mi to otwarcie.

Marapper westchnął głęboko i uniósł obie dłonie w niemym proteście.

- Moje dzieci, wasza ignorancja jest wstrząsająca, ileż w was zawziętości! Mówisz „świat”, a masz na myśli ten śmieszny i mało znaczący szczep. Świat to coś więcej. My, glony, Bezdroża, Dziobowcy - słowem wszystko - znajdujemy się w pewnego rodzaju pojemniku zwanym statkiem, lecącym z jednej części świata do drugiej. Mówiłem ci to już wielokrotnie, tylko ty tego nie możesz pojąć.

- Znowu te teorie - odparł ponuro Complain. - Co z tego, że świat nazywamy statkiem albo że statek jest światem, gdy to dla nas nie ma i tak żadnego znaczenia.

Z niewiadomych przyczyn teoria ta, ogólnie nie ciesząca się poważaniem w Kabinach, niepokoiła go i budziła lęk. Zacisnął wargi i rzekł:

- Chciałbym teraz zasnąć, ojczu. Sen przynajmniej przynosi spokój, a ty opowiadasz tylko zagadki. Czy wiesz, że czasem mi się śnisz? Zawsze mówisz mi we śnie coś, co powinienem zrozumieć, ale nie wiadomo dlaczego, nie mogę nigdy usłyszeć z tego ani słowa.

- I nie tylko we śnie - rzekł uprzejmie kapłan odwracając się. - Chciałem cię spytać o coś ważnego, ale to będzie musiało poczekać. Wrócę tu jutro i mam nadzieję zastać cię w lepszym nastroju, nie zdanego wyłącznie na łaskę adrenaliny - dodał wychodząc.

Przez długi czas Complain patrzył na zamknięte drzwi, nie słysząc zupełnie hałasu dochodzącego z zewnątrz, i wreszcie ze znużeniem wdrapał się na puste łóżko.

Sen nie nadchodził. Nadeszły za to wspomnienia niekończących się kłótni, jakie odbywał z Gwenny w tym pokoju - poszukiwań bardziej brutalnego czy miażdżącego argumentu - bezowocnych pojednań. Trwało to długo, ale ten rozdział był obecnie zamknięty; w tej chwili Gwenny spała już z kimś innym. Complain zauważył, że odczuwa mieszane uczucia, żalu i zadowolenia jednocześnie. Analizując wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły porwaniu Gwenny, przypomniał sobie nagle upiorną postać, która na ich widok rozplynęła się wśród glonów. Usiadł gwałtownie na łóżku zaniepokojony czymś, co wydawało się groźniejsze niż niesamowite okoliczności, w jakich rozwiła się owa tajemnicza postać. Za drzwiami panowała cisza. Gonitwa jego myśli musiała trwać dłużej, niż to sobie wyobrażał; tańce skończyły się, a tancerzy ogarnął sen. Tylko jego świadomość przebijała się przez śmiertelny całun ciszy spowijający korytarze Kabin. Gdyby w tej chwili otworzył drzwi, usłyszałby nieustający szelest - odgłos wzrostu glonów... Pod wpływem napięcia nerwowego sama myśl o otwarciu drzwi wydała mu się okropna... Przypomniały mu się legendy, jakie krążyły w Kabinach - legendy o tajemniczych, zadziwiających istotach...

Przede wszystkim ci tajemniczy ludzie z Dziobu... Tereny te leżały bardzo daleko, a ich mieszkańcy odznaczałi się jakimiś nieznanymi siłami, tajemniczą bronią i zupełnie odmiennymi zwyczajami. Powoli zbliżali się przez gęstwinę glonów i w przyszłości, w każdym razie tak głosiła legenda, mieli rozprawić się ze wszystkimi pozostałymi szczepami. Ale chociaż Dziobowcy byli straszni, nie ulegało wątpliwości, że są przynajmniej ludźmi.

Mutanci z kolei byli podludźmi. Wygnani ze swoich szczepów, żyli samotnie lub w małych grupach w plątaninie glonów. Mieli za wiele zębów lub kończyn, czasem za mało kory mózgowej, a na skutek licznych wad rozwojowych ledwie mogli uciekać utykając czy nawet czołgając się. Byli

płochliwi i z tej przyczyny przypisywano im mnóstwo dodatkowych niesamowitych cech.

I wreszcie Obcy. Nie byli to ludzie... W snach starców, takich jak Eff, pojawiali się nieustannie. Powstali w nadnaturalny sposób z gorącego czarnoziemnego gąszczu, a ich mateczniki leżały w miejscach, gdzie jeszcze nikt nie dotarł. Nie mieli serca ani płuc, ale zewnętrznie przypominali ludzi, dzięki czemu mogli żyć nie zauważeni wśród zwykłych śmiertelników, zbierając siły, by potem - jak wampiry krew wysysać z człowieka wszelką moc. Od czasu do czasu szczepy urządzały na nich polowania; rozcinano wtedy ciała podejrzanych, ale z reguły stwierdzano u nich obecność serca i płuc. Ten przykład wskazywał najlepiej, jak nieuchwytni byli Obcy, ale w ich istnienie nie wątpił nikt, czego najlepszym dowodem był sam fakt organizowania polowań. Nawet w tej chwili mogli gromadzić się za drzwiami, stanowiąc groźbę w rodzaju milczącej postaci, która zniknęła wśród glonów.

Tak wyglądała prymitywna mitologia szczepu Greene, przy czym nie różniła się ona zasadniczo od podobnych okropności opowiadanych wśród innych szczepów wędrujących powoli przez region znany pod nazwą Bezdroży.

W tej mitologii odrębne miejsce zajmowali Giganci. O Dziobowcach, mutantach i Obcych wiedzano przynajmniej, że istnieją: co pewien czas wywlekano z zarośli żywego mutantą i zmuszano, by tańczył tak długo, aż znudzeni ludzie wysyłali go w Długą Podróż. Wielu wojowników przysięgało, że stoczyli zacięte pojedynki z Dziobowcami i Obcymi. A jednak wszystkie te trzy gatunki miały w sobie coś nieuchwytnego; w czasie jawy, w towarzystwie, łatwo było nie dawać wiary ich istnieniu.

Inaczej przedstawiała się sprawa z Gigantami. Byli oni absolutnie realni. Kiedyś wszystko należało do nich, cały świat był ich własnością, niektórzy twierdzili nawet, że ludzie pochodzą od Gigantów. Ich zdobycze były widoczne wszędzie, ich wielkość oczywista. Gdyby kiedykolwiek chcieli powrócić, wszelki opór byłby niecelowy.

Poza wszystkimi fantastycznymi postaciami majaczyła jeszcze jedna, bardziej zresztą symbol niż konkretny twór. Zwano ją Bogiem. Nikt nie odczuwał przed nim lęku, ale jego imię wymawiano rzadko, tak że dziw, w jaki sposób przetrwało z pokolenia na pokolenie. Wiązało się z tym powiedzenie „na miłość boską”, co brzmiało bardzo górnolotnie, ale nie oznaczało nic konkretnego. W ten sposób pojęcie Boga zostało ostatecznie sprowadzone do łagodnego przekleństwa.

A jednak to, co Complain zauważył dziś w gęstwinie glonów, było bardziej alarmujące niż cokolwiek innego. Wśród tych rozmyślań przypominał sobie jeszcze jeden fakt: płacz, który słyszeli oboje z Gwenny. Te dwa oddzielne fakty złożyły się nagle w całość: nie znany człowiek i zbliżający się szczep. Ten mężczyzna nie był żadnym Obcym- ani nikim równie tajemniczym; był zwykłym łowcą z krwi i kości, tyle że z innego szczepu. A więc wyjaśnienie okazało się aż tak proste...

Complain, odprężony, położył się. Odrobina dedukcji podniosła go na duchu. Wprawdzie miał do siebie lekką pretensję, że prędzej nie wpadł na właściwe rozwiązanie, odczuwał jednak pewną dumę odkrywając w sobie nieznane dotąd zdolności.

Zbyt mało posługiwał się rozsądkiem. Wszystko, co robił, było zbyt automatyczne: rządziło tym lokalne prawo, Nauka lub jego własny humor; należało to zmienić od zaraz. Od tej chwili będzie inny, taki jak powiedzmy - no, jak Marapper. Będzie oceniał rzeczy, ale oczywiście niematerialne, tak jak Roffery wyceniał towar.

Na próbę trzeba będzie pozbierać pewne fakty, które złożą się w całość; za pomocą tej metody i dostatecznej liczby danych może uda się nawet wytłumaczyć sensownie koncepcję statku.

Prawie niezauważalnie zapadł w sen...

Kiedy się zbudził, nie powitał go zapach gotujących się potraw. Usiadł sztywno, jęknął i drapiąc się po głowie wylazł z łóżka. Przez chwilę wydawało mu się, że przytłacza go całkowicie przygnębienie, po pewnym jednak czasie poczuł, jak gdzieś w głębi budzi się w nim energia. Zamierzał działać, czuł potrzebę działania; na czym zaś ma ono polegać - pokaże czas. Coś Wielkiego pojawiło się znowu jak obietnica.

Naciągnął spodnie, podreptał do drzwi i otworzył je. Na zewnątrz panowała dziwna cisza. Complain wyszedł.

Hulanki skończyły się, a ich uczestnicy, nie zadając sobie nawet trudu powrotu do domu, leżeli wśród barwnych szczątków tam, gdzie zaskoczył ich sen. Spali bezsensownie na twardym pokładzie lub przebudzeni leżeli bez ruchu i tylko dzieci czyniły jak zwykle harmider, zmuszając swoje senne matki do większej aktywności. Kabin przypominały pole bezkrwawej bitwy, dla której ofiar cierpienie jeszcze się nie skończyło.

Complain stąpał cicho między śpiącymi. W mesie prowadzonej przez samotnych mężczyzn miał nadzieję dostać coś do jedzenia. Zatrzymał się na chwilę przy parze kochanek leżącej na planszy od Skacz wzwyż. Mężczyzną był Cheap; ramię, którym obejmował pulchną dziewczynę, ginęło pod jej sukienką. Jego twarz była na Orbicie, a ich nogi przecinały Drogę Mleczną. Małe muszki łaziły jej po nogach i znikały pod sukienką.

Z daleka zbliżała się jakaś postać, w której Complain z niechęcią poznał swoją matkę. W Kabinach istniało prawo, niezbyt skrupulatnie przestrzegane, że dziecko powinno zerwać kontakty z siostrami i braćmi, gdy dosięgnie głową bioder dorosłego, a z matką - gdy sięgnie jej pasa. Myra była jednak kobietą kłótliwą i upartą, jej język nie przestrzegał żadnych praw i rozmawiała ze swymi licznymi dziećmi, gdy tylko nadarzyła się okazja.

- Witaj, matko - mruknął Complain. - Przestrzeni dla twojego ja.

- Twoim kosztem, Roy.

- I oby twoje łono było nadal płodne.

- Jak dobrze wiesz, jestem już za stara na takie uprzejmości - powiedziała zirytowana tym, że syn potraktował ją tak formalnie.

- Idę coś zjeść, matko...

- A więc Gwenny nie żyje. Wiem już o tym. Bealie była świadkiem twojej chłosty i słyszała treść ogłoszenia. Zobaczysz, że to wykończy jej biednego, starego ojca. Żałuję, że nie zdążyłam - na chłostę, oczywiście - następnych postaram się nie opuścić, jeżeli mi się to uda, ale zdobyłam z trudem najpiękniejszy odcień zieleni i wszystko sobie ufarbowałam, łącznie z tą bluzką, którą mam na sobie. Podoba ci się? To jest naprawdę fantastyczne...

- Słuchaj, matko, bolą mnie plecy, a poza tym nie mam nastroju do rozmowy...

- Oczywiście, że bolą, Roy, trudno, żeby było inaczej. Dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, jak będą wyglądały pod koniec kary. Mam tłuszcz, którym mogę cię natrzeć, i to złagodzi cierpienia.

Później powinien obejrzeć to doktor Lindsey, jeżeli masz jakąś zwierzynę, żeby zapłacić mu za poradę. A teraz, kiedy Gwenny nie ma, powinieneś coś mieć. Tak naprawdę to nigdy jej nie lubiłam...

- Posłuchaj, matko...

- Jeżeli idziesz do mesy, pójdę z tobą. Właściwie szłam bez specjalnego celu. Powiedziała mi, oczywiście po cichu, stara Toomer Munday - chociaż bóg jeden wie, skąd ona to słyszała - że strażnicy znaleźli trochę herbaty i kawy w magazynie farb. Zauważyłeś, że tego nie rozrzucali? Giganci mieli o wiele lepszą kawę od nas.

Potok słów zalewał go także wtedy, gdy z roztargnieniem spożywał posiłek. Potem pozwolił jej zaprowadzić się do jej pokoju, gdzie nasmarowała mu tłuszczem plecy. W czasie tych czynności słuchał, po raz nie wiadomo który, tych samych dobrych rad.

- Pamiętaj, Roy, że nie zawsze będzie tak źle; po prostu masz złą passę. Nie pozwól, aby cię to załamało.

- Sprawy wyglądają zawsze źle, matko, po co w ogóle żyć?

- Nie powinieneś tak mówić. Wiem, że Nauka potępia trwanie w goryczy, a ty nie widzisz wszystkiego tak jak ja. Ja zawsze twierdzę, że życie jest wielką tajemnicą. Sam fakt, że żyjemy...

- Ale ja to wszystko wiem. Dla mnie życie przypomina po prostu narkotyk rzucony na rynek.

Myra popatrzyła uważnie na jego gniewną twarz i zmiękła.

- Kiedy chcę się pocieszyć - powiedziała - wyobrażam sobie ogromną czerń obejmującą wszystko. I nagle w tej czerni zaczynają migać liczne małe światełka. Te światełka to nasze życie, płonące dzielnie i oświetlające nasze otoczenie. Ale co oznacza to otoczenie, kto zapalił te światełka i po co... - westchnęła. - Gdy rozpoczniemy Długą Podróż i gdy nasze światełko zgaśnie, wtedy dowiemy się czegoś więcej.

- I ty twierdzisz, że to ciebie pociesza rzekł pogardliwie Complain. Już dawno nie słyszał tej matczynej metafory i chociaż nie chciał się do tego przyznać, wydało mu się, że łagodzi ona jego ból.

- Tak. Oczywiście, że mnie pociesza. Widzisz, jak nasze światełka płoną w tym miejscu razem. - To mówiąc, dotknęła małym palcem punktu na stole między nimi. - Jestem wdzięczna, że moje nie płonie samotnie gdzieś w nieznanym miejscu - wskazała wyciągniętym ramieniem jakiś bliżej nie określony punkt w przestrzeni.

Potrząsając głową Complain wstał.

- Nie widzę go - przyznał. - Może byłoby lepiej, gdyby świeciło gdzieś dalej.

- Oczywiście, mogłoby, ale wtedy byłoby inne. Tego się właśnie boję, że mogłoby być inne, wszystko byłoby inne.

- Przypuszczam, że masz rację. Osobiście wolałbym, żeby po prostu tu było inaczej. Ale, matko, mój brat Gregg, który porzucił szczerp i odszedł w gęstwinę...

- Ciągłe o nim myślisz? - zapytała z ożywieniem starsza pani. - Gregg był bardzo udany, Roy, gdyby został, byłby dziś strażnikiem.

- Czy sądzisz, że on jeszcze żyje?

Stanowczo potrząsnęła głową.

- W gęstwinie? Możesz być pewien, że dopadli go Obcy. Szkoda, wielka szkoda... Gregg byłby dobrym strażnikiem. Zawsze tak twierdziłam.

Complain miał już odchodzić, gdy powiedziała ostro:

- Stary Ozbert Bergass jeszcze zipie. Mówiono mi, że wzywa swoją córkę Gwenny. Twoim obowiązkiem jest iść do niego.

Przynajmniej raz mówiła niezaprzeczalną prawdę i przynajmniej raz obowiązek połączony był z przyjemnością, gdyż Bergass był bohaterem szczepu.

Idąc nie spotkał żywej duszy, z wyjątkiem jednorękiego Olwella, który niosąc parę zabitych kaczek przewieszonych przez zdrową rękę powitał go kwaśno. Pokoje, w których Bergass miał obecnie swoje gospodarstwo, leżały daleko w tyle Kabin, chociaż kiedyś znajdowały się w okolicy przedniej barykady. W miarę jak szczep przesuwał się powoli naprzód, pomieszczenia te pozostawały w tyle; Ozbert Bergass był u szczytu swojej chwały, gdy mieszkał w centrum terenu zajmowanego przez szczep. Obecnie, na starość, jego pokoje położone były dalej niż czyjekolwiek.

Ostatnia granica - barykada, która oddzielała ludzkość od Bezdroży - znajdowała się tuż za jego drzwiami. Liczne puste pokoje oddzielały go od najbliższego sąsiada, jego dawni sąsiedzi tchórzliwie uciekli, wynosząc się do centrum. Stary, uparty człowiek pozostał jednak na miejscu pomimo coraz bardziej utrudnionej łączności i żył dumnie w brudzie i nędzy, otoczony gromadą kobiet.

Do tego miejsca nie dotarły hulanki. W odróżnieniu od chwilowo radosnego nastroju, jaki panował w reszcie Kabin, rejon Bergassa wyglądał ponuro i nieprzyjemnie. Kiedyś dawno, prawdopodobnie jeszcze w czasach Gigantów, miał tu miejsce jakiś wybuch. Na pewnym odcinku ściany były osmalone, a w środku pokładu widniał otwór długości człowieka. W okolicy drzwi starego przewodnika nie było żadnego światła.

Stałe przesuwanie się szczepu też nie pozostało bez wpływu na zaniedbanie tej okolicy i glony, które rozwinęły się przed tylną barykadą, tworzyły na brudnym pokładzie poszarpany, karłowaty sięgający ud szpaler.

Z pewnym zakłopotaniem Complain zastukał do drzwi Bergassa. Otworzyły się i jazgot głosów oraz kłęby pary otoczyły go jak chmura owadów.

- Twojego ja, matko - zwrócił się grzecznie do starej wiedźmy stojącej w progu.

- Twoim kosztem, wojowniku. Ach, to Roy Complain, prawda? Czego chcesz? Myślałam, że wszyscy młodzi głupcy są pijani. Lepiej wejdź, tylko cicho.

Był to wielki pokój całkowicie zawalony suchymi badyłami glonów. Ciągnęły się one wzdłuż wszystkich ścian, co upodabniało pokój do uschniętej puszczy. Bergass miał obsesję, że cała konstrukcja ich świata, wszystkie ściany i pokłady, ulegną zniszczeniu, a szczep będzie musiał żyć w gęstwinie glonów w pomieszczeniach zbudowanych z tych tyczek. Przeprowadził nawet eksperyment przenosząc się na pewien czas w głąb Bezdroży i chociaż przeżył, to jednak nikt nie poszedł za jego przykładem. W pokoju unosił się zapach rosołu wydzielający się z wielkiego parującego kotła ustawionego w kącie. Młoda dziewczyna mieszała jego zawartość, a poprzez opary Complain dostrzegł wiele innych kobiet znajdujących się w pokoju. Pośrodku siedział, co było zaskakujące,

sam Ozbert Bergass. Aktualnie wygłaszał przemówienie, którego zresztą nikt nie słuchał, jako że wszystkie kobiety jednocześnie ze sobą rozmawiały. Panował taki gwar, że Complain nie mógł oprzeć się zdumieniu, że ktokolwiek usłyszał jego pukanie.

Ukląkł przy starym człowieku. Gnilec poczynił już poważne postępy: widać było, że zaczął się jak zwykle w okolicy żołądka, przerzucając się z kolei najkrótszą drogą w stronę serca. Z mięśni chorego wyrastały miękkie, brązowe wyrostki długości męskiej ręki, a całe więdnące ciało wyglądało jak zwłoki poprzebijane próchniejącymi gałęziami.

- ... I w ten sposób statek był stracony, człowiek był stracony, stracono wszystko, nawet sam sens straty - mówił zachrypniętym głosem starzec patrząc niewidzącymi oczyma na Complaina. - Byłem wszędzie wśród tych ruin i powtarzam, że im więcej czasu upływa, tym mniejsze mamy szanse odnalezienia siebie samych. Wy, głupie kobiety, tego nie rozumiecie, wam to jest obojętne, ale mówiłem Gwenny wiele razy, że on szkodzi własnemu szczepowi. Robisz źle, tak mu mówiłem, niszcząc wszystko, na co natrafisz, tylko dlatego, że tobie to nie jest potrzebne. Palisz książki, mówiłem, niszczysz te filmy, bo się boisz, że ich ktoś użyje przeciw tobie. Mówiłem, że zawierają one sekrety, które powinniśmy znać, ale ty jesteś głupcem i nie rozumiesz, że zamiast niszczyć, należy to wszystko ułożyć w jakąś całość. Mówię ci, że więcej widziałem pokładów, niż ty o nich słyszałeś, mówiłem ci... Czego pan sobie życzy?

Ponieważ ta przerwa w niekończącym się monologu była prawdopodobnie wywołana jego obecnością, Complain spytał, czy mógłby być w czymś pomocny.

- Pomocny? - powtórzył Bergass. - Zawsze dawałem sobie radę sam, tak jak dawniej mój ojciec. Mój ojciec był najwybitniejszym przewodnikiem. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób powstał ten szczep? Powiem ci. Mój ojciec wraz ze mną, a byłem wtedy bardzo młody, odkrył to, co Giganci nazywali zbrojownią. Tak, pokoje pełne paralizatorów, pełne! Bez tego odkrycia szczep Greene nie byłby tym, czym jest dzisiaj, dawno by wyginął. Tak, mógłbym cię zabrać teraz do zbrojowni, gdybyś się nie bał. Daleko, w centrum Bezdroży, tam gdzie stopy zamieniają się w ręce, podłoga oddala się, a ty zaczynasz unosić się w powietrzu jak owad...

Teraz bredzi - pomyślał Complain. - Nie ma sensu mówić mu o Gwenny, kiedy bełkocze o stopach zamieniających się w ręce.

Nagle stary przewodnik umilkł, a po chwili dodał:

- Jak się tu dostałeś, Royu Complain? Daj mi trochę rosołu, mój żołądek jest suchy jak wiór.

Kiwnąwszy na jedną z kobiet, aby podała naczynie, Gomplain rzekł:

- Przyszedłem zobaczyć, jak pan się czuje. Jest pan wielkim człowiekiem i przykro mi, że znajduję pana w takim stanie.

- Wielki człowiek - wymamrotał starzec głupekowato, ale po chwili wybuchnął gwałtownie: - Gdzie mój rosół? Co tam do diabła robią te dziwki, czy myją sobie w nim d...?

Jedna z młodych kobiet podała szybko wazę robiąc przy tym figlarnie oko do Complaina. Bergass był za słaby, aby jeść sam, przeto Complain pospieszył z pomocą wlewając mu łyżką tłusty płyn do ust. Zauważył przy tym, że oczy przewodnika szukają jego oczu, jakby miały mu do przekazania jakąś tajemnicę, ale Complain z przyzwyczajenia nie chciał do tego dopuścić. Odwrócił się i uświadomił sobie nagle panujący wokół brud. Na pokładzie było dosyć błota, aby mogły tam

rosnąć glony, a nawet suche tyczki umazane były brudną mazią.

- Dlaczego tu nie ma porucznika? Gdzie jest doktor Lindsey? Czy nie powinien pana odwiedzić kapłan Marapper? - wybuchnął gwałtownie. - Przydałaby się panu lepsza opieka.

- Ostrożnie z tą łyżką, chłopcze. Za chwilę, tylko się wysikam... och, mój przeklęty brzuch. Tak gniecie, tak strasznie gniecie... Doktor... kazałem moim kobietom odesłać doktora. Stary Greene nie przyjdzie, bo się boi gnilca. Poza tym on się robi taki sam stary jak ja, którejs z sen-jaw Zilliac go usunie i obejmie sam władzę... Jest człowiek...

- Czy mogę sprowadzić kapłana? - wtrącił z rozpaczą Complain widząc, że Bergass znowu zaczyna majaczyć.

- Kapłana? Kogo, Henry'ego Marappera? Przysuń się bliżej, to powiem ci coś, o czym tylko my dwaj będziemy wiedzieli. To tajemnica, nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Spokojnie... Henry Marapper jest moim synem. Tak. Nie wierzę w te jego kłamstwa, tak jak nie wierzę...

Przerwał krztusząc się i charcząc, co Complain początkowo wziął za jęki wywołane bólem, zanim uświadomił sobie, że jest to śmiech przerywany okrzykami: „Mój syn!”.

Dalsze siedzenie tu było bezcelowe. Wstał z niesmakiem, skinął krótko jednej z kobiet i odszedł pozostawiając Bergassa w napadzie drgawek tak silnych, że narosłe na jego brzuchu uderzały o siebie nawzajem. Pozostałe kobiety nie wykazując najmniejszego zainteresowania stały z rękami na biodrach albo odganiały od siebie muchy.

Fragmety ich rozmów dochodziły do obojętnych uszu Complaina, gdy szedł do wyjścia.

- ... i skąd on bierze te wszystkie ubrania, chciałabym wiedzieć. Jest tylko zwykłym parobkiem. Mówię wam, że to donosiciel...

- Jesteś zbyt skora do całowania, Wenda. Wierz mi, że jak będziesz w moim wieku...

- ...najlepsza porcja mózdzku, jaką kiedykolwiek dostałam...

- Mama Cullindram miała świeżo miot złożony z siedmiorga. Wszystkie urodziły się martwe, z wyjątkiem jednego, biednego brzdąca. Jak pamiętacie, ostatnio były pięcioraczki. Powiedziałam jej prosto w oczy: musisz być bardziej stanowcza dla swego chłopca...

- przegrał wszystko...

- kłamiąc...

- nigdy jeszcze tak się nie śmiałam...

Gdy znalazł się z powrotem w ciemnym korytarzu, oparł się na chwilę o ścianę i odetchnął z ulgą. Nie zrobił właściwie nic, nawet nie przekazał wiadomości o śmierci Gwenny, chociaż po to tu przyszedł, a jednak jakby coś się w nim zmieniło. Jak gdyby jakiś wielki ciężar przetoczył mu się przez mózg, wywołując ból, ale pozwalając widzieć wszystko jaśniej. Instynktownie czuł, że szykuje się jakieś przesilenie.

W pokoju Bergassa panował potworny upał i Complain czuł, jak pot spływa mu z czoła. Nawet w tej chwili z korytarza można było usłyszeć gwar kobiecych głosów. Nagle przed oczyma stanął mu obraz Kabin takich, jakimi były naprawdę: wielka jaskinia wypełniona świergotem wielu głosów.

Nigdzie żadnego działania, tylko głosy, zamierające głosy...

Jawa kończyła się powoli, nadchodził okres snu i Complain czuł, jak w miarę zbliżania się następnej porcji kary żołądek jego staje się niespokojny. Przez jedną sen-jawę na cztery zarówno w Kabinach, jak i na otaczających je terenach panowała ciemność. Nie była to ciemność absolutna, tu i ówdzie w korytarzach jarzyły się kwadratowe światła kontrolne przypominające księżycy; tylko w pokojach było bezksiężycowo i panował mrok. Takie było, przyjęte zresztą, prawo natury. Wprawdzie starzy ludzie mówili, że za życia ich rodziców ciemności nie trwały tak długo, ale starzy ludzie mają z zasady złą pamięć i opowiadają dziwne historie ze swego dzieciństwa.

W ciemnościach glony marszczyły się i zapadały jak puste worki. Ich giętkie łodygi wiotczały, łamały się i wszystkie, z wyjątkiem najmłodszych pędów, robiły się czarne. Tak wyglądała ich krótka zima. Gdy pojawiała się słońce, młode pędy i flance pięły się energicznie w górę, pokrywając martwe rośliny nową falą zieleni. Po następnych czterech sen-jawach i one obumierały; tego rodzaju cykl przeżywały tylko najsilniejsze i najlepiej przystosowane.

Przez całą obecną jawę większość spośród kilkuset mieszkańców Kabin pozostała beczynna, głównie w pozycji horyzontalnej. Po barbarzyńskich wybuchach radości zawsze nastawał okres spokoju i apatii. Wszyscy byli odprężeni, ale jednocześnie niezdolni do ponownego włączenia się w codzienną rutynę. Bezczynność ogarnęła cały szczep. Przygnębienie spowiło go jak opończa, na zewnątrz barykad glony zaczęły zarastać oczyszczone polany, ale tylko głód był w stanie postawić ludzi na nogi.

- Mógłbyś wymordować wszystkich i ani jedna ręka nie podniosłaby się w ich obronie - rzekł Wantage, a na prawej połowie jego twarzy pojawiło się coś na kształt natchnienia.

- Dlaczego więc tego nie zrobisz? - rzekł ironicznie Complain. - Wiesz, co mówi Litanía: złe pragnienia tłumione narastają i pożerają umysł, w którym się zagnieździły. Bierz się do dzieła, Dziurawa Gębo.

W jednej chwili został pochwycony za rękę, a ostrze noża zawisło w pozycji poziomej o milimetry od jego gardła. Naprzeciw siebie miał przerażające oblicze - połowa twarzy wykrzywiona wściekłością, połowa zaś przyobleczona w stały, bezosobowy uśmiech, duże szare oko patrzyło osobno, zajęte własnym, całkiem prywatnym polem widzenia.

- Nie waż się nazywać mnie w ten sposób kiedykolwiek, ty gnijące ściervo - warknął Wantage, po czym odwrócił się i opuścił rękę z nożem. Gniew ustąpił, a na jego miejsce pojawiło się coś w rodzaju upokorzenia - przypomniał sobie o swojej deformacji.

- Przykro mi - Complain pożałował tych słów w chwilę po ich wypowiedzeniu, ale Wantafie już go nie słuchał.

Powoli, zdenerwowany tym wydarzeniem, Complain ruszył dalej. Wantage'a spotkał wracając z gęstwiny, gdzie obserwował zbliżający się szczep. Jeżeli miało dojść do ich spotkania ze szczepem Greene, a nie było to wcale takie pewne, to nie należało się tego prędko spodziewać. Najpierw nastąpiłoby starcie między rywalizującymi ze sobą łowcami, co mogło oznaczać śmierć dla niejednego, ale na pewno oznaczałaby uwolnienie od monotonii codziennego życia. Na razie Complain zatrzymał tę wiadomość dla siebie. Niech ktoś inny, bardziej miłujący władzę, doniesie o tym porucznikowi.

Idąc do kwater strażników po kolejną porcję chłosty nie spotkał nikogo, z wyjątkiem Wantage'a. Nadal panowała bezczynność i nawet biczownik publiczny nie dał się zmusić do



działania.

- Masz przed sobą jeszcze wiele sen-jaw rzekł. - Do czego się tak spieszysz? Zjeżdżaj i daj mi spokojnie poleżeć. Idź i poszukaj sobie nowej kobiety.

Complain wrócił do swego mieszkania, skurcz żołądka ustępował. Gdzieś w bocznym wąskim korytarzu ktoś grał na instrumencie strunowym - usłyszał fragment pieśni śpiewanej tenorem:

*...w tym istnieniu*

*...zbyt długo*

*...Gloria*

Stara pieśń, prawie zapomniana; przerwał ją mocno zamykając drzwi. I znowu czekał na niego Marapper; brudną twarz ukrył w dłoniach, a na jego tłustych palcach połyskiwały pierścienie.

Complain poczuł nagle dreszcz emocji - wydawało mu się, że wie, o czym duchowny będzie mówił, to było tak, jakby już kiedyś tę scenę przeżywał. Bezskutecznie starał się zwalczyć bo wrazenie, ale opłotło go ano jak pajęczyna.

- Przestrzeni, synu - kapłan leniwie wykonał znak gniewu. - Robisz wrazenie zgorzkniałego.

- Bo jestem zgorzkniały, ojcze. Tylko zabójstwo mogłoby mi pomóc.

Mimo tych nieoczekiwanych słów uczucie, że scenę tę już przeżywał, utrzymywało się nadal.

- Są sprawy ważniejsze od zabójstwa. Sprawy, o których ci się nawet nie śniło.

- Nie opowiadaj mi znowu tych bredni, ojcze. Za chwilę powiesz, że życie jest zagadką, i zaczniesz głądzić tak samo jak moja matka. Czuję, że muszę kogoś zabić.

- Zrobisz to, zrobisz to - uspokajał go duchowny. - To dobrze, że tak to odczuwasz. Nigdy nie poddawaj się rezygnacji, mój synu, to może zniszczyć każdego. Jesteśmy wszyscy napiętnowani. Ukarano nas tu za jakieś grzechy naszych przodków. Jesteśmy wszyscy ślepi - miotamy się w różne strony...

Complain wdrapał się zmęczony na swe legowisko. Uczucie, że przeżywał już tę scenę, znikło bez śladu. W tej chwili pragnął tylko snu. Jutro zostanie wyrzucony ze swego osobnego pokoju i wychłostany, dziś chciał tylko spać. Kapłan przestał mówić, więc Complain uniósł głowę i zobaczył, że Marapper, oparty o jego posłanie, wpatruje się w niego uporczywie. Zanim Complain odwrócił się spieszenie, ich oczy się spotkały.

Najsilniejszym tabu w ich społeczności było niepisane prawo zakazujące mężczyznom patrzenia sobie w oczy; ludzie uczciwi, o szczerych zamiarach, rzucali sobie tylko przelotne spojrzenia. Complain wydał dolną wargę, a jego twarz przybrała wyraz pełen okrucieństwa.

- Co ty do diabła chcesz ode mnie, Marapper? - wybuchnął. Miał ogromną ochotę powiedzieć duchownemu, że przed chwilą dowiedział się o jego nieprawym pochodzeniu.

- Nie otrzymałeś jeszcze swoich sześciu chłost, prawda, chłopcze?

- Co cię to obchodzi, kapłanie?

- Duchowny nie może być samolubem. Pytam dla twojego dobra, a pola tym twoja odpowiedź

ma dla mnie duże znaczenie.

- Nie, nie otrzymałem. Jak wiesz, wszyscy są obecnie do niczego, nawet biczownik publiczny.

Oczy kapłana szukały znowu jego oczu. Complain odwrócił się i mimo niewygodnej pozycji patrzył tępo w ścianę, ale następne pytanie duchownego spowodowało, że natychmiast zmienił pozycję.

- Czy nigdy nie miałeś ochoty wpaść w szaleństwo, Roy?

Przed oczyma Complaina, wbrew jego woli, pojawiła się wizja: oto biegnie przez Kabiny z płonącym paralizatorem w ręku, a wszyscy z lękiem i szacunkiem rozступują się przed nim, pozostawiając go panem sytuacji. Wielu spośród najlepszych i najdzielniejszych mężczyzn, między nimi jeden z jego braci Gregg, wpadło w swoim czasie w szal, przedzierając się przez osiedle i uciekając, co się niektórym udawało, na mniej zbadane tereny, gęsto porośnięte glonami, gdzie żyli samotnie lub przyłączali się do innych grup - w obawie przed powrotem i czekającą ich karą. Wiedział, że jest to męski, a nawet zaszczytny czyn, ale projekt nie powinien wychodzić od duchownego. Coś takiego mógłby zalecić lekarz śmiertelnie choremu, ale kapłan, zamiast rozsadzać szczep od wewnątrz, powinien czuwać nad jego jednością przez rozładowywanie ludzkich stresów, tak by nie przeradzały się w nerwice. Po raz pierwszy zrozumiał, że Marapper osiągnął jakiś przełomowy punkt swego życia, że z czymś się zмага, i zastanawiał się, jaki związek mogła mieć z tym stanem duchownego choroba Bergassa.

- Popatrz na mnie, Roy. Odpowiedz.

- Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? usiadł, przynaglony tonem kapłana.

- Muszę wiedzieć, jaki jesteś naprawdę.

- Wiesz przecież, co mówi Litania: „Jesteśmy synami tchórzy, dni upływają nam w nieustannym strachu”.

- Wierzysz w to? - spytał kapłan.

- Oczywiście. Tak jest napisane w Nauce.

- Potrzebuję twojej pomocy, Roy. Czy poszedłbyś za mną, nawet gdybym cię wyprowadził w ogóle z Kabin - w Bezdroża?

Wszystko to zostało powiedziane cicho i szybko. Tak cicho i szybko, jak biło pełne niepewności serce Complaina. Nie usiłował nawet dojść do żadnego wniosku, nie próbował podjąć świadomej decyzji, trzeba to było pozostawić instynktowi, rozum zbyt wiele wiedział.

- To będzie wymagało odwagi - rzekł w końcu.

Kapłan uderzył się po potężnych udach ziewając nerwowo, co spowodowało, że wydał dźwięk podobny do pisku.

- Nie, Roy, ty kłamiesz, zupełnie tak samo, jak pokolenia kłamców, które wydały cię na świat. Jeżeli stąd odejdziemy, będzie to oznaczało ucieczkę, unikanie odpowiedzialności, jaką na dorosłego człowieka nakłada współczesne społeczeństwo. Wymkniemy się ukradkiem będzie to, mój chłopcze, odwieczny akt powrotu do natury, bezowocna próba powrotu na łono przodków. Tak więc odejście oznaczać będzie naprawdę ostateczne tchórzostwo. No więc, pójdiesz ze mną?

Jakieś ukryte znaczenie tych słów utwierdziło Complaina w podjętej już decyzji. Pójdzie! Ucieknie przed tą nieuchwytną zasłoną, której nigdy nie potrafił przeniknąć. Zsunął się z legowiska pragnąc ukryć swoją decyzję przed zachłannymi oczyma Marappera, dopóki nie dowie się czegoś więcej na temat wyprawy.

- Co my, kapłanie, będziemy robili we dwójkę w tej płataninie glonów Bezdroży?

Kapłan wsadził gruby kciuk do nosa i patrząc na swoją rękę rzekł:

- Nie będziemy sami. Pójdzie z nami jeszcze kilku wybranych ludzi. Są do tego od pewnego czasu przygotowani. Jesteś zawiedziony, kobietę ci zabrano, co masz do stracenia? Gorąco namawiam cię na udział - dla twojego własnego dobra oczywiście - chociaż mnie osobiście wygodnie będzie mieć ze sobą kogoś o słabej woli, ale za to z oczyma myśliwego.

- Kim oni są, Marapper?

- Powiem ci, jak już się zdecydujesz z nami iść. Gdybym został zdradzony, strażnicy poderznąliby nam gardła - w szczególności mnie - co najmniej w dwudziestu miejscach.

- Co tam będziemy robić? Dokąd mamy się udać?

Marapper wstał powoli i przeciągnął się. Długimi palcami grzebał we włosach, a jednocześnie przywołał, na twarz najstraszliwsze szydercze spojrzenie, na jakie potrafi się zdobyć, unosząc jeden nalany policzek, a opuszczając drugi, tak że usta między nimi wyglądały jak związana w supeł lina.

- Idź sam, Roy, jeżeli nie masz zaufania do mojego kierownictwa. Jesteś zupełnie jak baba, potrafisz tylko skarżyć się i pytać. Powiem ci tyle: moje plany są tak wielkie, że przekraczają twoje możliwości rozumienia. Panowanie nad statkiem! Oto mi chodzi i o nic mniej. Całkowite panowanie nad statkiem - nawet nie rozumiesz, co to znaczy.

- Nie miałem zamiaru odmawiać - rzekł Complain zaskoczony wojowniczą postawą duchownego.

- To znaczy, że idziesz z nami?

- Tak.

Marapper chwycił go za rękę bez słowa, jego twarz promieniała.

- A teraz powiedz mi, kim oni są rzekł Complain przestraszony własną decyzją.

Marapper puścił jego rękę.

- Znasz stare powiedzenie, Roy: prawda nigdy jeszcze nikogo nie uczyniła wolnym. Dowiesz się wkrótce. Dla twojego dobra wolę ci tego jeszcze nie mówić. Planuję wymarsz w czasie następnego snu. A teraz zostawię cię samego, bo mam jeszcze coś do zrobienia. Ani słowa nikomu.

W drzwiach zatrzymał się. Włożył rękę w zanadrze i wyciągnął coś wymachując tym triumfalnie. Complain rozpoznał książkę należącą do zbiorów wymarłych Gigantów.

- Oto nasz klucz do potęgi! - zawołał teatralnie Marapper, po czym schował książkę i zamknął za sobą drzwi.

Complain stał nieruchomo jak posąg pośrodku pokoju. W głowie szalała mu burza myśli, które kłębiły się jednak w miejscu, donikąd nie prowadząc. Marapper był kapłanem, posiadał wiedzę,

której nie mieli inni, tym samym Marapper musi być wodzem...

Podszedł powoli do drzwi i otworzył je. Duchowny zniknął mu z oczu i w okolicy nie było widać nikogo, z wyjątkiem brodatego malarza Menera. Całkowicie pochłonięty pracą, z ogromnym skupieniem malował jaskrawy fresk na ścianie korytarza maczając pędzel w różnych farbach, w jakie zaopatrzył się w czasie ostatniej sen-jawy. Pod jego ręką powstawał na ścianie wielki kot. Meller był tak zajęty, że nie zauważył Complaina. Robiło się późno i Complain udał się na posiłek do prawie pustej mesy. Jadł ledwie świadom tego, co robi, a kiedy wrócił do siebie - Meller malował dalej jak w transie. Complain zamknął drzwi i zaczął słać łóżko. Szarą sukienkę Gwenny, która nadal wisiała na haku, zerwał gwałtownie i rzucił za szafę. Położył się i leżał w milczeniu.

Nagle do pokoju wpadł opasły zadyszany Marapper. Zatrzasnął za sobą drzwi i zaczął szarpać płaszcz, który przyciął sobie wchodząc.

- Schowaj mnie Roy, szybko! Szybko, przestań się gapić, durniu! Wstawaj, wyciągaj nóż. Zaraz tu będą strażnicy, Zilliac! Goniać mnie. Zarzynają biednych, starych duchownych, jak tylko ich dopadną.

Mówiąc to podbiegi do koi Complaina, odciągnął ją do ściany i zaczął się za nią gramolić.

- Co takiego zrobiłeś? - zapytał Complain. - Dlaczego cię gonia? Czemu chcesz się ukryć właśnie tu? Po co mnie w to wciągasz?

- To nie żaden dowód zaufania, byłeś po prostu najbliżej, a moje nogi nie są stworzone do biegania. Moje życie jest w niebezpieczeństwie.

Mówiąc to Marapper rozglądał się nerwowo, jakby w poszukiwaniu lepszej kryjówki, ale w końcu zdecydował, że nic lepszego nie znajdzie i że zawieszając koc na brzegu łóżka będzie zasłonięty od strony drzwi.

- Musieli widzieć, jak tu wchodziłem rzekł. - Nie chodzi nawet o moją skórę, tylko o mój plan, który muszę zrealizować. Powiedziałem o naszych zamiarach jednemu ze strażników, który poszedł z tym prosto do Zilliaca.

- Ale dlaczego ja... - zaczął gniewnie Complain, nie dokończył jednak, ostrzeżony przez wybuch zamieszania. Drzwi otworzyły się z taką siłą, że prawie wyskoczyły z zawiasów, mało nie potracając Complaina, który stał tuż za nimi. Pod wpływem napięcia doznał olśnienia. Zakrył twarz rękami, zatoczył się, zgiął w pół i jęcząc udawał, że został uderzony drzwiami. Między palcami dojrzał Zilliaca, prawą rękę porucznika i pierwszego kandydata na przyszłego dowódcę. Zilliac wpadł do pokoju, kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi i spojrzał pogardliwie na Complaina.

- Przestań się wydzierać! - krzyknął. Gdzie kapłan? Widziałem, jak tu wchodził.

Odwrócił się, z wycelowanym paralizatorem, aby rozejrzeć się po pokoju, i w tym momencie Complain chwycił drewniany stołek Gwenny, zamachnął się nim i z całej siły wyrzucił Zilliaca w podstawę czaszki. Rozległ się rozkoszny dla ucha trzask drzewa i kości i Zilliac runął jak długi na podłogę. Nie zdążył jeszcze dotknąć pokładu, gdy Marapper był już na nogach. Zaparł się i obnażając zęby z wysiłku przewrócił ciężką koję na leżącego.

- Mam go! - zawołał. - Na Boga, mam go!

Z godną podziwu, jak na tak tęgiego mężczyznę, szybkością podniósł paralizator Zilliaca i

odwrócił się do drzwi.

- Otwieraj, Roy! Tam na pewno są inni, a to jest jedyna okazja, aby wydostać się stąd z całym gardłem.

W tej chwili drzwi otworzyły się bez udziału Complaina i stanął w nich malarz Meller. Miał kredowobiałą twarz i wsuwał właśnie nóż do pochwy.

- Oto ofiara dla ciebie, kapłanie - rzekł. Lepiej będzie, jak ją dostarczę od razu, nie czekając, aż ktoś się pojawi.

Chwycił leżącego bezwładnie w korytarzu strażnika za kostki, po czym z pomocą Complaina wciągnął go do pokoju zamykając drzwi.

- Nie wiem, o co tu chodzi, kapłanie - rzekł Meller ocierając pot z czoła - ale kiedy ten typ usłyszał to całe zamieszanie, biegł już po swoich przyjaciół. Wydawało mi się, że lepiej będzie załatwić się z nim wcześniej, zanim sprowadzi ci gości.

- Niech odbędzie Długą Podróż w spokoju - rzekł słabym głosem Marapper. - To była dobra robota, Meller. Trzeba przyznać, że jak na amatorów daliśmy sobie doskonale radę.

- Dobrze rzucam nożem - wyjaśnił Meller. - Całe szczęście, bo nie znoszę walki wręcz. Czy mogę usiąść?

Complain, jeszcze oszołomiony, ukląkł między dwoma ciałami, nasłuchując bicia serca. Dotychczasowego zwyczajnego Complaina zastąpił teraz mężczyzna działający pewnie jak automat, o szybkich ruchach i reakcjach. Ten sam, który podczas polowań przejmował inicjatywę. Teraz jego ręka szukała śladów życia u Zilliaca i skulonego strażnika. Ale u żadnego z nich nie doszukał się już tętna...

W małych szczepach śmierć była zjawiskiem tak pospolitym jak karaluchy. „Śmierć jest najdawniejszą towarzyszką człowieka”, jak mówił ludowy poemat. Nauka też poświęcała temu przeciągającemu się spektaklowi wiele miejsca - musiały istnieć pewne kanony postępowania w zetknięciu ze śmiercią. Budziła lęk, a przecież lęk nie powinien prześladować człowieka... Na fakt śmierci Complain automatycznie zareagował stereotypowym aktem rozpacz, tak jak go nauczono.

Widząc to Marapper i Meller przyłączyli się do niego; duchowny nawet cicho popłakiwał. Gdy zabiegi te dobiegły końca, a ostatnie zakłęcie na Długą Podróż zostało wypowiedziane, powrócili do stanu, o ile to można było tak nazwać, normalnego.

Teraz siedzieli nad zwłokami patrząc po sobie, przerażeni, a jednocześnie w jakiś zabawny sposób zadowoleni z siebie. Na zewnątrz panowała cisza i tylko powszechnemu bezwładowi, jaki zapanował po okresie zabaw, zawdzięczali, że nie pojawili się żadni gapie, co by ich niechybnie zdemaskowało.

Powoli Complainowi powróciła zdolność myślenia.

- Co ze strażnikiem, który zdradził twoje plany Zilliacowi? - spytał. - Będziemy mieli wkrótce przez niego kłopoty, Marapper, jeżeli tu dłużej zabawimy.

- Nie zaszkodzi nam już, nawet gdybyśmy zostali tu na zawsze - rzekł duchowny - najwyżej będzie raził nasze powonienie. - Po czym wskazując na człowieka, którego przywłókł Meller, dodał: - Wygląda na to, że moje plany nie zostały przekazane dalej i z tej przyczyny mamy na szczęście

trochę czasu, zanim zaczniesz się poszukiwanie Zilliaca. Podejrzewam, że miał jakiś własny cel, inaczej zjawiłby się z eskortą. Tym lepiej dla nas, Roy, musimy ruszać od razu. Kabiny nie są dla nas obecnie zdrowym miejscem.

Wstał szybko, ale nie przewidział drżenia nóg i usiadł z powrotem. Po chwili podniósł się znowu, tym razem już bardzo powoli.

- Jak na człowieka subtelnego, nieźle sobie poradziłem z tym łóżkiem, co? - rzekł nieco zakłopotany.

- Jeszcze mi nie wyjaśniłeś, dlaczego cię ścigano, kapłanie - powiedział Meller.

- Tym więcej sobie cenię twoją szybką pomoc - rzekł gładko Marapper kierując się w stronę drzwi.

Meller zagroził wyjście ręką.

- Chcę wiedzieć, w co jesteście zamieszani powiedział. - Bo czuję, że jestem zamieszany w to samo.

Marapper wyprostował się, ale ponieważ milczał, Complain zapytał wzburzony:

- A dlaczego nie miałyby iść z nami?

- Ach, więc to tak... - powiedział artysta powoli. - Opuszczacie Kabiny... Życzę wam wiele szczęścia, przyjaciele, i mam nadzieję, że znajdziecie to, czego szukacie. Ja sam wolę zostać bezpiecznie na miejscu i dalej sobie malować, niemniej dziękuję za zaproszenie.

- Pomijając drobny fakt, że nie było żadnego zaproszenia, zgadzam się z tobą całkowicie rzekł Marapper. - Pokazałeś wprawdzie przed chwilą, co potrafisz, przyjacielu, ale ja potrzebuję naprawdę ludzi czynu, i to kilku, a nie całą armię.

Meller odsunął się, a Marapper kładąc dłoń na klamce złagodniał nieco.

- Nasze życie w ogóle jest bardzo krótkie, ale wydaje mi się, że tym razem, przyjacielu, zawdzięczamy je tobie. Wracaj do swoich farb, malarzu, i nikomu ani słowa.

Szybko ruszył korytarzem, a Complain pospieszył za nim. Szczep pogrążony był we śnie. Minęli spóźniony patrol udający się na jedną z tylnych barykad i dwóch młodych ludzi z dziewczynami w jaskrawych szmatkach usiłujących odnaleźć nastrój minionej zabawy, poza tym okolica była całkowicie wyludniona.

Marapper skręcił ostro w boczny korytarz i udał się do swojej kwatery. Rozejrzał się wokoło, wyciągnął klucz magnetyczny i otworzył drzwi wpychając Complaina pierwszego do środka. Był to duży pokój zagracony przedmiotami zbieranymi przez całe życie, tysiącami wyzebranych lub zdobytych za łapówkę rzeczy, które od czasu wyginięcia Gigantów nie miały już żadnego zastosowania. Były ciekawe tylko jako totemy, ślady cywilizacji bogatszej i bardziej rozwiniętej od ich własnej. Complain rozglądał się bezradnie dokoła. Patrzył na różne rzeczy, których jak gdyby nie poznawał - na aparaty fotograficzne, elektryczne wentylatory, składanki, książki, wyłączniki, kondensatory, nocnik, klatkę dla ptaków, wazy, gaśnice, pęki kluczy, dwa obrazy olejne, papierową rolkę z napisem: „Mapa Księżyca”, telefon-zabawkę i wreszcie skrzynkę pełną butelek zawierających gęstą zawiesinę z napisem „Szampon”. Wszystko to były łupy zdobyte nie zawsze uczciwie i niewiele warte, chyba jako ciekawostki.

- Zostań tutaj, a ja sprowadzę pozostałych trzech rebeliantów - rzekł Marapper szykując się do wyjścia. - Zaraz potem ruszamy.

- A jeżeli oni zdradzą tak jak ten strażnik? - Nie zrobią tego, przekonasz się, jak ich zobaczysz - rzekł krótko Marapper. - Dopuściłem strażnika do tajemnicy tylko dlatego, że widział, jak to coś tutaj zniknęło - uderzył w książkę schowaną w płaszczu.

Wyszedł i Complain usłyszał trzask zamka magnetycznego. Gdyby nic nie wyszło z planów kapłana, miałby wiele do wyjaśnienia po ujawnieniu jego obecności w tym pokoju i prawdopodobnie poniósłby śmierć na miejscu za zabicie Zilliaca. Czekał w napięciu, nerwowo pocierając niewielkie skaleczenie ręki. Popatrzył na nie - w mięśniu dłoni tkwiła drobna drzazga. Nogi stołka Gwenny nigdy nie były gładkie...

## Bezdroża

Często używane w Kabinach porzekadło brzmiało: „Działaj bez namysłu”. Popędliwość uważano za dowód mądrości, a spryciarze działali zawsze pod wpływem impulsu. Była to jedyna możliwa postawa, gdyż przy stałym braku okazji do jakiegokolwiek działania zawsze istniała możliwość, że obezwładniający stan beczynności ogarnie cały szczepek. Marapper, który był specjalistą w wykorzystywaniu wszelkich zasad do swoich celów, użył tego dogodnego argumentu, aby zmobilizować pozostałych trzech członków swojej ekspedycji. Pozbierali pakunki, nałożyli kurtki, zabrali paralizatory, po czym ponuro podążyli za nim korytarzami osiedla. Mało kogo spotkali po drodze, a ci, których mijali, nie okazali specjalnego zainteresowania - po ostatnim festynie kac zbierał obfite żniwo. Marapper zatrzymał się przed drzwiami swego mieszkania i sięgnął po klucz.

- Dlaczego się zatrzymujemy? Jak się będziemy tutaj kręcili, złapią nas niechybnie i porąbią w drobne kawałeczki. Jeżeli już mamy iść w glony, to idźmy od razu.

Marapper zwrócił swoją grubiańską twarz w stronę pytającego, ale zaraz odwrócił się z powrotem nie ponizając się do odpowiedzi. Zamiast tego otworzył drzwi i zawołał:

- Wychodź, Roy, i poznaj swoich towarzyszy!

Jak przystało na dobrego łowcę, zawsze czujnego, Complain ukazał się w drzwiach z paralizatorem w pogotowiu. Spokojnie zlustrował trójkę stojącą koło Marappera - znał ich wszystkich. Oto Bob Fermour, z łokciami opartymi o dwie wypchane przytroczone do pasa sakwy i z obojętnym uśmiechem. Wantage, nieustannie obracający w ręce zaostzony kij, i Ern Roffery, wyceniasz, z wyzywającym, nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Complain patrzył na nich długo.

- Nie opuszczę Kabin z tą zbieraniną, Marapper - rzekł wreszcie stanowczo. - Jeżeli to są ci najlepsi, jakich mogłeś znaleźć, to nie licz na mnie. Sądziłem, że to będzie poważna ekspedycja, a nie szopka.

Kapłan wydał dźwięk przypominający gdakanie kury i ruszył w jego stronę, ale Roffery odepchnął go i stanął przed Complainem z ręką na kolbie paralizatora. Jego wąsy drgały niebezpiecznie blisko brody Complaina.

- A więc mój przedsiębiorczy specjalisto mięsny - rzekł. - To tak się zachowujesz? Nie poznasz swoich przełożonych? Jeżeli myślisz...

- Tak się zachowuję... - powiedział Complain. - A ty zostaw tę zabawkę, którą masz w olstrze, bo ci przypiekę palce. Kapłan powiedział mi, że to ma być ekspedycja, a nie wygarnianie mętów z

burdelu.

- I to j e s t ekspedycja! - ryknął duchowny zapluwając się z wściekłości i obracając trzęsącą twarz to do jednego, to do drugiego. - To j e s t ekspedycja i na Boga udacie się ze mną w Bezdroża, nawet gdybym miał sam zawlec tam wasze zwłoki. Wy, durnie, co plujecie w swoje głupie gęby, nędzni głupcy, czy nie zdajecie sobie sprawy, że nie jesteście warci nawet mrugnienia okiem kogoś takiego jak wy sami, nie mówiąc już o mnie! Bierzcie swoje rzeczy i idziemy, bo inaczej zawołam strażników.

Ta groźba była tak idiotyczna, że Roffery wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Przyłączyłem się do ciebie, aby nie musieć patrzeć na takich wymoczków jak Complain - rzekł. - Ale cóż, twoja w tym głowa! Prowadź, jesteś przecież wodzem!

- Jeżeli tak uważasz, to po co tracisz czas na głupie sceny? - spytał opryskliwie Wantage.

- Ponieważ jestem zastępcą dowódcy - odrzekł Roffery - i mogę robić takie sceny, na jakie mam ochotę.

- Nie jesteś żadnym zastępcą dowódcy, Ern - wyjaśnił łagodnie Marapper. - Ja was prowadzę, równych wobec prawa.

Na te słowa Wantage roześmiał się złośliwie, a Fermour rzekł:

- Jeżeli przestaliście się już żreć, to może pójdziemy, zanim nas tu nakryją i pogodzą.

- Nie tak prędko - powiedział Complain. Ja ciągle jeszcze nie wiem, co tu robi ten wyceniacz. Dlaczego nie zajmie się wycenianiem? Miał ciepłą posadkę, dlaczego ją porzucił? Nie mogę tego zrozumieć, na jego miejscu nigdzie bym się nie ruszał.

- Bo nie masz nawet tyle rozumu co żaba - warknął Roffery napierając całym ciałem na wyciągnięte ramię kapłana. - Wszyscy mamy jakieś powody, aby porzucić tę zwariowaną osadę, ale moje powody to nie twój interes.

- Czego robisz o wszystko tyle zamieszania, Complain! - krzyknął Wantage. - A dlaczego ty idziesz z nami? Jestem całkowicie pewien, że nie mam ochoty na twoje towarzystwo.

Nagle między nimi pojawił się krótki miecz kapłana. Widzieli, jak bieleją mu palce kurczowo zaciśnięte na rękojeści.

- Jako święty człowiek - warknął - przysięgam na każdą kroplę zepsutej krwi w Kabinach, że wyślę w Długą Podróż pierwszego, który się odezwie.

Stali w milczeniu, zeszywniali z nienawiści.

- Słodkie, pokój czyniące ostrze - wyszeptał Marapper, a potem zdejmując tobolek z ramienia rzekł już normalnym głosem:

- Przytroczone to sobie na plecach, Roy, i weź się w garść. Ern, zostaw ten paralizator, zachowujesz się jak dziewczynka, która dostała nową lalkę. Uspokójcie się i chodźcie, tylko w zwartej grupie. Musimy przekroczyć jedną z barykad, aby dostać się w Bezdroża, więc trzymajcie się mnie. To nie będzie takie proste.

Zamknął drzwi do mieszkania, popatrzył w zamyśleniu na klucz, po czym schował go do kieszeni. Nie zwracając uwagi na pozostałych ruszył korytarzem. Przez moment wahali się, ale po



chwili podążyli za nim. Marapper z kamiennym spokojem patrzył przed siebie ignorując ich całkowicie, jakby należeli do innego, niepełnowartościowego świata.

Doszedłszy do następnego skrzyżowania korytarzy skręcił w lewo i po chwili znowu w lewo. Ten ostatni korytarz prowadził do krótkiej, ślepej uliczki zamkniętej furtką z siatki. Stał tam strażnik, gdyż była to jedna z bocznych barykad. Strażnik był spokojny, ale czujny: Siedział na skrzynce, z brodą opartą na ręce, ale gdy tamta piątka ukazała się na zakręcie, natychmiast zerwał się wymierzając w nich paralizator.

- Byłbym szczęśliwy mogąc strzelać! - zawołał używając zwyczajowego ostrzeżenia.

- A ja umierając - odpowiedział pogodnie Marapper. - Schowaj broń, Twemmers, nie jesteśmy Obcy. Robisz wrażenie zdenerwowanego:

- Stać, bo strzelam! - krzyknął strażnik Twemmers. - Czego chcecie? Zatrzymać się, cała piątka!

Marapper nie zwolnił kroku, a pozostali szli powoli za nim. Complaina zaintrygowała ta scena, chociaż nie wiedział dokładnie dlaczego.

- Masz już za słaby wzrok do tej pracy, przyjacielu! - zawołał kapłan. - Muszę powiedzieć Zilliacowi, żeby cię odwołano. To ja, Marapper, twój kapłan, rzecznik twojej wątpliwej normalności, wraz z kilkoma ludźmi dobrej woli. Nie ma dla ciebie dziś krwi, człowiek ...

- Mogę zastrzelić każdego - zagroził wojowniczo Twemmers wymachując bronią, ale cofając się równocześnie w stronę drucianej furtki znajdującej się za jego plecami.

- Zachowaj sobie tę broń na lepszy cel, chociaż nie wiem, czy ci się trafi większy - rzekł duchowny. - Mam tu coś ważnego dla ciebie.

W czasie tej wymiany zdań Marapper nie zwolnił kroku ani na chwilę, aż znalazł się bardzo blisko strażnika. Nieszczęśnik zawahał się; inni strażnicy byli wprawdzie w zasięgu głosu, ale fałszywy alarm mógł oznaczać dla niego chłostę, a jemu bardzo zależało na zachowaniu swojego skromnego stanowiska. Te kilka sekund wahania okazało się fatalne w skutkach - kapłan był już przy nim. Szybko wyciągnął spod płaszcza swój krótki miecz, ze stęknieniem wbił go głęboko w brzuch strażnika, zakręcił, po czym zręcznie zarzucił sobie na ramię jego zgięte w pół ciało. Kiedy ręce Twemmersa zaczęły uderzać bezwładnie o jego plecy, stęknął znowu, tym razem z zadowoleniem.

- Świetna robota, ojciec - rzekł z uznaniem Wantage. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

- Mistrzowska! - zawołał z szacunkiem w głosie Roffery.

- Przyjemnie zobaczyć duchownego, który tak doskonale potrafi wprowadzać w życie treść swoich nauk.

- Przyjemność po mojej stronie - mruknął Marapper - ale nie mówcie tak głośno, bo te psy nas dopadną. Fermour, weź to, dobrze?

Ciało zostało przeniesione na ramię Fermoura, który będąc prawie o głowę wyższy od pozostałych najlepiej się do tego celu nadawał. Marapper ze swobodą wytarł ostrze w kurtkę Complaina, schował miecz i zainteresował się furtką.

Z jednej ze swych przepastnych kieszeni wyciągnął nożyce do drutu i przeciął nimi złącze furtki. Chwycił za klamkę, furtka ustąpiła na jakiś cal, ale dalej nie puściła. Kapłan mocował się z

nią postępując, ale bezskutecznie.

- Pozwól - rzekł Complain.

Pociągnął z całej siły i furtka ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów otworzyła się nagle. Ukazała się studnia, ziejący czarny otwór. Cofnęli się, przerażeni.

- Ten hałas powinien sprowadzić wszystkich strażników z Kabin - rzekł Fermour studiując z zainteresowaniem napis: „Dzwoń na windę” umieszczony obok studni. - Co dalej, kapłanie?

- Przede wszystkim wrzucaj tu ciało - rzekł Marapper. - Tylko żywo!

Ciało zostało wrzucone w ciemny otwór i po chwili z satysfakcją usłyszeli głuchy łomot.

- Koszmar! - zawołał z upodobaniem Wantage.

- Jeszcze ciepły - wyszeptał Marapper. Chyba darujemy sobie rytuał pogrzebowy, zwłaszcza jeśli sami chcemy utrzymać się przy życiu. No, a teraz jazda, nie bójcie się, dzieci, ten ciemny otwór jest dziełem człowieka, kiedyś, jak sądzę, kursowało tam coś w rodzaju pojazdu. Pójdziemy w ślady Twemmersa, ale oczywiście nie z taką szybkością.

Pośrodku otworu zwisały kable. Kapłan chwycił je i ostrożnie opuścił się na rękach do niższego poziomu. Mając pod nogami ziejący otwór stanął na wąskiej półeczce, a potem jedną ręką ujął siatkę, a drugą nożyce do cięcia drutu. Ciągnąc ostrożnie i podpierając się nogą zrobił w furtce otwór na tyle duży, że się mógł przecisnąć. Wszyscy, jeden po drugim, poszli w jego ślady. Complain ostatni opuścił górny poziom. Zsunął się w dół po kablu, przesyłając Kabinom pozbawione życliwości pożegnanie. Milcząca piątka stała w zimnej poświacie.

Byli na obcym terenie, ale każda nowa gęstwina glonów przypominała poprzednie.

Stając na palcach Marapper zamknął zrećcznie za nimi furtkę i spojrzał przed siebie wyprostowując się jednocześnie i poprawiając płaszcz.

- Chyba już dość jak na jedną jawę i na tak starego duchownego jak ja - powiedział chyba że chcecie podjąć dyskusję na temat dowodzenia.

- Ta sprawa nie budziła nigdy wątpliwości - rzekł Complain patrząc wyzywająco w stronę Roffery'ego.

- Nie próbuj mnie prowokować - ostrzegł wyceniasz. - Idę za naszym ojcem, ale rozwalę każdego, kto będzie rozrabiał.

- Będziemy mieli dosyć kłopotów, aby zaspokoić najbardziej pod tym względem żarłoczny apetyt - rzekł Wantage tonem przepowiedni, odwracając się oszpeconą, połową twarzy do otaczającej ich ściany zieleni. - Byłoby wskazane, abyśmy przestali skakać sobie do oczu i oszczędzali naszych mieczy na inne brzuchy.

Niechętnie przyznali mu rację.

Marapper otrzepał swój krótki płaszcz przyglądając mu się uważnie - był pokrwawiony na brzegu.

- A teraz idziemy spać - powiedział - włamiemy się do pierwszego lepszego pomieszczenia i rozbijemy tam obóz. Tak będziemy spędzali sny. Nie możemy przebywać na korytarzach, bylibyśmy zbyt widoczni. W pokoju możemy wystawić straż i spać spokojnie.

- A czy nie lepiej, żebyśmy przed snem oddalili się bardziej od Kabin? - zapytał Complain.

- Jeżeli ja coś radzę, to radzę najlepiej rzekł Marapper. - Czy myślicie, że którykolwiek z tych leniwych sukinsynów nadstawi swego cholernego karku pakując się w nieznany teren, gdzie łatwo o zasadzkę? Nie będę strzepił sobie języka odpowiadając na te wasze idiotyczne pytania; powiem krótko i węzłowato: macie robić to, co wam każe. Na tym właśnie polega jedność; bez jedności jesteśmy niczym. Trzymajcie się twardo tej zasady, to przeżyjemy. Roy? Ern? Wantage? Fermour?

Kapłan patrzył im w twarze, jakby przeprowadzał identyfikację. Pod jego spojrzeniem mrużyli oczy niby cztery senne sępy.

- Przyjęliśmy już te warunki - rzekł zniecierpliwiony Fermour. - Czego chcesz od nas więcej, mamy ci może całować buty?

Mimo że wyraził w ten sposób ich wspólny pogląd, pozostała trójka zaczęła na niego powarkiwac. Łatwiej im było na niego niż na kapłana.

- Moje buty możesz całować dopiero, gdy zasłużysz sobie na to wyróżnienie - rzekł Marapper. - Ale ja chcę od was czegoś więcej. Żądam nie tylko, abyście słuchali mnie bez dyskusji, ale również abyście nigdy nie zwracali się przeciwko sobie nawzajem. Nie oczekuję, byście ufali sobie, ani niczego równie głupiego. Nie żądam łamania dogmatów Nauki - jeżeli mamy się udać w Długą Podróż, zrobimy to ortodoksyjnie. Nie możemy sobie jednak pozwolić na nieustanne kłótnie i napaści, dobre czasy w Kabinach skończyły się bezpowrotnie. Niektóre z niebezpieczeństw, na jakie możemy być narażeni, znamy, są to mutanci, Obcy, inne szczepy i wreszcie straszni ludzie z Dziobu. Nie mam jednak wątpliwości, że możemy natknąć się na niebezpieczeństwa, o których nic nie wiemy. Jeżeli odczuwacie niechęć do któregoś z waszych towarzyszy, zachowajcie lepiej to uczucie dla czegoś nie znanego, przyda się.

Popatrzył na nich badawczo. - Przysięgajcie - rzekł.

- To wszystko bardzo piękne - mruknął Wantage. - Oczywiście, ja się zgadzam, ale to oznacza wyrzeczenie się własnej osobowości. Jeżeli tego po nas oczekujesz, i my w zamian oczekujemy czegoś od ciebie, Marapper - że skończysz z tym całym gadaniem. Po prostu powiedz nam, o co ci chodzi, a my się zastosujemy, ale bez wysłuchiwanie tych wszystkich przemówień.

- Zupełnie słusznie - rzekł szybko Fermour, zanim doszło do nowej dyskusji - na miłość \_ boską, przysięgnijmy i kładźmy się spać.

Zgodzili się zrezygnować z przywileju kłótni i z kapłanem na czele ruszyli między festonami glonów. Tymczasem Marapper wyciągnął ogromny pęk magnetycznych kluczy. Po kilku metrach natrafili na pierwsze drzwi. Zatrzymali się i kapłan zaczął próbować jeden po drugim klucze w płytkim zamku. Complain poszedł dalej i po minucie usłyszeli jego głos.

- Tutaj są wyłamane drzwi! - zawołał. - Widocznie przechodził tędy jakiś inny szczep. Zaoszczędzimy sobie kłopotów, jeśli wejdziemy tutaj.

Podeszli do niego rozgarniając szeleszczące gałęzie. Drzwi były otwarte na szerokość palca - patrzyli na nie z niepokojem. Każde drzwi były niewiadomą, wejściem w nieznaną, wszyscy znali opowiadania o śmierci, która czaiła się za zamkniętymi drzwiami, a strach był w nich ugruntowany od wczesnego dzieciństwa.

Unosząc paralizator Roffery kopnął drzwi. Otworzyły się. Dały się słyszeć drobne kroki, po

czym zapadła martwa cisza. Pokój był bardzo duży, ale ciemny; źródło światła zostało zniszczone - jak dawno? Gdyby pokój był oświetlony, glony w swej niestrudzonej pogoni za światłem sforsowałyby drzwi, ale ciemnych zakamarków nie lubiły jeszcze bardziej niż człowiek.

- Tu są tylko szczury - rzekł Complain oddychając z trudem. - Wchodź, Roffery. Na co czekasz?

Bez słowa Roffery wyciągnął latarkę ze swego tobołka i zapalił ją. Ruszył naprzód pierwszy, pozostali tłoczyli się za nim. Pokój był wyjątkowo duży, osiem kroków na pięć, i całkiem pusty. Nerwowe światło latarki Roffery'ego ujawniło kratę sufitu, nagie ściany i podłogę zawałoną poniszczonymi przedmiotami. Zarówno krzesła, jak i biurka, których szuflady były powyciągane, a zawartość rozrzucona wokoło, nosiły ślady gwałtownych uderzeń zadanych siekierą. Lekkie, metalowe stelaże były pogięte i leżały w kurzu. Pięciu mężczyzn stało na progu rozglądając się podejrzliwie i zastanawiając się, jak dawno miał miejsce ten akt barbarzyństwa, czując go niemal w powietrzu, gdyż akty gwałtu w odróżnieniu od cnót przeżywają tych, których są dziełem.

- Możemy tu spać - rzekł krótko Marapper. - Roy, zajrzyj za te drzwi po drugiej stronie.

Drzwi, które wskazał, były otwarte do połowy. Odsunawszy połamane biurko Complain pchnął je i ukazała się mała łazienka. Porcelanowa umywalka była potłuczona, przewody doprowadzające wodę wyrwane ze ściany, na której znać było ślad starej rdzy. Woda nie leciała już od dawna. Complain oglądał łazienkę, gdy nagle brudny, biały szczur wyskoczył z rumowiska, zatoczył łuk i uniknąwszy kopnięcia Fermoura schował się w gąszczu glonów.

- To wystarczy - powiedział Marapper. Teraz zjemy, a potem pociągniemy losy, kto będzie stał na warcie.

Jedli, oszczędnie czerpiąc z zapasów, które mieli w torbach, i dyskutując w czasie jedzenia nad celowością wystawiania straży. Ponieważ Fermour i Complain uważali to za konieczne, a Roffery i Wantage za zbędne, głosy były idealnie podzielone, a kapłan nie zdradzał chęci rozstrzygnięcia sporu. Jadł w milczeniu, wytarł delikatnie ręce w szmatę i mając nadal pełne usta rzekł:

- Roffery, ty będziesz czuwał jako pierwszy, a Wantage jako drugi i w ten sposób będziecie mieli od razu sposobność udowodnienia swojej racji. W czasie następnego snu czuwać będą i Fermour i Complain.

- Mówiłeś, że mamy ciągnąć losy - powiedział gniewnie Wantage.

- Zmieniłem zdanie.

Powiedział to tak stanowczo, że Roffery instynktownie wycofał się z ataku.

- Sądzę, że ty, ojczu, nigdy nie będziesz stał i na straży? - zauważył.

Marapper rozłożył ręce, a na twarz przywołał wyraz dziecięcej niewinności.

- Moi drodzy przyjaciele, wasz kapłan czuwa nad wami cały czas, zarówno w czasie snu, jak i jawy.

Zmieniając nagle temat wyciągnął z płaszcza jakiś okrągły przedmiot.

- Za pomocą tego przyrządu - rzekł od którego przewidująco uwolniłem Zilliaca, będziemy mogli naukowo ustalić czas czuwania, aby żaden z was nie miał więcej obowiązków od drugiego. Widzicie, że ma on po jednej stronie koło złożone z cyfr oraz trzy wskazówki. Nazywa się to zegar i

odmierza czas, także czas czuwania. Skonstruowali go w tym celu Giganci, co oznacza, że mieli także do czynienia z szaleńcami i Obcymi.

Complain, Fermour i Wantage oglądali zegar z zainteresowaniem, Roffery, który stykał się z takimi przedmiotami w czasie swojej pracy wyceniacza, siedział z wyniosłą miną. Kapłan odebrał swoją własność i zaczął kręcić mały guzik znajdujący się z boku przyrządu.

- Robię to, aby działał - wyjaśnił łaskawie. - Z trzech wskazówek ta mała porusza się bardzo szybko, możemy ją całkowicie pominąć. Dwie duże poruszają się z różną szybkością, ale nas interesuje tylko ta wolniejsza. Widzicie, że dotyka teraz cyfry osiem. Będiesz czuwał, Ern, tak długo, aż wskazówka dotknie cyfry dziewięć, potem obudzisz Wantage'a. Wantage, kiedy wskazówka pokaże cyfrę dziesięć; obudzisz nas wszystkich i ruszymy w drogę. Jasne?

- Gdzie pójdziemy? - spytał pośpiesznie Wantage.

- Będziemy o tym mówić, jak się wyśpimy - rzekł stanowczo Marapper. - Sen jest teraz najważniejszy. Obudzicie mnie, jeżeli ktoś będzie się poruszał za drzwiami, ale bez fałszywych alarmów. Bywam bardzo rozdrażniony, kiedy przerywa mi się sen.

Położył się w kącie, kopnął połamane krzesło, które mu przeszkadzało, i zaczął szykować się do snu. Bez wahania wszyscy poszli w jego ślady, z wyjątkiem Roffery'ego, który przyglądał im się z niechęcią.

Leżeli już wszyscy na podłodze, gdy Wantage odezwał się z wahaniem:

- Ojcie, ojcie Marapper - w jego głosie brzmiało błaganie. - Czy nie zechcesz pomodlić się o całość naszej skóry?

- Jestem zbyt zmęczony, aby zajmować się czy jakąkolwiek skórą - odparł Marapper.

- Krótką modlitwę, ojcie.

- Jak sobie życzysz. Dzieci, przestrzeni dla naszego ja, módlmy się.

Leżąc na brudnej podłodze zaczął się modlić. Początkowo słowa nie miały większej siły, ale w miarę jak się zapalał, modlitwa nabrała mocy.

- O Świadomości, oto jesteśmy tutaj niegodni, aby być Twoim naczyniem, gdyż wiadome nam jest, iż mamy wiele wad i nie dokładamy dostatecznych starań, aby je w sobie zwalczać, co jest przecież naszym obowiązkiem. Jesteśmy biedni i biedne jest nasze życie, ale mając Ciebie nie jesteśmy pozbawieni wszelkiej nadziei. O Świadomości, bądź życzliwym sternikiem tych pięciu skromnych łódek, gdyż więcej jest nadziei dla nas, ich żeglarzy, niż dla tych wszystkich, którzy pozostali, i dlatego jest w nas więcej miejsca dla Ciebie. Azaliż nie wiemy, że gdy Ciebie zabraknie, pojawi się Twój wróg, Podświadomość, pozwól więc, aby myśli nasze należały tylko do Ciebie. Uczynь nasze ręce szybszymi, nasze ramiona silniejszymi, nasz wzrok ostrzejszym, nasz gniew gwałtowniejszym, abyśmy mogli pokonać i zabić wszystkich, którzy nam się przeciwstawiają. Pozwól nam rozpędzić ich i porazić! Daj nam rozwlec ich wnętrzności po całym statku! Daj, abyśmy doszli w końcu do potęgi Ciebie pełni i w Twoim będąc wyłącznie posiadaniu. Pozwól, aby Twa iskra płonęła w nas tak długo, aż wróg nas powali i dla nas także zacznie się Długa Podróż.

Intonując modlitwę kapłan uniósł się, ukląkł i wyciągnął nad głową ręce, co wszyscy po nim powtórzyli, na koniec zaś wyprostował ramię i zgodnie z rytuałem wykonał ruch palcem wzdłuż

gardła.

- No, a teraz zamknijcie się - rzekł już swym normalnym głosem układając się ponownie w swoim kącie.

Complain leżał oparty o ścianę, z głową na torbie. Spał zwykle lekko, jak zwierzę, bez okresów drzemki między spaniem i przebudzeniem. W tym jednak niecodziennym otoczeniu leżał z współprzymkniętymi oczyma starając się myśleć. Myśli te były wyłącznie tylko uogólnionymi obrazami: puste posłanie Gwenny, Marapper stojący z triumfem nad zwłokami Zilliaca, Meller i skaczące zwierzę, które rosło mu pod palcami, gęsta ciecz wygotowująca życie z Ozberta Bergassa, napięte mięśnie na karku Wantage'a gotowego natychmiast odwrócić głowę od ciekawych spojrzeń, strażnik Twemmers osuwający się bezwładnie w ramiona Marappera. Wszystkie te obrazy łączył znamienny fakt: dotyczyły one jedynie tego, co było, przyszłość natomiast nie wywoływała żadnych obrazów. Podążał teraz za jakimś nierealnym celem, wkraczał w ciemność, o której mówiła i której bała się jego matka.

Nie wyciągał żadnych wniosków, nie tracił czasu na zmartwienia; wręcz odwrotnie - czuł coś w rodzaju nadziei zgodnie z popularnym powiedzeniem, które brzmiało: „Diabeł, którego nie znasz, może pokonać tego, który ci jest znany,,.

Zanim zasnął, dostrzegł pokój słabo oświetlony z korytarza, a przez zewnętrzne drzwi fragment wiecznej gęstwiny. W niezmiennym i bezwietrznym upale nieustannie szeleściły glony, od czasu do czasu słychać było cichy trzask, gdy nasienie wpadało do pokoju. Rośliny rosły tak szybko, że gdy się Complain obudził, młode były o kilkanaście centymetrów wyższe, a stare splątały się w okolicy przeszkody, jaką stanowiły ścianki działowe. Wkrótce zarówno jedne, jak i drugie miała zniszczyć ciemność. Nie uświadamiał sobie jednak, widząc tę nieustanną walkę, jak bardzo to wszystko przypomina ludzkie życie.

- Ty chrapiasz, kapłanie - rzekł uprzejmie Roffery, gdy na początku nowej jawy siedzieli przy jedzeniu.

Ich wzajemne stosunki uległy subtelnym przeobrażeniom, jakby w czasie snu działała na nich jakaś czarodziejska siła. Uczucie, że są rywalami, przeniesione żywcem z Kabin, zniknęło, byli oczywiście nadal rywalami, ale w takim sensie, w jakim wszyscy mężczyźni ze sobą rywalizują, przede wszystkim jednak czuli więź łączącą ich przeciw całemu otoczeniu. Czuwanie wpłynęło korzystnie na stan ducha Roffery'ego, który stał się obecnie prawie potulny. Z całej piątki tylko Wantage wydawał się nie zmieniony. Jego charakter, stale wystawiany na niszczące działanie samotności i upokorzeń, niby drewniany słup na działanie rwącej rzeki, nie miał żadnej możliwości zmiany. Wantage'a można było tylko złamać albo zabić.

- Musimy dojść tej jawy jak najdalej - rzekł Marapper. - Wczasie następnej sen-jawy będzie, jak wiecie, ciemno i nie byłoby wskazane wtedy podróżować, jako że latarki mogą zdradzić naszą obecność każdemu. Zanim jednak ruszymy, chcę wam ujawnić nasze plany, a w tym celu trzeba coś niecoś powiedzieć o statku.

Rozejrzał się wokół z uśmiechem, nadal jedząc łapczywie.

- Pierwsza sprawa to fakt, że jesteśmy na statku. Wszyscy się ze mną zgadzają?

Jego spojrzenie wymogło na każdym z nich coś w rodzaju odpowiedzi: „Oczywiście” Fermoura, niecierpliwy pomruk Wantage'a, jakby uważał pytanie 7a niestosowne, obojętne

nieokreślone skinienie dłonią Roffery'ego i „nie” Complaina.

Marapper zainteresował się tym „nie” żywo. - Lepiej będzie, jak to szybko zrozumiesz, Roy - powiedział. - Na początek dowody. Słuchaj uważnie, przywiązuję dużą wagę do tej sprawy i objawy zdecydowanej głupoty mogłyby wywołać u mnie gniew, którego byśmy potem wszyscy żalowali.

Chodził wokół połamanych mebli, potężny, przemawiając z emfazą i powagą.

- A więc, Roy, zapamiętaj jedno, że nie być na statku to zupełnie coś innego niż być na nim. Wicie - wszyscy wiemy właściwie - jedynie co to znaczy być na statku i dlatego uważamy, że istnieje tylko statek. Ale jest wiele miejsc, które nie są statkiem, wielkich i licznych... Wiem to z zapisów pozostawionych przez Gigantów. Statek został przez nich zbudowany dla jakichś im wiadomych celów, które, jak na razie, są przed nami ukryte.

- Słyszałem to już w Kabinach - rzekł ze smutkiem Complain. - Przypuśćmy, Marapper, że uwierzę w to, co mówisz. Co z tego? Statek czy świat, co za różnica?

- Nie rozumiesz tego. Popatrz - to mówiąc kapłan pochylił się, zerwał pęk glonów i zaczął nim machać Complainowi przed nosem. - To jest coś naturalnego, coś, co samo wyrosło rzekł.

Wpadł do łazienki i kopnął porcelanową umywalkę, aż zadźwięczała.

- To zostało wykonane sztucznie - powiedział. - Czy teraz rozumiesz? Statek jest tworem sztucznym, świat zaś jest naturalny. Jesteśmy naturalnymi istotami i nasz prawdziwy dom to nie jest statek, zbudowany przez Gigantów.

- Ale nawet jeżeli tak jest... - zaczął Complain.

- Tak jest. Tak właśnie jest. Dowody są wszędzie naokoło ciebie: korytarze, ściany, pokoje, wszystko sztuczne, ale ty jesteś tak do nich przyzwyczajony, że tego nie dostrzegasz.

- To, że on tego nie dostrzega, nie jest ważne - rzekł Fermour. - Cóż to ma za znaczenie.

- Ja to widzę - powiedział gniewnie Complain - ja tylko nie mogę tego zaakceptować.

- No dobrze, siedź więc cicho i przemyśl to sobie, a tymczasem my idziemy dalej - rzekł Marapper. - Czytałem liczne książki i znam prawdę. Giganci zbudowali ten statek w jakimś konkretnym celu; cel został po drodze zagubiony, a sami Giganci wymarli. Pozostał tylko statek...

Przestał chodzić i stanął przy ścianie opierając o nią czoło. Kiedy podjął, mówił jakby do siebie.

- Pozostał tylko statek. Tylko statek, a w nim jak w pułapce wszystkie szczepy ludzkie. Musiała wydarzyć się jakaś katastrofa, gdzieś stało się coś strasznego, a nas pozostawiono własnemu losowi. To jest wyrok, wykonany na nas za jakiś okropny grzech popełniony przez naszych praojców.

- Całe to gadanie nie jest warte funta kłaków - rzekł gniewnie Wantage. - Spróbuj wreszcie zapomnieć, że jesteś kapłanem, Marapper. To nie ma żadnego znaczenia z punktu widzenia naszych dalszych losów.

- Ma, i to ogromne - powiedział Marapper wsadzając z ponurą miną ręce do kieszeni i wyciągając zaraz jedną, aby podłubać w zębach. Tak naprawdę interesuje mnie tylko teologiczny aspekt tej sprawy. Jeżeli chodzi o was, istotny jest fakt, że statek skądś przybył i dokądś się udaje. To, dokąd się udaje, jest ważniejsze niż sam statek, bo tam się powinniśmy właściwie znajdować. To

jest nasze prawdziwe miejsce.

- Wszystko to nie stanowi żadnej tajemnicy - chyba dla durniów; tajemnicą jest natomiast, dlaczego trzyma się nas w niewiedzy co do miejsca, w którym się znajdujemy. Co się właściwie dzieje za naszymi plecami?

- Gdzieś coś nawaliło - rzekł pospiesznie Wantage. - Zawsze mówiłem: gdzieś coś nie wyszło.

- Nie mów takich rzeczy w mojej obecności - rzekł opryskliwie kapłan. Wydawało mu się, że ogólna akceptacja jego poglądów osłabi jego pozycję i autorytet.

- Istnieje sprzysiężenie. Uknuto przeciwko nam jakąś intrygę. Pilot lub kapitan tego statku gdzieś się ukrywa, a my mkniemy w dal pod jego kierownictwem nie zdając sobie sprawy, że w ogóle podróżujemy, ani nie znając celu podróży. To jakiś szaleniec, który ukrywa się w zamknięciu, a na nas spadła kara za grzech popełniony przez naszych praojców.

Complainowi wszystko to wydawało się przerażające i nieprawdopodobne, aczkolwiek nie bardziej nieprawdopodobne niż sam pomysł, że znajdują się na pędzącym statku. Ale akceptacja jednego pociągała za sobą akceptację drugiego, w związku z czym milczał. Przytłoczyło go uczucie niepewności. Przyglądając się obecnym nie zauważył, żeby zgadzali się entuzjastycznie z kapłanem. Fermour uśmiechał się ironicznie, twarz Wantage'a wyrażała stałe nieokreślone niezadowolenie, a Roffery niecierpliwie szarpał wąsy.

- Mój plan jest następujący - podjął kapłan. - Niestety w jego realizacji potrzebna mi będzie wasza pomoc. Musimy znaleźć tego kapitana, musimy dopaść go w miejscu, w którym się ukrywa. Jest na pewno dobrze schowany, ale żadne najlepiej nawet zamknięte drzwi nie uratują go przed nami. Jak go już znajdziemy, zabijemy go i tym samym opanujemy statek.

- A co zrobimy ze statkiem, kiedy go już opanujemy? - spytał Fermour tonem mającym wyraźnie na celu przyhamowanie nadmiernego entuzjazmu Marappera.

Duchowny tylko przez chwilę wydawał się zaskoczony.

- Znajdziemy dla niego jakiś cel - powiedział. - Tego rodzaju detale pozostawcie mnie.

- Gdzie mamy szukać tego kapitana? chciał wiedzieć Roffery.

W odpowiedzi kapłan odchylił płaszcz, sięgnął pod sutannę i ze swobodą zademonstrował książkę, którą Complain widział już poprzednio. Machał im tytułem przed oczyma, ale nie miało to dla nich większego znaczenia, gdyż tylko Roffery czytał biegle. Dla pozostałych czytelne były sylaby, których nie potrafili złożyć w słowa. Zabierając im książkę sprzed oczu Marapper łaskawie wyjaśnił, że nosi ona tytuł „Schematy obwodów elektrycznych statku gwiazdowego”. Wyjaśnił także, co stało się dla niego znów okazją do pochwalenia się, w jaki sposób książka ta znalazła się w jego posiadaniu. Leżała w magazynie, w którym strażnicy Zilliaca znaleźli worki z farbami; została wyrzucona na stos rzeczy oczekujących inspekcji Komendy. Marapper zobaczył ją i przewidując z góry jej wartość, ukrył w kieszeni. Złapał go na tym jeden ze strażników. Milczenie tego wysoce lojalnego człowieka można było kupić wyłącznie za obietnicę, że pójdzie razem z Marapperem i podzieli z nim władzę.

- Czy to był ten strażnik, którego Meller załatwił pod drzwiami mojego pokoju? - spytał Complain.

- Ten sam - rzekł kapłan wykonując automatycznie znak żalu. - Jak się nad wszystkim dobrze



zastanowił, doszedł do wniosku, że zrobi lepszy interes mówiąc o moich zamiarach Zilliacowi.

- Kto wie, czy nie miał racji - zauważył zjadliwie Roffery.

Ignorując tę uwagę kapłan otworzył książkę i rozłożył wykres przyciskając go palcem.

- Oto jak wygląda klucz do całej sprawy - rzekł z głębokim przekonaniem. - To jest plan statku.

Ku swemu niezadowoleniu musiał natychmiast przerwać rozpoczęte przemówienie i wytłumaczyć im, co to jest plan, gdyż pojęcie to było im zupełnie nie znane. Tym razem Complain miał przewagę nad Wantage'em, gdyż bardzo szybko pojął sens planu, a przede wszystkim zrozumiał, na czym polega dwuwymiarowe przedstawienie trójwymiarowego obiektu, do tego jeszcze tak wielkiego jak statek. Wantage'owi nie pomogły nawet prawie naturalnej wielkości obrazy Menera; ustalono w końcu, że musi się pogodzić z faktem, którego nie rozumie, podobnie jak Complain „przyjął” istnienie statku, chociaż nie widział na to żadnych racjonalnych dowodów.

- Nikt przedtem nie dysponował jeszcze tak dokładnym planem statku - pouczał Marapper. - To szczęście, że wpadł w moje ręce. Ozbert Bergass wiedział bardzo dużo o budowie statku, ale dokładnie znał tylko rejon Schodów Rufowych i część Bezdroży.

Plan ujawnił, że statek wyglądem przypomina wydłużone jajko, w środku walcowate, zakończone tępo na obu biegunach. Całość obejmowała osiemdziesiąt cztery pokłady, które w przekroju poprzecznym przypominały monetę. Większość pokładów (z wyjątkiem kilku na obu końcach) składała się z trzech koncentrycznych poziomów: górnego, środkowego i dolnego. Znajdowały się w nich korytarze połączone ze sobą windami lub schodkami, a wzdłuż korytarzy pomieszczenia mieszkalne, czasami niewielkie, i wtedy było ich dużo, a czasami tak ogromne, że zajmowały cały poziom. Wszystkie pokłady połączone były ze sobą korytarzem biegnącym wzdłuż dłuższej osi statku, tak zwanym Korytarzem Głównym. Istniały jednak także dodatkowe połączenia między krętymi korytarzami poszczególnych pokładów, jak również między leżącymi koło siebie pokładami.

Jeden koniec statku był oznaczony wyraźnie jako „Rufa”, na drugim widniał napis „Sterownia”. W tym miejscu Marapper położył palec.

- Oto gdzie znajdziemy kapitana - rzekł. - Ten, kto się tu znajduje, kieruje statkiem. Tam się właśnie udamy.

- Dzięki temu, że mamy plan, będzie to dziecinnie proste zadanie - oświadczył Roffery zacierając ręce. - Musimy tylko iść cały czas Korytarzem Głównym. Może jednak słuchanie ciebie, Marapper, nie było tak wielkim idiotyzmem.

- To nie będzie takie proste - powiedział Complain. - Spędzałeś wszystkie jawy wygodnie w Kabinach i nie znasz zupełnie panujących poza nimi warunków. Korytarz Główny jest dobrze znany myśliwym, ale w odróżnieniu od każdego innego korytarza nie prowadzi donikąd.

- Pomimo że formułujesz swój pogląd bardzo naiwnie, Roy, masz rację - przyznał Marapper. - W tej książce znalazłem wytłumaczenie, dlaczego on nie prowadzi donikąd. Otóż wzdłuż całego Korytarza Głównego znajdowały się drzwi awaryjne. Każdy krąg pokładu zbudowany był tak, aby mógł być mniej więcej samowystarczalny w razie jakiegoś zagrożenia.

Zaczął przewracać strony zawierające rysunki techniczne.

- Nawet ja nie rozumiem wszystkiego, ale chyba jest jasne, że musiało coś się przydarzyć, pożar lub coś w tym rodzaju, i drzwi Korytarza Głównego pozostały od tego czasu zamknięte.

- To dlatego, pomijając glony, tak trudno gdziekolwiek się dostać - dodał Fermour. - Po prostu kręcimy się w kółko. Pozostaje nam tylko odnaleźć dodatkowe połączenia, które są nadal otwarte, i wykorzystać je. Oznacza to, że będziemy musieli ciągle się cofać i zawracać, zamiast iść prosto.

- Otrzymasz ode mnie w tej sprawie szczegółowe instrukcje. Dziękuję - rzekł krótko kapłan. - Ponieważ, jak widzę, jesteście wszyscy szalenie mądrzy, więc już bez dalszego ociągania możemy iść dalej. Bierz ten pakunek na plecy, Fermour, i ruszaj pierwszy.

Wstali posłusznie - za drzwiami czekały niegościnne Bezdroża.

- Aby dotrzeć do sterowni, musimy przedostać się przez tereny Dziobowców - powiedział Complain,

- Przestraszony? - zapytał zjadliwie Wantage.

- Tak, Dziurawa Gębo, przestraszony.

Wantage odwrócił się gniewnie, zbyt jednak zaabsorbowany, aby ostro zareagować na znienawidzone przezwisko.

W milczeniu przedzierali się przez gąszcze, marsz ich był powolny i męczący. Pojedynczy łowca może przemykać się między glonami nie wycinając ich, trzymając się za to bliżej ściany. W szeregu nie mogli stosować tej metody z dobrym skutkiem, gdyż odginające się gałęzie uderzały tych z tyłu. Można było tego uniknąć zwiększając między sobą odstęp, wiedzeni jednak rozsądkiem trzymali się możliwie blisko siebie nie odsłaniając się z przodu ani z tyłu. W posuwaniu się pod ścianą przeszkadzało im jeszcze jedno: w tym miejscu warstwa okrytych chitynowymi łupinami nasion była najgrubsza, odbijając się bowiem od ściany spadały one w pobliżu i każdy krok wywoływał głośny trzask. Doświadczone oko Complaina zarejestrowało bezbłędnie znamieny fakt: obfitość nasion, stanowiących przysmak psów i świń, wskazywała na brak zwierzyny w tej okolicy.

Plaga much nie zmniejszała się; bez przerwy brzęczały podróżnikom koło uszu. Idący na przedzie Roffery karczował glony. Za każdym razem kiedy unosił siekiere, wymachiwał nią niebezpiecznie wokół głowy, by się pozbyć drażniącej chmury owadów.

Pierwsze dodatkowe połączenie między pokładami, do którego dotarli, było dosyć wyraźnie oznakowane. Znajdowało się w krótkim bocznym korytarzu i składało się z dwojga pojedynczych metalowych drzwi, w tej chwili lekko uchylonych. Mogły one umożliwić przejście korytarzem, ale obecnie były całkowicie zablokowane przez zachłanną zieleń. Na pierwszych widniał napis „Pokład 61”, na drugich zaś „Pokład 60”. Marapper mruknął z zadowoleniem, ale było zbyt gorąco, aby wygłaszać komentarze. Complain w czasie polowania natrafiał już poprzednio na takie same połączenia, widywał także napisy, ale wówczas nic one dla niego nie oznaczały; obecnie starał się skojarzyć poprzednie doświadczenia z koncepcją pędzącego statku, lecz jak na razie wszystko było zbyt świeże i nie nadawało się do bezkrytycznej akceptacji.

Na Pokładzie 60 napotkali innych ludzi.

Fermour właśnie szedł pierwszy torując ze stoickim spokojem drogę, gdy nagle pojawiły się otwarte drzwi. Takie drzwi zawsze oznaczały niebezpieczeństwo, zbijali się więc w gromadę i przechodzili razem. Zazwyczaj nic się nie działo, tym razem jednak zobaczyli w pokoju starą kobietę.

Leżała nago na podłodze, obok niej zaś spała przywiązana na sznurku owca. Kobieta odwrócona była bokiem, dzięki czemu mogli doskonale zobaczyć jej lewe ucho. Na skutek jakiejś przedziwnej choroby rozrosło się ono jak wielka gąbka, wystając spomiędzy rzadkich, tłustych, siwych włosów. Było koloru intensywnie różowego i wyraźnie kontrastowało z bladą twarzą.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na nich sowimi oczyma. Natychmiast, nie zmieniając wyrazu twarzy, zaczęła głucho wyć. Complain zauważył przy tym, że jej drugie ucho jest zupełnie normalne.

Owca obudziła się, odbiegła na długość linki becząc i krztusząc się ze strachu.

Zanim cała piątka zdążyła się oddalić, z tylnego pokoju wybiegło dwóch mężczyzn, prawdopodobnie zaalarmowanych krzykiem, i stanęło bezradnie za wyjąca kobietą.

- Oni nam nic nie zrobią - powiedział z ulgą Fermour.

Było to oczywiste. Obaj mężczyźni byli starzy, jeden zgięty w pół, bardzo już bliski Długiej Podróży, drugi straszliwie chudy i pozbawiony ręki w wyniku jakiejś zamierchłej rozprawy nożowniczej.

- Powinniśmy ich zabić - rzekł Wantage i jedna połowa jego twarzy wyraźnie się rozjaśniła. - Przede wszystkim tę potworną wiedźmę.

Słyszac te słowa kobieta przestała krzyczeć.

- Przestrzeni dla waszych osobowości - powiedziała szybko. - Zarazy na wasze oczy, dotknijcie nas tylko, a przekleństwo, które na nas ciąży, spadnie na was.

- Przestrzeni dla twojego ucha, pani - rzekł ponuro Marapper. - Chodźcie, bohaterowie, nie ma potrzeby pozostawać tu dłużej. Odejźmy szybko, zanim wrzaski tej wariatki nie sprowadzą tutaj kogoś groźniejszego.

Zawrócili z powrotem w gęstwinę. Trójka mieszkańców pokoju przyglądała się temu bez ruchu. Mogli oni stanowić niedobitki jakiegoś szczepu z Bezdroży, istniało jednak większe prawdopodobieństwo, że byli po prostu uciekinierami z trudem utrzymującymi się przy życiu w tych dzikich ostępach.

Od tej chwili wędrowcy znajdowali coraz częściej ślady innych mutantów lub pustelników. Glony były często wydeptane, co ułatwiało wprawdzie marsz, ale napięcie spowodowane koniecznością zachowania stałej czujności było znacznie większe. Ani razu jednak nie zostali zaatakowani.

Następne dodatkowe połączenie między pokładami było zamknięte. Stalowe drzwi, idealnie dopasowane do framugi, pomimo zbiorowych wysiłków nie dały się sforsować.

- Musi istnieć jakiś sposób, aby je otworzyć - rzekł gniewnie Roffery.

- Powiedz kapłanowi, aby zajrzał do tej swojej przeklętej książeczki - rzekł Wantage. - Jeżeli chodzi o mnie, siadam tutaj i biorę się do jedzenia.

Marapper chciał iść od razu dalej, ale pozostali poparli Wantage'a i milcząc przystąpili do posiłku.

- Co się stanie, jeżeli znajdziemy się na pokładzie, na którym wszystkie drzwi będą zamknięte,

tak jak te? - zainteresował się Complain.

- To wykluczone - rzekł stanowczo Marapper. - W tym wypadku nigdy nie słyszelibyśmy o Dziobowcach. Na pewno istnieje droga i to więcej niż jedna - prowadząca na te tereny. Musimy tylko przejść na inny poziom i poszukać.

Ostatecznie znaleźli przejście na Pokład 59, a potem wyjątkowo szybko na 58. Tymczasem zrobiło się późno, zbliżała się ciemna sen-jawa. Znowu opanował ich niepokój.

- Czyście zauważyli ciekawą rzecz? - spytał nagle Complain. W tej chwili on prowadził całą grupę, zlany potem i sokiem glonów. - Zmienia się gatunek glonów.

Była to prawda. Giętkie dotychczas gałęzie stawały się mięsistsze, nie tak twarde. Mniej było listowia, za to częściej pojawiały się woskowate zielonkawe kwiaty. Zmienił się im także grunt pod nogami. Normalnie był zbity i twardy, poprzerastany gęstą plątaniną korzeni wysysających każdą kroplę wilgoci, obecnie stał się miękki, a sama gleba zwilgotniała i pociemniała.

Im dalej szli, tym objawy te były wyraźniejsze i wkrótce brnęli już w błocie. Minęli hodowlę pomidorów, potem jakieś krzaki z owocami, których nie mogli rozpoznać; wśród wyraźnie słabnących glonów pojawiały się coraz to nowe gatunki roślin. Ta zaskakująca zmiana zaniepokoiła ich. Mimo to w obawie przed zapadającą ciemnością Marapper zarządził postój.

Przepchnęli się do bocznego pokoju, do którego już wcześniej dokonano włamania. Był on zawalony belami grubego materiału w bardzo zawyły wzór. Światło latarki Fermoura ujawniło obecność niezliczonej liczby moli. Z trudnym do opisanego dźwiękiem uniosły się z materiału, z którego od razu zniknął wzorek, ale za to pojawiła się ogromna liczba wyżartych głęboko dziur. Mole krążyły po pokoju, wylatywały na korytarz; czuli się, jakby się znaleźli wśród burzy piaskowej.

Na widok wielkiego mola lecącego prosto na jego twarz Complain uchylił się. Na krótką chwilę uległ dziwnemu złudzeniu, które miał przypomnieć sobie później: chociaż mól przeleciał mu koło ucha, odniósł wrażenie, że wpadł mu prosto do głowy. Była to oczywiście halucynacja, ale czuł, że mu owad wypełnia mózg. Nagle całe to złudzenie minęło.

- Wykluczone, aby tu można było zasnąć rzekł pełen niesmaku i poprowadził towarzyszy dalej bagnistym korytarzem. Następne otwarte drzwi, jakie udało im się znaleźć, wiodły do pomieszczenia, które okazało się idealne na rozbiście obozu. Był to jakiś warsztat, duży pokój wypełniony stołami roboczymi, tokarkami i innymi przedmiotami, z ich punktu widzenia bezwartościowymi. Z kranu, który nie dał się zakręcić, płynął niepewny strumień wody. Ściekała ona nieustannie do zlewu i dalej do znajdującej się gdzieś pod pokładem ogromnej instalacji do odzysku ścieków. Zmęczeni, umyli się i popijając pożywili się ze swoich zapasów. Gdy kończyli, pojawiła się ciemność, naturalny mrok występujący raz na cztery sen-jawy. Nikt nie domagał się modłów, duchowny także ich nie proponował. Był on równie zmęczony jak pozostali i zajęty tymi samymi co oni myślami. Pokonali dopiero trzy pokłady, a od sterowni dzielił ich jeszcze szmat drogi. Po raz pierwszy Marapper zrozumiał, że niezależnie od zalet jego planu, nie oddawał on nawet w przybliżeniu prawdziwych rozmiarów statku.

Cenny zegar został wręczony Complainowi, który miał z kolei obudzić Fermoura, gdy, większa wskazówka zatoczy pełne koło. Łowca obserwował z zazdrością, jak pozostali rozciągnęli się pod stołami i natychmiast zapadli w sen. Przez pewien czas z uporem stał, ale zmęczenie zmusiło go do zajęcia pozycji siedzącej. Intensywnie poszukiwał odpowiedzi na tysiące dręczących go pytań, ale i

to zmęczyło go po pewnym czasie. Siedział oparty o stół patrząc na zamknięte drzwi. Przez okrągłą matową szybę, która się w nich znajdowała, widać było słabe światło kontrolne na korytarzu. Jego krąg robił się coraz większy i większy, wirował i rozplątywał się... aż wreszcie Complain zamknął oczy...

Obudził się gwałtownie, z uczuciem niepokoju. Drzwi były otwarte. Na korytarzu, całkowicie niemal pozbawione światła, glony umierały szybko. Ich wierzchołki załamywały się i tuliły razem, jak klęczący starzy ludzie nakryci kocem. Erna Roffery'ego nie było w pokoju.

Complain wstał, wyciągnął paralizator i nasłuchując podszedł do drzwi. Było mało prawdopodobne, aby ktoś mógł uprowadzić Roffery'ego - nie obyłoby się bez szamotania, które na pewno pobudziłoby wszystkich. Wynikało z tego jasno, że Roffery opuścił pokój z własnej woli. Ale dlaczego? Czyżby usłyszał coś w korytarzu?

Owszem, z oddali dochodził jakiś odgłos przypominający bulgot wody. Im dłużej Complain nasłuchiwał, tym dźwięk wydawał się silniejszy. Rzucił szybkie spojrzenie na trzech śpiących i wyszedł szukać źródła dźwięku. Ten dość ryzykowny krok wydał mu się lepszy niż budzenie kapłana i wyjaśnianie, że drzemał zamiast czuwać.

Na korytarzu ostrożnie zapalił latarkę i od razu odnalazł w błocie ślady Roffery'ego - prowadziły one w kierunku nie zbadanej jeszcze części poziomu, na którym się znajdowali. Łatwiej mu się było teraz posuwać, gdyż glony skupione były na środku korytarza, a ściany wolne. Complain poruszał się ostrożnie, nie zapalając niepotrzebnie światła, z paralizatorem gotowym do strzału.

Na skrzyżowaniu korytarzy zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył dalej w kierunku, który wskazywał mu bulgot wody.

Glony zniknęły i pojawił się splukany przez strumień wody pokład. Complain czuł, jak omywa mu buty, i szedł bardzo wolno starając się nie pluskać. To było coś zupełnie nowego...

Przed nim pojawiło się światło. Gdy się zbliżył, stwierdził, że pali się ano w wielkim pomieszczeniu oddzielonym od korytarza podwójnymi oszklonymi drzwiami. Podszedł do drzwi i zatrzymał się, czytając wyraźnie namalowany napis: „Basen kąpielowy”. Powtórzył te słowa zupełnie nie rozumiejąc ich znaczenia. Przez drzwi dojrzał płaskie schody prowadzące w kierunku kolumnady znajdującej się na górze, a za jedną z kolumn cień człowieka.

Odskoczył natychmiast od drzwi. Ponieważ człowiek nie poruszył się, Complain uznał, że go nie dostrzegł, i popatrzył znowu. Człowiek był odwrócony tyłem i wyglądał jak Roffery. Complain otworzył ostrożnie drzwi i natychmiast fala zalała mu stopy. Woda spływała schodami zmieniając je w wodospad.

- Roffery! - zawołał kierując paralizator na stojącego za kolumną człowieka. Te trzy sylaby wypowiedziane normalnym głosem, wzmocnione wielokrotnie na skutek rezonansu, zabrzmiały jak grzmot, a echo powtórzyło je wiele razy, nim zamarło w ciemności otaczającej go jaskini. Zanikające echo zatarło niejako wszystkie inne dźwięki pozostawiając tylko dzwoniącą w uszach głuchą ciszę.

- Kto tam? - odezwała się szeptem postać.

Pomimo strachu Complain zdołał wyszeptać swoje imię, po czym mężczyzna skinął na niego. Complain stał początkowo jak przykuty i dopiero na ponowne ponaglenie zaczął wolno wchodzić po schodach. Gdy zrównał się ze stojącą postacią, upewnił się, że był to rzeczywiście wyceniacz.

Roffery złapał go za ramię.

- Spałeś, durniu! - syknął w ucho Complainowi.

Complain skinął potulnie głową obawiając się ponownego wzbudzenia echa. Roffery nie podtrzymał podjętego tematu, tylko bez słowa wyciągnął rękę. Complain spojrzał we wskazanym kierunku, zaskoczony wyrazem jego twarzy.

Żaden z nich nie widział jeszcze nigdy tak wielkiego pomieszczenia. Oświetlona tylko jedną żarówką, którą mieli po lewej stronie, ogromna przestrzeń rozciągała się bez końca i ginęła w ciemnościach. Podłogę stanowiło lustro wody, z koncentrycznie rozchodzącymi się zmarszczkami. W świetle woda lśniła jak metal. W drugim końcu pomieszczenia z gładkiej powierzchni wystawały rury podtrzymujące pomosty równej wysokości, a po obu stronach pokoju widniały słabo rysujące się w mroku kajuty.

- Jakież to piękne - westchnął Roffery. Powiedz, czy to nie jest piękne?

Complain popatrzył na niego ze zdziwieniem. Słowo „piękne” miało zabarwienie wyłącznie erotyczne i używane było tylko w stosunku do wyjątkowo atrakcyjnych kobiet. Musiał jednak przyznać, że widok, który się przed nimi roztaczał, wymagał specjalnego określenia. Spojrzał ponownie na wodę - Czegoś takiego nie widzieli jeszcze nigdy. Dotychczas woda oznaczała dla nich krople kapiące z kranu, nikły strumień z gumowego węża lub trochę płynu na dnie naczynia. Co może oznaczać taka ilość wody? - zastanowił się przelotnie. Choć ponury i niesamowity, widok ten miał w sobie i coś z piękna.

- Wiem, co to jest -- powiedział bardzo cicho Roffery. Patrzył na wodę jak zahipnotyzowany, twarz mu złagodniała tak dalece, że trudno go było poznać. - Czytałem o tym w książkach dostarczanych mi do wyceny i aż do tej chwili uważałem to za bzdurę, mrzonkę. - Przerwał. - „Umarli nie wstają, a nawet najdłuższa rzeka wpada bezpiecznie do morza” - zacytował. - To jest morze, Complain, natrafiliśmy na morze. Wiele razy o tym czytałem... Według mnie to dowodzi, że Marapper nie miał racji mówiąc o statku. Jesteśmy po prostu w podziemnym mieście.

Słowa te nie zrobiły żadnego wrażenia na Complainie, który z zasady nie przywiązywał wagi do nazw, jakie się nadaje przedmiotom lub zjawiskom. Uderzyło go za to co innego, coś, co wyjaśniało sprawę, która go stale niepokoiła: dlaczego Roffery porzucił swoją ciepłą synekurę i przyłączył się do ryzykownej wyprawy kapłana. Teraz wiedział, że powód był podobny jak u niego - tęsknota za czymś, czego nigdy nie znał i czego nie mógł dotknąć palcem. Zamiast czuć teraz większą niż dotychczas więź z Rofferym, uznał, że musi na niego bardziej uważać; wspólne cele nieuchronnie prowadzą do starcia. -

Dlaczego tu przyszedłeś? - spytał zniżając głos, aby nie wywołać znowu echa.

- Kiedy ty spokojnie chrapałeś, obudziłem się i usłyszałem głosy na korytarzu - rzekł Roffery. - Przez matową szybę zobaczyłem dwóch ludzi mijających drzwi... tylko że oni byli za wielcy na ludzi. To byli Giganci!

- Giganci? Gigantów już nie ma, Roffery!

- Mówię ci, że to byli Giganci, mieli pełne siedem stóp wzrostu. Przez szybę widziałem ich głowy - zamilkł, a w jego oczach Complain dostrzegł fascynację.

- Poszedłeś za nimi? - zapytał.

- Tak. Szedłem za nimi aż do tego miejsca. Słyszając to Complain rozejrzał się uważnie po otaczających ich cieniach.

- Czy nie usiłujesz mnie czasem przestraszyć? - spytał.

- Nie prosiłem cię, abyś tu za mną przychodził, a poza tym czemu mielibyśmy się bać Gigantów? Paralizator załatwia człowieka niezależnie od jego rozmiarów.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli wrócimy, Roffery. Nie ma żadnego sensu sterczeć tu dalej, a poza tym powinienem pełnić wartę.

- O tym należało wcześniej pomyśleć rzekł Roffery. - Przyprawdzimy tu później Marsppera, aby dowiedzieć się, co on myśli o morzu. Zanim stąd odejdę, chciałbym na coś rzucić okiem. Na miejsce, gdzie zniknęli Giganci.

Wskazał ręką miejsce obok kajut, gdzie kilkanaście centymetrów nad powierzchnią wody wystawał kwadratowy krawężnik. Padało na niego pojedyncze światło, które wyglądało, jakby Giganci umieścili je specjalnie w tym celu.

- Za tym krawężnikiem znajduje się kłapa - wyszeptał. - Giganci zeszli w dół i zamknęli ją za sobą. Chodź, podejźmy bliżej i przyjrzymy się dokładnie.

Ten projekt wydał się Complainowi całkowicie pozbawiony sensu, nie chcąc się jednak sprzeciwiać rzekł:

- Dobrze, ale trzymajmy się cienia, na wypadek gdyby ktoś tu wszedł.

- Woda jest tylko do kostek - powiedział Roffery. - Chyba nie boisz się zamoczyć nóg?

Był dziwnie podniecony, zupełnie jak dziecko, lecz mimo dziecięcego braku poczucia niebezpieczeństwa posłuchał rady Complaina i trzymał się blisko ściany. Brnęli jeden za drugim brzegiem morza, trzymając broń w pogotowiu, i w ten sposób dotarli do kłapy zupełnie suchej za osłoną krawężnika.

Roffery mrugnął porozumiewawczo do Complaina, po czym powoli uniósł kłapę. W otworze pojawiło się łagodne światło, w którym ujrzeli żelazną drabinę prowadzącą w głąb studni pełnej rur i przewodów. Dwie, ubrane w robocze kombinezony postacie pracowały w milczeniu na dnie szybu robiąc coś koło zaworu odcinającego. Po otwarciu kłapy musieli usłyszeć szum wody dochodzący z góry, gdyż obaj równocześnie unieśli głowy patrząc ze zdumieniem na Complaina i Roffery'ego. Byli to niewątpliwie Giganci - ogromni, potężnie zbudowani, o ciemnych twarzach.

Roffery stracił od razu głowę. Z hukiem zatrzaskał kłapę, odwrócił się i zaczął uciekać. Complain brnął tuż za nim. Jeszcze chwila i Roffery zniknął pod wodą. Complain zatrzymał się gwałtownie. Tuż przed sobą, pod samą powierzchnią morza, zobaczył brzeg studni. Z jej głębi, kilka kroków od niego, wypłynął Roffery krzycząc i bezładnie machając rękami. Wychylając się na tyle, na ile pozwalało bezpieczeństwo, Complain wyciągnął rękę, aby mu pomóc. Mimo usilnych starań Roffery nie uchwycił ręki i wśród piany i baniek powietrza zanurzył się znowu. Chłupot odbił się w jaskini ogłuszającym echem...

Roffery pojawił się znowu, lecz tym razem udało mu się zgruntować i stał po piersi w wodzie. Dysząc ciężko i przeklinając usiłował posunąć się naprzód, by uchwycić rękę Complaina, w tym samym jednak momencie otworzyła się kłapa. Giganci zamierzali wyjść... Gomplain odwrócił się

gwałtownie i zauważył, jak Roffery chwyta za paralizator, któremu zupełnie nie zaszkodziła wilgoć. Dostrzegł także dziwne światło pełgające gdzieś wysoko nad ich głowami. Nie celując strzelił w kierunku wyłaniającej się z otworu głowy. Nie trafił... Gigant skoczył ku nim i Complain ogarnięty paniką rzucił broń. Gdy się pochylał, aby ją odnaleźć w ciemnej wodzie, Roffery strzelił nad jego plecami. Celował lepiej niż Complain - Gigant zachwiał się i zwałił do wody z pluskiem, który wielokrotnie powtórzyło echo. Znacznie później Complain uświadomił sobie bardzo istotny szczegół - potwór nie miał broni.

Drugi Gigant był uzbrojony. Widząc, jaki los spotkał jego towarzysza, przykucnął na drabiną i osłonięty krawężnikiem, strzelił dwukrotnie. Pierwszy strzał trafił Roffery'ego w twarz - ranny bez słowa osunął się w wodę.

Complain rzucił się na brzuch, wznosząc nogami obłoki piany, ale dla wprawnego strzelca stanowił nadal dobry cel; pocisk trafił go w skroń. Bezwładnie, twarzą w dół, zapadł się w wodę.

Gigant wygramolił się ze studni i, groźnie ruszył w jego kierunku.

W samym środku mechanizmu zwanego człowiekiem znajduje się potężna wola życia. Jest to mechanizm tak delikatny i wrażliwy, że jakieś przykre zdarzenie w dzieciństwie może zrodzić pragnienie całkowicie przeciwstawne woli życia - pragnienie śmierci. Obie te tendencje istnieją spokojnie obok siebie i człowiek żyje nieświadom ich zupełnie. Dopiero gwałtowny kryzys ujawnia ich obecność, a zarazem fatalną dwoistość natury ludzkiej. I oto człowiek, zanim będzie w stanie przeciwstawić się wrogom zewnętrznym, musi najpierw stoczyć zaciętą walkę z samym sobą.

Tak było z Complainem; po okresie niepamięci pojawiło się najpierw tylko szalone pragnienie ponownej ucieczki w nieświadomość. Ale nieświadomość go odrzuciła i zaraz zjawilo się głębokie przekonanie, że musi uciekać, aby uniknąć sytuacji, w której się znalazł. Chęć ucieczki po chwili zniknęła i pozostało pragnienie poddania się losowi i zanurzenia w nicość. Życie powracało jednak z uporem...

Otworzył na chwilę oczy. Leżał w półmroku, na plecach, a coś jakby szary sufit znajdowało się zaledwie kilka cali nad jego głową. Sufit przesuwał się do tyłu lub też an sam posuwał się do przodu. Nie będąc w stanie rozstrzygnąć, jak to jest naprawdę, ponownie zamknął oczy. Wzrastające uczucie niewygody uświadomiło mu, że ma związane ręce i nogi.

Bolała go głowa, a ohydny zapach wypełniał płuca tak, że oddychanie sprawiało dużą trudność. Zdał sobie sprawę, że Gigant trafił go jakimś gazowym pociskiem o działaniu natychmiastowym, ale w konsekwencji prawdopodobnie nieszkodliwym.

Znów otworzył oczy. Sufit jakby nadal przesuwał się do tyłu, ale przenikające go stale drżenie sugerowało, że znajduje się na jakimś pojeździe będącym w ruchu. Nagle ten ruch ustał i Complain zobaczył wznoszącego się nad sobą Giganta, prawdopodobnie tego samego, który go postrzelił, a potem porwał. Przez na wpół przymknięte powieki zauważył, że olbrzym, z uwagi na ciasnotę pomieszczenia, może przebywać w nim tylko na czworakach. Po chwili Gigant namacał coś na suficie, przekręcił jakiś wyłącznik i część sufitu odchyliła się w górę. Błysnęło światło i doszedł stamtąd dźwięk niskich głosów. W przyszłości Complain bez trudu rozpoznawał ten powolny, niski głos, tak typowy dla sposobu mówienia Gigantów.

Zanim zdążył cokolwiek przewidzieć, pochwycono go, zabrano z pojazdu i bez najmniejszego wysiłku wywleczono przez powstały w suficie otwór. Wielkie ręce uniosły go i dość łagodnie



położyły przy ścianie.

- Dochodzi do siebie - zauważył głos o dziwnym akcencie, ale Complain prawie nie zrozumiał, co tamten mówi.

Zaniepokoiła go ta uwaga, po części dlatego, że w swoim pojęciu nie dał po sobie poznać, że wraca do przytomności, po części zaś dlatego, że mogła ona sugerować ponowne użycie gazu przez Gigantów.

Przez otwór wciągnięto jakieś inne ciało, a za nim wdrapał się Gigant. Ropoczęła się rozmowa prowadzana szeptem i z tego, co Complain podsłuchał, wynikało, że drugie ciało należy do zabitego przez Roffery'ego Giganta. Drugi Gigant opisywał przebieg wydarzeń i wkrótce stało się jasne, że mówi do dwóch innych, ale z miejsca, w którym Complain leżał, widać było tylko ścianę.

Ponownie zapadł w odrętwienie, starając się oczyścić płuca ze wstrętnego smrodu. Z bocznego pokoju wszedł inny Gigant i powiedział coś nawykłym do posłuchu tonem. Porywacz Complaina zaczął ponownie wyjaśniać sytuację, ale przerwano mu w pół słowa.

- Czy powódź została opanowana? - spytał nowo przybyły.

- Tak, panie Curtis. Umocowaliśmy nowy zawór odcinający na miejsce starego, który zardzewiał, i wyłączyliśmy wodę. Odblokowaliśmy odpływ i zainstalowaliśmy kilka nowych odcinków rur. Właśnie kończyliśmy robotę, kiedy pojawił się ten śpioch. Basen powinien być już w tej chwili pusty.

- No dobrze, Randall - rzekł rozkazujący głos nazwany Curtisem - ale po co ścigaliście tych dwóch zawrotków?

Przez chwilę panowała cisza, a potem drugi głos odezwał się przeproszająco:

- Nie mieliśmy pojęcia, ilu ich jest. Baliśmy się, że nas napadną w studni kontrolnej. Musieliśmy wyjść i zobaczyć, co i jak. Gdybyśmy wiedzieli, że jest ich tylko dwóch, dalibyśmy im spokój.

Giganci mówili tak strasznie powoli, że mimo dziwnego akcentu Complain nie miał żadnych trudności w zrozumieniu poszczególnych słów. Ogólnego sensu rozmowy jednak nie chwycił, zaczął więc już tracić zainteresowanie tą dyskusją, gdy nagle zorientował się, że mową jest o nim. Zainteresowanie natychmiast powróciło.

- Chyba wiesz, że będziesz miał kłopoty, Randall - rzekł surowy głos. - Znasz przepisy, to pachnie sądem wojennym. Moim zdaniem trudno ci będzie udowodnić, że działałeś w obronie własnej, szczególnie że ten drugi zawrotek utonął.

- Nie utonął. Wyłowilem go z wody i położyłem na zamkniętej klapie studni kontrolnej, aby przyszedł do siebie - odparł cierpko Randall.

- Pomijając tę sprawę, co zamierzasz zrobić z tym tutaj egzemplarzem?

- Gdybym go tam pozostawił, pewnie by utonął.

- To po coś go tu przywłókł?

- A może dać mu po prostu w łeb i skończyć cały problem, panie Curtis? - odezwał się jeden z milczących dotychczas Gigantów.

- To wykluczone. Zbrodnicze łamanie przepisów. Gzy poza tym mógłbyś z zimną krwią zabić człowieka?

- Przecież to tylko zawrotek, panie Curtis - bronił się zapytany.

- A może go dać na rehabilitację? - zasugerował Randall głosem pełnym zachwyty dla własnej bystrości.

- Przecież on już jest za stary. Oni przyjmują tylko dzieci. Cóż to był za idiotyczny pomysł, aby go tu przywozić.

- No... mówię przecież, że nie mogłem go tam zostawić, a jak już wyłowiłem jego kumpla, to... tam jest jakoś strasznie... zdawało mi się, że coś słyszę... Więc... więc... złapałem go i szybko uciekłem w bezpieczne miejsce.

- Wyraźnie wpadłeś w panikę, Randall - powiedział Curtis. - W każdym razie nie potrzebujemy tu zawrotek. Musisz go odstawić z powrotem. To wszystko.

Mówił krótko i zdecydowanie, a nastrój Complaina poprawił się wyraźnie, nic bowiem nie odpowiadało mu bardziej niż powrót tam, skąd przyszedł. Nie bał się Gigantów, gdyż przebywając wśród nich zdążył się zorientować, że są zbyt powolni i łagodni, aby być okrutni. Stanowiska Curtisa zupełnie nie rozumiał, było ono jednak nad wyraz dla niego korzystne. Rozpętała się kłótnia co do sposobu zorganizowania powrotu Complaina. Przyjaciele Randalla stanęli po jego stronie sprzeciwiając się dowódcy i wreszcie Curtis stracił cierpliwość.

- No dobra - warknął - chodźmy do biura i zadzwońmy do Małego Psa. W ten sposób uzyskamy autorytatywną decyzję.

- Łamiesz się, Curtis, co? - spytał jeden z pozostałych, gdy wszyscy razem straszliwie powolnym, charakterystycznym dla gigantów krokiem, nie spojrzawszy nawet na Complaina, wyszli za Curtisem do drugiego pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Pierwszą myślą Complaina było, że Giganci są wyjątkowymi głupcami, skoro pozostawiają go bez straży; mógł przecież uciec teraz przez ten sam otwór w podłodze, którym przybył. Cała nadzieja prysła jednak, gdy próbował przewrócić się na bok. Przy pierwszym ruchu poczuł ostry ból mięśni, odór w płucach nasilił się. Jęknął i osunął się z powrotem opierając głowę o ścianę.

Po wyjściu Gigantów samotność Complaina nie trwała więcej niż sekundę. Gdzieś w okolicy jego kolan rozległo się coś w rodzaju skrzypienia. Skręcając nieco głowę zauważył, że niewielki fragment ściany, o powierzchni kilku cali kwadratowych, został odsunięty, a w otworze o poszarpanych brzegach pojawiły się postacie, jakby żywcem wzięte ze złego snu. Było ich pięć. Wypadły z ogromną szybkością obiegając Complaina i wskakując na niego, aby zaraz zniknąć ponownie w otworze. Prawdopodobnie stanowiły one rodzaj straży przedniej, bo zaraz po nich pokazały się następne postacie, z których ruchów można się było zorientować, że nie są ostatnie. Były to szczury...

Pięciu zwiadowców, małych i chudych, miało na szyjach kolczaste kołnierze. Jeden z nich był bez oka; w pustym oczodole, zgodnie z ruchem drugiego, zdrowego oka, drgała chrząstka. Z trzech szczurów, które pojawiły się w drugim rzucie, jeden był czarny jak noc i robił wrażenie dowódcy. Stał wyprostowany poruszając drobnymi, różowymi łapkami. Nie nosił kołnierza, za to górna część jego tułowia pokryta była różnorodnymi kawałkami metalu (był tam pierścionek, guzik, napałek i

gwoździe), tworzącymi rodzaj kolczugi. U pasa wisiał mu jakiś przedmiot, przypominający mały mieczyk. Zapiszczał gniewnie i natychmiast pięciu zwiadowców obiegiło ponownie Complaina, wskakując mu na nogi, wdrapując się na kark, wślizgując za bluzę i szczerząc zęby o parę milimetrów od jego oczu. Osobista ochrona dowódcy, złożona z dwóch szczurów, dreptała nerwowo w miejscu oglądając się za siebie, a ich najeżone wąsy falowały niespokojnie.

Ochrona stała na czterech łapach, a jako odzież służyło im tylko coś w rodzaju niewielkich i dość nędznych peleryn zarzuconych na plecy.

Cały czas Complain wzdrygał się - był przyzwyczajony do widoku szczurów, ale ich zorganizowane i celowe działanie budziło w nim niepokój; poza tym zdawał sobie doskonale sprawę, że jeżeli szczury uznają za stosowne wygryźć mu oczy, jest, w obecnym swoim stanie, całkowicie bez szans.

Szczury miały jednak najwyraźniej ważniejszy cel niż poszukiwanie przysmaków. Pojawiła się straż tylna, a z otworu w ścianie wydostały się, sapiąc, cztery dalsze potężne samce. Ciągnęły za sobą małą klatkę, którą zgodnie z piskliwymi rozkazami dowódcy szybko ustawiono naprzeciw twarzy Complaina, dając mu pełną sposobność zarówno dokładnego obejrzenia jej zawartości, jak i wdychania zapachu.

Zwierzę znajdujące się w klatce było większe od szczura. Z sierści na szczycie jajowatej czaszki wyrastały mu długie uszy, ogon zaś był małym pęczkiem białego futerka. Complain nigdy w życiu nie widział takiego stworzenia, ale poznał je na podstawie opisów zasłyszanych od starych łowców z Kabin. Był to królik, zwierzę niezmiernie rzadkie, gdyż stanowiło przysmak szczurów. Spojrzał z zainteresowaniem na królika, który wpatrywał się w niego nerwowo. Gdy klatka została już ustawiona, straż przednia, złożona z pięciu szczurów, zajęła stanowiska wzdłuż wewnętrznych drzwi, aby uważać na powrót Gigantów, dowódca zaś skoczył w stronę królika. Zwierzę cofnęło się rozpaczliwie, ale wysiłek okazał się daremny, było bowiem przywiązane do krat swego więzienia za wszystkie cztery łapy. Dowódca pochylił łeb i za chwilę w jego przednich zębach znalazł się ostry mieczyk, podobny do małego sierpa, którym zaczął wymachiwać w okolicy karku królika. Po tej, trwającej przez chwilę, groźnej demonstracji schował mieczyk i gestykułując łapami zaczął biegać między klatką a twarzą Complaina.

Królik najwyraźniej rozumiał, co go czeka. Complain zobaczył ze zdumieniem, jak oczy wychodzą mu z orbit. Wzdrygnął się, poczuł, jak coś usiłuje dotknąć jego mózgu, wtargnąć do środka, wypełnić go... Było to niezmiernie przykre uczucie, którego pomimo usilnych starań nie mógł się w żaden sposób pozbyć. Coś otaczało jego mózg, powoli, lecz nieustępliwie. Próbował potrząsnąć głową, ale niesamowite wrażenie nie ustępowało, a nawet nasilało się, przypominało szukanie czegoś po omacku, na oślep. Jakby umierający człowiek rozpaczliwie błędził po ciemnych pokojach w poszukiwaniu wyłącznika. Complainowi wystąpił na czoło pot, zgrzytając zębami starał się przerwać ten ohydny kontakt, który nagle znalazł właściwy dostęp do jego jaźni,

Umysł Complaina eksplodował nagle pytaniami.

DLACZEGO...

KTO...

CO...

JAK MOCNA,...

CZY TY...

CZY MOŻESZ...

CZY CHCESZ...

Complain zaczął krzyczeć...

Przerażający bełkot skończył się natychmiast, bezsensowne pytania umilkły. Zwiadowcy opuścili posterunki i wspólnie z tragarzami chwycili uwięzionego królika, zakręcili nim i wepchnęli klatkę z powrotem w otwór w ścianie. Dowódca wraz ze strażą przyboczną pognał za nimi popędzając ich gwałtownie. Zaraz potem ruchomy fragment ściany zamknął się - i najwyższy czas, gdyż do pokoju wpadł zwabiony krzykiem Gigant. Nogą przewrócił na wznak Complaina, który patrzył na niego bezradnie, bezskutecznie usiłując coś powiedzieć.

Uspokojony Gigant powrócił do drugiego pokoju, tym razem jednak pozostawiając uchylone drzwi.

- Zawrotka boli głowa - oświadczył. Complain słyszał teraz ich głosy. Wydawało mu się, że mówią do jakiejś maszyny, ale był zbyt zaabsorbowany swoim przeżyciem ze szczurami, aby zwracać uwagę na cokolwiek innego. Przez chwilę w jego czaszce przebywał szaleniec! Nauka ostrzegała, że mózg jest miejscem nieczystym. Święta trójca - Froyd, Yung i Bassit - przedostała się samotrzeć przez straszliwą zaporę snu, brata śmierci, znajdując za nią nie nicość - jak kiedyś wierzono - tylko podziemne groty i labirynty, pełne upiorów, występnie zdobytych skarbów, pijawek i żądź palących jak stężony kwas. Człowiek zobaczył siebie obnażonego - jako istotę pełną kompleksów i lęków. Podstawowym celem Nauki było wydobycie jak najwięcej z tych niezdrowych wyziewów na światło dzienne, ale może Nauka nie wdarła się nigdy dostatecznie głęboko?

W Nauce zawsze używano określeń „świadomość” i „podświadomość”, ale tylko w sensie alegorycznym. A może istnieje prawdziwa Podświadomość, zdolna opanować umysł ludzki? Czy trójca dotarła we wszystkie zawile korytarze? Czy to właśnie Podświadomość była tym krzyczącym w nim szaleńcem?

Nagle znalazł odpowiedź. Była niezmiernie prosta, choć trudna do uwierzenia: między jego umysłem a umysłem tego uwięzionego stworzenia został nawiązany kontakt. Przypominając sobie dziwaczne pytania Complain wiedział już teraz, że pochodziły one od zwierzęcia, a nie od jakiejś okropnej istoty przebywającej w jego głowie. Wyjaśnienie to uspokoiło go - króliki można przecież zabijać.

Zgodnie z prawdziwą filozofią Kabin, Complain zignorował wszelkie dalsze wątpliwości i przestał o nich myśleć.

Leżał spokojnie, odpoczywając i starając się jednocześnie oczyścić płuca z utrzymującego się w nich odoru. Po chwili wrócili Giganci. Porywacz Complaina, Randall, bez słowa podniósł go i otworzył klapę w podłodze. Najwidoczniej dyskusja skończyła się po myśli Curtisa. Randall wraz ze swoim ładunkiem wśliznął się z powrotem do niskiego tunelu, położył Complaina na wózku i sądząc z dochodzących odgłosów usadowił się za jego głową. Powiedział coś cicho do stojących nad nim towarzyszy, zapuścił silnik i szary sufit znów zaczął im płynąć nad głowami. Od czasu do czasu na jego gładkiej powierzchni krzyżowały się jakieś rury, kable i przewody.

W końcu zatrzymali się. Gigant podłubał w suficie, nacisnął coś palcami i nad nimi rozwarł się

kwadratowy otwór. Wywleczono przez niego Complaina, przeniesiono kilka jardów, przepchnięto przez drzwi i położono na podłodze. Był znowu w Bezdrożach; ich zapach nie budził w łowcy żadnych wątpliwości. Gigant stał nad nim w milczeniu przez chwilę, jak cień wśród cieni, po czym zniknął.

Półmrok snu-jawy objął Complaina jak ramiona matki. Znow znalazł się w domu, wśród niebezpieczeństw, które nie były mu obce. Zasnął...

Legiony szczurów przebiegały po nim przygniatając go do podłogi, pojawił się królik i wdrapał się do wnętrza jego głowy buszując w labiryntach mózgu...

Complain obudził się z jękiem, przerażony okropnością swego snu. Wokół było nadal ciemno. Sztywność kończyn wywołana pociskiem gazowym ustąpiła, a płuca były zupełnie czyste. Wstał ostrożnie.

Oslaniając latarkę, aby dawała jak najwęższy promień światła, Complain podszedł do drzwi i wyjrzał ostrożnie na ciemny korytarz. Jak daleko sięgał wzrokiem, rozpościerała się przed nim głęboka przepaść. Wymknął się ostrożnie i po prawej stronie namacał ręką w ciemności rząd drzwi. Świecąc latarką stwierdził, że stoi na wilgotnych i nagich kafelkach. Wiedział już teraz, gdzie jest. Potwierdzała to dzwoniąca w uszach pustka. Gigant przyniósł go z powrotem nad to, co Roffery nazwał morzem. Wiedząc już, gdzie się znajduje, Complain zapalił ostrożnie światło. Morze zniknęło. Podszedł do krawędzi studni, do której wpadł Roffery, ale była ona pusta i prawie całkiem sucha. Po Rofferym nie było śladu. ściany studni błyszcząły, obwieszane krwawymi festynami rdzy, W ciepłym powietrzu dno studni szybko wysychało.

Complain odwrócił się i wyszedł z sali bacząc, by znow nie wzbudzić echa. Skierował się z powrotem do obozu Marappera. Wilgotny grunt lekko uginał się pod stopami. Ostrożnie ominął gnijące resztki glonów z poprzedniego sezonu i dotarł do drzwi obozu.

Zagwizdał ostro, zastanawiając się, kto pełni teraz wartę: Marapper? Wantage? Fermour? Myślał o nich prawie z miłością i trawestował w duchu stare przysłowie Kabin: „Lepszy diabeł znany od nie znanego”. Jego sygnał pozostał bez odpowiedzi. Napięty jak struna wszedł do pokoju, który okazał się pusty. Wszyscy wyszli, Complain zastał sam w Bezdrożach...

Stracił panowanie nad sobą. Przeszedł już zbyt wiele; Giganci, szczury, króliki - to jeszcze mógł jakoś znieść, ale nie przerażającą samotność Bezdroży. Ciskał się po pokoju kopiąc popękana podłogę i klnąc, po czym wybiegł na korytarz, gdzie wyjąc i bluźniąc przedzierał się przez chaszcze.

Czyjeś ciało zważyło się na niego z tyłu i Complain runął w gęstwinę walcząc rozpaczliwie z napastnikiem. Jakaś ręka energicznie zamknęła mu usta.

- Przestań się drzeć, ty durniu! - warknął mu w ucho czyjś głos.

Przestał się wrywać - w słabym świetle, które na niego padało, dostrzegł pochylające się nad nim trzy postacie.

- Ja... ja myślałem, że was zgubiłem - powiedział i nagle zaczął płakać. Odprężenie zmieniło go znowu w dziecko: ramiona mu drżały, a po policzkach płynęły łzy.

Marapper z wprawą uderzył go w twarz.

Wędrówka trwała dalej. Karczowali glony zawzięcie i brnęli naprzód pokonując ostrożnie

ciemne odcinki, gdzie nie paliło się żadne światło i nie było glonów. Mijali całkowicie splądrowane rejony, gdzie drzwi były powyłamywane, a na korytarzach leżały sterty porozbijanych przedmiotów. Wszelkie istoty żywe, jakie napotykali, były bojaźliwe i unikały ich w miarę możliwości. Było ich zresztą niewiele - jakiś oszalały dziki kozioł-samotnik i żalosne grupki podludzi, którzy, gdy tylko Wantage zaklaskał w dłonie, uciekali w popłochu. Takie były Bezdroża, a w ich pustce czuło się stulecia milczenia. Kabin pozostały, zupełnie zapomniane, gdzieś daleko za nimi; zapomnieli nawet o swym mglistym celu, gdyż teraźniejszość, wystawiając stale na próbę ich fizyczną odporność, wymagała pełnej koncentracji i uwagi.

Znajdowanie dodatkowych połączeń między pokładami, nawet za pomocą planu Marappera, nie zawsze było łatwe. Szyby wind były często zablokowane, a poziomy kończyły się ślepo. Szli jednak nieustannie naprzód, minęli pokłady pięćdziesiąte, potem czterdzieste i wreszcie, na ósmą jawę od opuszczenia Kabin, osiągnęli Pokład 29.

W tym czasie Complain zaczął już wierzyć w teorię statku. Zmiana jego dotychczasowych poglądów przeszła niewyczuwalnie, była jednak gruntowna, w czym poważną rolę odegrały inteligentne szczury. Gdy Complain opowiadał towarzyszom o porwaniu go przez Gigantów, pominął całkowicie incydent ze szczurami. Instynktownie wyczuwał, że element fantastyczny, jaki jego opowiadanie musiałoby zawierać, osłabiłby relację i wzbudził nieufność zarówno Marappera, jak i Wantage'a. Myślnie stale jednak wracał do tych budzących grozę stworzeń. Zauważył przy tym ogromne podobieństwo między szczurami a ludźmi, wyrażające się w ich, jakże ludzkim, złym traktowaniu innych stworzeń, w tym wypadku królika. Szczury przeżyły tam, gdzie to było możliwe, nie zastanawiając się zupełnie nad swym otoczeniem. Jak dotąd, z nimi było nie inaczej.

Marapper uważnie wysłuchał opowieści o Gigantach, lecz jej nie skomentował.

- Czy oni wiedzą, gdzie jest kapitan? - zapytał w pewnej chwili.

Interesowały go głównie szczegóły dotyczące rozmów Gigantów i powtarzał imiona „Curtis” i „Randall”, jakby mruczał jakieś zaklęcia.

- Kto to był ten Mały Pies, do którego udali się na rozmowę? - zapytał.

- Myślę, że to było jakieś imię - odpowiedział Complain - a nie prawdziwy mały pies.

- Imię czego?

- Nie wiem. Mówiłem ci, że byłem prawie nieprzytomny.

Im więcej o tym myślał, tym mniej jasna wydawała mu się treść zasłyszanej rozmowy. Nawet wtedy gdy to przeżywał, wszystko tak dalece przekraczało jego doświadczenie życiowe, że nie potrafił nawet w części tego zrozumieć.

- Czy sądzisz, że to było imię jakiegoś Giganta, czy nazwa przedmiotu? - nalegał kapłan szarpiąc go za ucho, jak gdyby w ten sposób pragnął wytrząsnąć z niego wszystkie fakty.

- Nie wiem, Marapper, nie pamiętam. Zdaje mi się, że oni mieli zamiar rozmawiać z jakimś „małym psem”.

Na żądanie Marappera cała czwórka spenetrowała salę oznaczoną napisem „Basen kąpielowy”, w której przedtem było morze. Obecnie wyschło ono zupełnie, nie pojawił się też nigdzie Roffery, co było dosyć zaskakujące, biorąc pod uwagę twierdzenie jednego z Gigantów, że wyceniacz, podobnie

jak Complain, po zatruciu gazem przyjdzie szybko do siebie. Wołali i szukali go wszędzie, ale na próżno.

- Jego wąsy zdobią teraz koję jakiegoś mutanta - rzekł Wantage. - Ruszajmy dalej!

Klapy, która prowadziła do pokoju Gigantów, także nie udało się znaleźć. Stalowa płyta przykrywająca wejście do studni kontrolnej, przy której Cormplain z Rofferym po raz pierwszy zobaczyli Gigantów, zamknięta była na głucho i wyglądała tak, jakby nikt jej nigdy nie otwierał. Duchowny popatrzył sceptycznie na Complaina i na tym zakończono dochodzenie. Idąc za radą Wantage'a ruszyli w dalszą drogę.

Cały ten incydent podkopał pozycję Camplaina i Wantage, szybko wykorzystujący sytuację, został obecnie bezspornym zastępcą dowódcy. Szedł tuż za Marapperem, a Fermour i Complain podążali za nim. W rezultacie zaowocowało to zgodą wśród całej grupy, przynajmniej na zewnątrz.

Jeżeli w ciągu długotrwałej ciszy, w której szli nie kończącymi się kręgami korytarzy, Complain zmienił się w bardziej niż dotychczas myślącego i zaradnego człowieka, to zmienił się także i kapłan. Wyczerpała się jego gadatliwość, bo w dużej mierze osłabły siły witalne, które jej służyły za źródło. Uświadomił sobie wreszcie rozmiary celu, jaki sobie postawił, a konieczność przetrwania zmusiła go do pełnej koncentracji woli.

- Coś się tutaj działo złego, ale bardzo dawno - rzekł w czasie jednej z przerw w wędrówce. Oparty o ścianę obserwował leżący przed nim centralny poziom Pokładu 29. Pozostali zatrzymali się także. Gęstwina rozciągała się przed nimi tylko na przestrzeni paru jardów, a zaraz potem zaczynała się ciemność, w której nic nie mogło rosnąć. Przyczyna nagłego braku światła była widoczna: jakąś bronią z zamierzchłych czasów, nie spotykaną w Kabinach, wybito dziury w suficie i ścianach korytarza. Jakaś ciężka szafa wystawała przez otwór w suficie, a wszystkie okoliczne drzwi pozdejmowane były z zawiasów. Dookoła, na dużej przestrzeni, widniały w ścianach jeszcze drobne otwory, przypominające ślady po ospie - skutek jakiejś poważnej eksplozji.

- Wreszcie będzie trochę miejsca bez tych przeklętych glonów - zauważył Wantage wyciągając latarkę. - Idziemy, Marapper.

Kapłan stał nadal oparty o ścianę, ciągnąc się dwoma palcami za nos.

- Jesteśmy już chyba blisko Dziobowców - powiedział - obawiam się, że latarki mogą nas zdradzić.

- Jeżeli masz ochotę, możesz iść po ciemku - odparł Wantage. Ruszył naprzód, a za nim Fermour. Gomplain bez słowa minął Marappera i podążył za nimi. Mrucząc coś pod nosem kapłan oderwał się od ściany: Nikt nie przyjmował zniewag z większą godnością niż on.

Przed wejściem w cień Wantage zapalił latarkę i oświetlił leżącą przed nim przestrzeń. Działy się tam dziwne rzeczy. Complain, który był najlepszym obserwatorem, pierwszy zauważył nienaturalny wygląd glonów. Jak zwykle, rosły słabo w pobliżu ciemnego terenu, ale tym razem łodygi miały jakoś szczególnie wiotkie, jakby nie były w stanie unieść własnego ciężaru. Poza tym oddalały się od źródła światła na większą niż zazwyczaj odległość.

Nagle Complain stracił grunt pod nogami.

Idący przed nim Wantage potykał się bez powodu, a Fermour poruszał się jakimś dziwnym, skaczącym krokiem. Complain czuł się zupełnie bezradny. Cały skomplikowany mechanizm ciała

odmówił mu posłuszeństwa; było to tak, jakby szedł w wodzie, a jednocześnie doznawał niezrozumiałego uczucia lekkości. W głowie mu szumiało, w uszach tętniła krew. Usłyszał zdumiony okrzyk Marappera, po czym kapłan wpadł na niego z tyłu. W następnej chwili Complain pozęgłował długim łukiem mijając prawe ramię Fermoura i zgięty w pół uderzył biodrem o ścianę. Podłoga zbliżała się powoli na jego spotkanie, wyciągnął więc obie ręce i wylądował rozkrzyżowany na brzuchu. Gdy oszołomiony popatrzył w otaczającą go ciemność, zobaczył Wantage'a, który ściskając nadal latarkę opadał jeszcze wolniej.

Spojrzał w drugą stronę i dostrzegł Marappera, który jak wielki hipopotam gramolił się z wybałuszonymi oczyma, kłapiąc bezgłośnie ustami. Fermour chwycił kapłana za ramię, obrócił go zrećnie i pchnął z powrotem w bezpieczne miejsce. Następnie, pomimo swojej tuszy, sprawnie dał nurka w ciemność po Wantage'a, którego bluźnierstwa słychać było gdzieś w okolicach podłogi. Osuwając się po ścianie Fermour chwycił go, odepchnął się wyciągniętą nogą i łagodnie popłynął na poprzednie miejsce. Tam z trudem ustawił Wantage'a, który zataczał się jak pijany.

Podniecony tym zjawiskiem Complain uświadomił sobie od razu, że powstały tu idealne warunki podróży. Cokolwiek stało się w korytarzu (niejasno przypuszczał, że zmieniło się w jakiś sposób powietrze, które jednak w dalszym ciągu nadawało się do oddychania), mogli obecnie szybko posuwać się naprzód skokami. Wstał ostrożnie, mocniej uchwycił latarkę i skoczył.

Jego okrzyk zdumienia odbił się w korytarzu głośnym echem. Tylko wyciągnięcie ręki uratowało go przed uderzeniem w głowę, ale ten gest wprowadził go w ruch wirowy tak silny, że ostatecznie wylądował na plecach. Był oszołomiony upadkiem, ale przynajmniej posunął się o dziesięć kroków do przodu. Jego towarzysze pozostali daleko w tyle, słabo oświetleni na tle zielonego zaplecza. Complain przypomniał sobie nagle chaotyczne wspomnienia Ozberta Bergassa. Co on takiego mówił?... Coś, co Complain wziął wtedy za bredzenie... „Miejsce, w którym ręce zmieniają się w stopy i fruwasz, w powietrzu jak owad”. A więc stary przewodnik dotarł aż tutaj! Complain myślał ze zdumieniem o milach gnijących tuneli, jakie dzieliły go teraz od Kabin.

Wstał zbyt gwałtownie i znowu wprowadził się w ruch wirowy. Nagle zaczął wymiotować. Wymioty rozpryskiwały się w powietrzu w drobnych kropelkach, które spadały wokół niego, kiedy niezdarnie wracał do swoich towarzyszy.

- Statek zwariował! - mówił właśnie Marapper.

- Dlaczego twoja mapa tego nie pokazuje? - spytał gniewnie Wantage. - Nigdy nie miałem do niej zaufania.

- Nieważkość musiała wystąpić niewątpliwie dopiero po sporządzeniu mapy. Rusz raz tym swoim mózdzkiem, jeżeli go w ogóle masz warknął Fermour. Ten nietypowy dla niego wybuch można było wytłumaczyć tylko niepokojem, który ujawniła następna jego uwaga: Sądzę, że narobiliśmy dostatecznie wiele hałasu, aby naprowadzić na nasz ślad wszystkich Dziobowców. Lepiej zabierajmy się szybko z powrotem.

- Z powrotem! - zawołał Complain - nie możemy przecież wracać. Droga do następnego pokładu jest tu gdzieś przed nami. Musimy wejść przez jedne z tych wyważonych drzwi i brnąć dalej przez pokoje, trzymając się kierunku równoległego do korytarza.

- W jaki sposób, do diabła, mamy to zrobić? - spytał Wantage. - Czy masz czym dziurawić ściany?



- Możemy tylko spróbować i mieć nadzieję, że są tam jakieś wewnętrzne drzwi rzekł Complain.  
- Bob Fermour ma rację, zostanie tutaj byłoby czystym szaleństwem. Chodźcie.

- No dobrze, ale... - zaczął Marapper.

- Uch, wybierz się w Długą Podróż - powiedział gniewnie Complain. Otworzył najbliższe uszkodzone drzwi i wtargnął do środka. Fermour szedł tuż za nim, Marapper i Wantage spojrzeli na siebie, po czym weszli także.

Mieli szczęście, gdyż przypadkowo trafili na duży pokój. Było tu światło i bujnie krzewiły się glony. Complain siekł je wściekle, trzymając się cały czas blisko ściany przylegającej do korytarza. W miarę posuwania się naprzód znowu ogarniała ich nieważkość, ale efekt jej był tym razem mniej brzemienny w skutki, a poza tym glony ułatwiły zachowanie równowagi.

Po chwili doszli do szczeliny w ścianie i Wantage wyjrzał przez nią na korytarz. Gdzieś w oddali zgasło okrągłe światło.

- Ktoś idzie za nami - rzekł. Popatrzyli na siebie niespokojnie i bez słowa przyspieszyli kroku.

Metalowy bufet, na którym obficie rozrosły się glony, zablokował im drogę, więc aby go wyminąć, skierowali się w głąb pokoju. W czasach Gigantów pełnił on rolę jadalni i długie stoły otoczone krzesłami ze stalowych rurek zajmowały całą jego długość i szerokość. Obecnie z powolną, ale nieustępliwą siłą, jaka charakteryzuje rośliny, glony opłotły meble, tworząc wraz z nimi nieprzekraczalną, wysoką do pasa zaporę. Im dalej się posuwali, tym warunki marszu były gorsze i stało się jasne, że powrót do ściany będzie niemożliwy.

Jak w złym śnie wycinali sobie przejścia wśród ogromnych krzesel i stołów, oślepieni przez komary, które jak mgła unosiły się z liści i siadały im na twarzach. Gąszcz był teraz bardziej zwarty, całe pęki glonów zawaliły się, pod własnym ciężarem i utworzyły gnijące, śliskie wzgórza, na szczycie których pleniły się inne rośliny. Pojawiła się niebieska lepka śnieć, która wkrótce uniemożliwiła im posługiwanie się nożami. Zlany potem, dysząc ciężko, Complain spojrzął na Wantage'a, który pracował obok niego. Zdrowa połowa twarzy tak mu spuchła, że nie było widać oczu. Mamrotał coś po cichu, ciekło mu z nosa, a widząc skierowany na siebie wzrok Complaina zaczął monotonicznie kląć.

Complain milczał. Był bardzo niespokojny, a poza tym dokuczało mu gorąco.

Przedzierali się teraz przez wznoszącą się przed nimi ścianę gnijących roślin; trwało to długo, lecz ostatecznie dobrnęli do końca pokoju. Ale do którego końca? Stracili orientację i nie wiedzieli zupełnie, w którym kierunku się posuwają. Marapper usiadł ciężko wśród nasion glonów, plecami oparty o gładką ścianę. Znużony ocierał czoło.

- Już mam dość - wyszeptał.

- I tak nie możemy iść dalej - powiedział ostro Complain.

- Pamiętaj, Roy, że to nie był mój pomysł.

Complain odetchnął głęboko. Powietrze było ciężkie, miał poza tym ohydne wrażenie, że płuca wypełniają mu komary.

- Pozostaje nam tylko posuwać się wzdłuż ściany tak długo, aż natrafimy na drzwi. - Koło ściany idzie się dużo łatwiej - powiedział, ale wbrew własnym słowom usiadł koło kapłana.

Nagle Wantage zaczął kichać.

Każdy atak zginał go w pół. Okaleczona część twarzy była równie spuchnięta jak zdrowa; deformacja była obecnie prawie niewidoczna. Przy siódmym kichnięciu zgasły wszystkie światła.

Complain błyskawicznie zerwał się na nogi i skierował promień latarki na Wantage'a

- Skończ z tym kichaniem! - warknął musimy być cicho.

- Zgaś latarkę! - syknął Fermour.

Stali w milczeniu, niezdecydowani, czując, że serca mają w gardle. Stanie w tym upale przypominało tkwienie w galarecie.

- To mógł być zbieg okoliczności - rzekł niepewnie Marapper - pamiętam, że kiedyś również gasły światła partiami.

- To Dziobowcy - wyszeptał Complain - ścigają nas.

- Pozostało nam tylko posuwając się pod ścianą przedostać się cicho do najbliższych drzwi - powiedział Fermour powtarzając, prawie dosłownie, poprzednie słowa Complaina.

- Cicho? - spytał zjadliwie Complain. Przecież usłyszą nas od razu. Najlepiej nie ruszajmy się. Trzymajcie paralizatory w pogotowiu, oni prawdopodobnie chcą nas podejść.

Stali bez ruchu, oblani potem. Wokół była gorąca i duszna noc, jak tchnienie rozpalonego pieca.

- Odmów Litanie, kapłanie - zaczął błagać Wantage drżącym głosem.

- Na Boga, nie teraz - jęknął Fermour.

- Litanie. Odmów Litanie - powtórzył Wantage.

Usłyszeli, jak kapłan osunął się na kolana.

Ciężko dysząc Wantage zrobił to samo.

- Na kolana, skurwysyny - warknął. Marapper rozpoczął monotonicznie od Wyznania Wiary. Z uczuciem bezsilności Complain pomyślał: znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia i czeka nas koniec, a kapłan się modli. Nie wiem, dlaczego kiedykolwiek uważałem go za człowieka czynu. Pogładził paralizator, nastawiając jednocześnie uszu na wszelkie odgłosy, i bez większego przekonania poszedł w ślady towarzyszy. Ich głosy to nasilały się, to cichły, ale pod koniec modlitwy wszyscy poczuli się lepiej.

- I wyzwalając z siebie nasze niezdrowe instynkty, możemy uwolnić się od wewnętrznych konfliktów - intonował kapłan.

- I żyć w psychosomatycznej czystości - powtórzyli.

- I aby to nienaturalne życie mogło zakończyć się Podróżą.

- A zdrowie psychiczne kwitło.

- A statek został szczęśliwie doprowadzony do portu - podsumował kapłan.

Podniesiony na duchu własnym występem kapłan w całkowitych ciemnościach podpełzł do każdego po kolei i życząc mu przestrzeni ścisnął rękę. Complain odepchnął go szorstko.

- Oszczędź nam tego widowiska, dopóki nasza sytuacja się nie zmieni - rzekł. - Musimy się stąd wydostać. Jeżeli zdołamy iść cicho, usłyszymy każdego, kto będzie się zbliżał.

- Nic z tego, Roy - powiedział Marapper utknęliśmy tu na dobre, a poza tym ja już jestem zmęczony.

- Zapomniałeś o władzy, którą miałeś zdobyć.

- Pozostańmy tutaj - błagał kapłan - glony są za gęste.

- Co ty na to, Fermour? - spytał Complain.

- Posłuchajcie!

Natężyli słuch. Glony skrzypiały więdnąc bez światła i szykując się na śmierć. Komary bzykały im koło uszu. Powietrze, wibrujące tym cichym dźwiękiem, coraz mniej nadawało się do oddychania; ściana gnijących roślin prawie całkowicie odcięła tlen wytwarzany przez zdrowe rośliny. Przerazająco nagle Wantage wpadł w szal. Niespodziewanie rzucił się na Fermoura, przewracając go na ziemię. Tarzali się w błocie walcząc rozpaczliwie. Complain bez słowa pochylił się nad nimi i wymacał muskularne ciało Wantage'a leżącego na tęgim Fermourze, który usiłował oderwać ręce napastnika zaciskające się na jego gardle.

Complain chwycił Wantage'a za ramiona i oderwał. Wantage zadał cios na oślep, nie trafił i sięgnął po paralizator. Udało mu się wyciągnąć broń, ale Complain chwycił go za przegub dłoni i wykręcił mu rękę zmuszając do cofnięcia się i jednocześnie wymierzając cios w szczękę. W ciemności jednak nie trafił i uderzył Wantage'a w pierś. Wantage wrzasnął i machając gwałtownie rękami uwolnił się, ale Complain złapał go ponownie. Tym razem cios był celny. Kolana ugięły się pod Wantage'em; zatoczył się i ciężko zwałił w glony.

- Dziękuję - rzekł Fermour. Więcej nie był w stanie wyjąkać. Przeszali krzyczeć nasłuchując. Ale słyszeli tylko skrzywienie glonów, dźwięk, który towarzyszył im przez całe życie i miał być słyszalny także wtedy, gdy oni udadzą się w Długą Podróż.

Complain wyciągnął rękę i dotknął Fermoura, który dygotał jak w febrze.

- Powinieneś być użyć paralizatora na tego szaleńca - powiedział.

- Wytrącił mi go z ręki - odparł Fermour - a teraz zgubiłem gdzieś w błocie tę cholerną broń.

Pochylił się szukając paralizatora w mazi powstałej z łądyg i soku glonów. Kapłan pochylił się także zapalając latarkę, którą Complain natychmiast wytrącił mu z ręki. Duchowny znalazł jednak Wantage'a, który leżał jęcząc, i ukląkł przy nim na jedno kolano.

- Widziałem wielu, których to spotkało wyszeptał - ale granica między stanem normalnym a szaleństwem była u biednego Wantage'a zawsze nieuchwytna. To przypadek, który my kapłani określamy jako hyperklaustrofobia. Myślę, że w jakimś stopniu wszyscy na to cierpimy. Jest ona przyczyną wielu zgonów w szczepie Greene, chociaż nie aż tak gwałtownych. Większość chorych gaśnie po prostu jak lampa.

Obrazując to kapłan strzelił palcami.

- Mniejsza o historię choroby, kapłanie rzekł Fermour. - Powiedzcie lepiej, co z nim na miłość boską zrobimy.

- Najlepiej zostawić go i wiać - zaproponował Complain.

- Nie widzicie, jak bardzo mnie interesuje ten przypadek? - powiedział z wyrzutem duchowny. - Znałem Wantage'a jeszcze kiedy był małym chłopcem, a teraz muszę patrzeć, jak on tu umiera w ciemnościach. Cudownie i wzruszająco jest móc ogarnąć całe ludzkie życie To tak jakby się oglądało dopracowaną kompozycję, skończone dzieło sztuki. Człowiek udaje się w Długą Podróż, ale pozostawia po sobie ślad w postaci historii swego życia zapisanej w pamięci innych. Gdy Wantage przyszedł na świat, jego matka żyła w gęstwinie Bezdroży, wygnana ze swego własnego szczepu. Dopuszczała się dwukrotnej zdrady i jeden z jej mężczyzn odszedł wraz z nią, by dla niej polować. To była zła kobieta. Mężczyzna zginął w czasie polowania, a ona nie mogąc żyć samotnie wśród glonów znalazła schronienie u nas, w Kabinach. Wantage był wtedy raczkującym niemowlęciem, małym stworzeniem z wielkim kalectwem. Jego matka, jak to często bywa z kobietami nie zameżnymi, została nałożnicą jednego ze strażników i zginęła w czasie jakiejś pijackiej bójki, zanim jej syn zdążył osiągnąć dojrzałość.

- Kogo ma według ciebie uspokoić nerwowo to opowiadanie? - zapytał Fermour.

- W strachu nie ma przestrzeni; nasze życie jest nam tylko pożyczone - rzekł Marapper. Popatrzcie na losy naszego biednego towarzysza. Jak to zwykle bywa, koniec życia nawiązuje do jego początku. Koło wykonuje pełny obrót, a potem pęka... Gdy był dzieckiem, nie z«znał niczego poza cierpieniem. Inni chłopcy znęcali się nad nim, częściowo z powodu matki, która była złą kobietą, częściowo zaś z powodu twarzy. Od tego czasu Wantage widział obie te sprawy jako jedno nieszczęście. Dlatego stale chodził pod ścianą, ukrywając zdeformowaną połowę twarzy, i dlatego zabijał w sobie każde wspomnienie dotyczące matki. Ale oto gdy znalazł się w gęstwinie, wspomnienia z dzieciństwa powróciły. Odżył w nim cały wstyd, którego źródłem była matka, i opanował go dziecięcy lęk przed niepewnym jutrem i ciemnością.

- No a teraz, gdy ta krótka lekcja psychoanalizy skończyła się szczęśliwie - rzekł ponuro Complain - może będziesz łaskawy, Marapper, przypomnieć sobie, że Wantage wcale jeszcze nie umarł. Żyje nadal i stanowi dla nas poważne niebezpieczeństwo.

- Właśnie zamierzam go wykończyć - powiedział Marapper. - Zapal na chwilę latarkę, ale ostrożnie, po co ma kwiczeć jak świnia.

Complain pochylił się skwapliwie i poczuł, jak napływająca krew rozsadza mu czaszkę. Ogarnęła go chęć zrobienia tego samego, co Wantage - miał ochotę odrzucić wszelkie niewygodne hamulce, jakie nakłada rozsądek, i z krzykiem skoczyć w największy gąszcz. Dopiero później przyszło zastanowienie: dlaczego w tym krytycznym momencie był tak posłuszny kapłanowi, nie ulegało przecież wątpliwości, że przez niespodziewany nawrót do kapłańskiej rutyny Marapper znalazł ujście dla własnego strachu. Swoista ekshumacja dzieciństwa Wantage'a była zakamuflowaną próbą rabowania samego siebie.

- Zdaje się, że zaraz zacznę znowu kichać odezwał się zupełnie normalnym głosem Wantage, który niepostrzeżenie odzyskał przytomność

W cienkim jak ołówek strumieniu światła latarki Complaina ledwie poznali jego twarz. Zwykle szczupła i blada, była obecnie spuchnięta i zalana krwią. Przypominałaby maskę wampira, gdyby w oczach zamiast płomienia był chłód śmierci. Gdy padło na niego światło latarki, Wantage skoczył...

Complain, nieprzygotowany na atak, upadł, ale Wantage usunął go tylko z drogi i wymachując

rękami ruszył w gęstwinię.

Latarka Marappera rozbłysła i oświetliła Widoczne wśród zieleni plecy oddalającego się Wantage'a.

- Zgaś światło, głupi kapłanie! - wrzasnął Fermour.

- Dosięgnę go z paralizatora - zawołał Marapper.

Nie dosięgnął... Wantage zaczął dopiero wchodzić w gęszcz, gdy nagle zatrzymał się i odwrócił. Complain usłyszał wyraźnie, jak wydał dziwny świszczący odgłos. Przez sekundę panowała cisza, potem Wantage wydał znowu ten dziwny dźwięk i zatoczył się znajdując się z powrotem w zasięgu latarki Marappera. Potknął się i upadł, a następnie próbował podpełznąć do nich na czworakach.

Na parę kroków przed Marapperem upadł. Przez chwilę ciałem jego wstrząsały drgawki, po czym znieruchomiał. Martwe oczy patrzyły ze zdumieniem na tkwiącą w jego splocie słonecznym strzałę...

Stali jeszcze patrząc bezmyślnie na ciało, gdy z cienia wychynęli uzbrojeni strażnicy Dziobowców i otoczyli ich kołem

## Dziób

Dziób stanowił typ terenu, jakiego Complain nigdy przedtem nie widział. Dostojeństwo Schodów Rufowych, przytulna ciasnota Kabin, złowroga dzikość Bezdroży, nawet makabryczne morze, nad którym wpadł w ręce Gigantów - żadnego z tych doświadczeń nie mógł porównać z Dziobem, tak bardzo był on odmienny. Wprawdzie, tak jak Fermour i Marapper, miał ręce związane z tyłu, to jednak jego czujne oczy myśliwego nie spoczęły ani na chwilę, gdy całą grupkę wprowadzano do obozu.

Podstawowa cecha odróżniająca Dziób od licznych osiedli zagubionych wśród gnijącego kontynentu Bezdroży szybko stała się oczywista. O ile szczerp Greene i inne jemu podobne powoli, lecz nieustannie się przemieszczały, o tyle Dziób miał charakter zdecydowanie osiadły i stały, niezmiennie granice. Należało to położyć raczej na karb przypadku niż zamierzonej działalności. Complain nigdy nie miał jasnej koncepcji Dziobu. Tym straszniejszy był obraz, który malowała jego wyobraźnia teraz. Dostrzegł, że przekracza on rozmiarami zwykłe osiedle i stanowi praktycznie cały samodzielny region. Nawet bariery graniczne bardzo się różniły od prymitywnych konstrukcji stawianych w Kabinach. Patrol, który ich ujął, po przedarciu się przez glony, dotarł najpierw do ciężkiej zasłony, obwieszanej małymi dzwoneczkami, które dzwoniły przy jej rozsuwaniu. Za zasłoną znajdował się korytarz, brudny i obdrapany, ale bez glonów, zastawiony zaporą z biurek i prycz. Za nią stali strażnicy rozbrojeni w łuki i strzały. Nastąpiła wymiana okrzyków i nawoływań, po której patrol złożony z czterech mężczyzn i dwu kobiet przepuszczono przez tę ostatnią zaporę. Za nią znajdowała się inna zasłona, tym razem z cienkiej siatki, chroniąca przed plagą Bezdroży, jaką stanowiły komary. Dalej rozciągał się właściwy Dziób.

Najbardziej zdumiewał Complaina całkowity brak glonów. Gęszcz w Kabinach wycinano lub zdeptywano, ale bez większego entuzjazmu, gdyż wiadomo było, że wkrótce przetrzebiony obszar ponownie zarośnie. Często przy wyrębie pozostawiano korzenie gęsto pokrywające pokład. Wszędzie zresztą odczuwało się obecność glonów, począwszy od powietrza przesyconego kwaśnosłodką wonią mleczu, a kończąc na wyschniętych kijach, używanych przez mężczyzn, i

chitynowych nasionach, którymi bawiły się dzieci.

Na Dziobie usunięto glony tak dokładnie, jak gdyby ich tu nigdy nie było. Zlikwidowano również wszelkie podłoże, które im służyło za pożywkę. Wyskrobano nawet wyżarty przez korzenie na twardym pokładzie wzór. Lampy świeciły ostro, nie tłumione kłębowiskiem światłożernego listowia. Wszystko wszędzie wyglądało dziwnie: twardo, nago, a przede wszystkim geometrycznie, tak że minęło sporo czasu, zanim Complain uprzytomnił sobie, że te wszystkie drzwi, korytarze i pokłady nie są żadnym odrębnym królestwem, lecz jedynie odpowiednikiem urządzeń z dalszych zakątków statku. Zewnętrzny ich wygląd był tak osobliwy, że trudno mu było doszukać się jakiegoś podobieństwa z pokładem Kabin.

Całą trójkę wepchnięto do małej celi, rozwiązano im ręce, zabrano cały ekwipunek, po czym zatrzaśnięto drzwi.

- O Świadomości - jęknął Marapper. Czy to są warunki, w jakich powinien przebywać biedny, niewinny kapłan? O Froydzie, zrządź, aby dusze zgniły tym plugawym zlizywaczom mleczu!

- Pozwolili ci jednak odprawić modły nad Wantage'em - rzekł Fermour starając się usunąć z włosów brud.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

- Czy oczekiwałeś czegoś innego? - spytał Marapper. - Ci brutale są przecież ludźmi. Ale to nie oznacza, że przed następnym posiłkiem nie włożą na szyje naszych jelit.

- Gdyby chociaż nie zabrali mi paralizatora... - powiedział Complain.

Odebrano im jednak nie tylko paralizatory, ale także tobołki i wszystko, co posiadali. Complain bezradnie krążył po ciasnym pokoju. Jak wiele pokoiów w Kabinach, nie miał on żadnych wyróżniających go cech. Przy drzwiach w ścianie wbudowane były dwa uszkodzone zegary, przy drugiej ścianie umocowano koję; kratka w suficie przepuszczała niewielki strumień powietrza. Nic się nie nadawało na broń. Nie pozostało im nic innego, jak pełne napięcia oczekiwanie na strażników. Przez jakiś czas ciszę przerywało tylko burczenie w brzuchu Marappera, potem wszyscy zaczęli się wiercić.

Marapper usiłował zdrapać grudki błota z płaszcza. W zajęcie to nie wkładał wiele serca i gdy otworzyły się drzwi, w których stanęli dwaj mężczyźni, podszedł do nich przepychając się obok Fermoura.

- Przestrzeni dla waszego ja - powiedział. - Zaprowadźcie mnie natychmiast do waszego porucznika. Ważne jest, abym się z nim możliwie szybko zobaczył. Nie należę do tych, którym można kazać czekać.

- Pójdziecie z nami wszyscy - rzekł krótko jeden z mężczyzn - takie mamy rozkazy. Kierując się rozsądkiem Marapper podporządkował się od razu, nie przerywając jednak strumienia pełnych oburzenia protestów nawet wtedy, gdy wypchnięto ich na korytarz. Kiedy prowadzono ich w głąb Dziobu, mijali po drodze grupy zaciekawionych ich widokiem przechodniów. Complain zauważył, że ludzie patrzą na nich z gniewem, a jakaś kobieta w średnim wieku zawołała: „Parszywe psy, zabiliście mojego Franka, teraz was zabiją”.

Poczucie niebezpieczeństwa wyostrzyło wszystkie zmysły Complaina, w związku z czym dokładnie obserwował każdy szczegół trasy. Podobnie jak w Bezdrożach, tak i tu to, co Marapper

nazywał Korytarzem Głównym, było zablokowane na poziomie każdego pokładu. Toteż droga była kręta, wiała się wzdłuż korytarzy i przejść międzypokładowych. Im dalej się zatem posuwali, tym droga mniej przypominała prostą trasę pocisku opuszczającego lufę, a bardziej spiralę, którą pocisk wykonuje w jej wnętrzu.

Tak minęli dwa pokłady. Z pewnym zdziwieniem Complain zauważył napis „Pokład 22” umieszczony na drzwiach międzypokładowych. Wiązało się to w jakiś sposób z niezliczoną liczbą pokładów, jakie minęli w swoim czasie, i wskazywało, że o ile po drugiej stronie Dziobu nie zaczynają się znowu Bezdroża, to sam Dziób obejmuje dwadzieścia cztery pokłady.

Trudno było w to uwierzyć. Complain musiał przypomnieć sobie, że przedtem też nie wierzył w różne rzeczy, które tymczasem zostały udowodnione. Ale co w takim razie leżało za Pokładem 1? Mógł wyobrazić sobie tylko jakieś superglony rosnące w tym, co jego matka Myra nazwała ogromnym obszarem ciemności, gdzie płonęły dziwne lampy. Nawet teoria statku lansowana przez kapłana, poparta obecnie namacalnymi dowodami, nie mogła zatrzeć w jego pamięci obrazu, do którego przywykł od dziecka. Z pewną przyjemnością porównywał te dwie teorie. Nigdy przedtem nie odczuwał nic poza niezadowoleniem, gdy przyszło mu rozważyć coś niesprawdzalnego. Bardzo szybko pozbywał się starych nawyków, które w szczepie Greene ograniczały myślenie.

Wewnętrzny monolog Complaina przerwali nagle strażnicy, którzy wepchnęli go wraz z Fermourem i Marapperem do dużego pomieszczenia, a następnie weszli za nimi zamykając drzwi. W pokoju znajdowali się już dwaj inni strażnicy.

Ten pokój różnił się od innych, w których Complain bywał dotychczas, pod wieloma względami; po pierwsze w wazonie zobaczył kolorowe kwiaty. Niewątpliwie znalazły się one tu w jakimś celu, ale w jakim, tego łowca nie mógł sobie wyobrazić. Po drugie była w nim dziewczyna. Stała z opuszczonymi swobodnie rękami i patrzyła na nich zza biurka, ubrana w czysty szary mundur. Jej proste, schludne włosy opadały na szyję. Włosy były czarne, oczy szare, twarz blada i pełna wyrazu, a patrząc na łagodny łuk łączący jej policzek z ustami, Complain poczuł nagle, że płynie od niej jakiś sygnał, którego nie mógł jednak zrozumieć. Chociaż była młoda i miała śliczną twarz, nie promieniowała pięknnością, lecz raczej łagodny m urokiem, ale wrażenie to słabło wyraźnie, gdy się spojrzało na jej podbródek. Tkwiło w nim delikatne, ale nieomyłne ostrzeżenie, że zbyt bliska znajomość z tą dziewczyną może być niebezpieczna.

Uważnie popatrzyła na więźniów.

Gdy jej oczy spoczęły na nim, Complain poczuł jakiś dziwny dreszcz. Coś w postawie Fermoura powiedziało mu, że i na tamym dziewczyna wywarła silne wrażenie. Jej bezpośrednie spojrzenie, naruszające podstawowe tabu Kabin, niepokoiło jeszcze bardziej.

- A więc to wy jesteście zbirami Gregga powiedziała wreszcie.

Teraz, gdy już ich sobie dokładnie obejrzała, widać było, że straciła dla nich zainteresowanie, odwróciła bowiem swą ładną główkę, studiując fragment ściany.

- Szczęśliwie się składa, że w końcu kogoś z was schwytaliśmy. Narobiliście masę kłopotu. Teraz zostaniecie poddani torturom, abyśmy mogli wydrzeć z was konkretne wiadomości. A może chcecie wszystko powiedzieć dobrowolnie, zaraz tutaj?

Jej głos był zimny i obojętny, taki, jakim ludzie wyniosli przemawiają do przestępców. Było jasne, że tortury stanowią zwykły środek dezynfekcyjny stosowany wobec ludzi ich pokroju.

Pierwszy przemówił Fermour.

- Jesteś łagodną kobietą, błagamy cię więc, oszczędziłam tortur!

- Nie chcę, ani nie muszę być łagodna odpowiedziała - co się zaś tyczy mojej płci, to sądzę, że leży ona poza zasięgiem waszych zainteresowań. Jestem inspektor Vyann, przesłuchuję wszystkich więźniów doprowadzanych do Dziobu. Nieskorych do zwierzeń przepuszczam przez specjalne tryby. Jako wyjątkowe łotry, nie zasługujecie na nic lepszego. Musimy wiedzieć, jak dotrzeć do przywódcy waszej bandy.

Marapper rozłożył ręce szeroko.

- Proszę mi wierzyć, że nic o nim nie wiemy - powiedział - nie wiemy też nic o łotrach, którzy mu służą. Nie mamy z nimi nic wspólnego, a nasz szczerp żyje wiele pokładów stąd. Jestem skromnym kapłanem i w żadnym razie nie mógłbym kłamać.

- Jesteś skromny, co? - zapytała wysuwając wojowniczo swoją małą bródkę. - A co robiliście tak blisko Dziobu? Czy nie wiecie, że nasz rejon jest niebezpieczny?

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że znajdujemy się tak blisko Dziobu - odpowiedział kapłan. - Glony były bardzo gęste, a my przyszliśmy z daleka.

- A konkretnie skąd przybywacie?

Było to pierwsze pytanie, jakie zadała im inspektor Vyann. Marapper odpowiadał na nie służalczo, acz niechętnie, nie mógł bowiem zboczyć z tematu. Niezależnie od tego, czy mówiła do nich, czy słuchała odpowiedzi, dziewczyna w szarym mundurze nie zaszczyciała ich spojrzeniem. Byli dla niej niczym, ot, stadem spędzonych razem psów; jako ludzie dla niej nie istnieli - zarówno dwie milczące postacie, jak i stojący nieco z przodu Marapper, który przestępował z nogi na nogę, gestykulował i protestował... Byli mało znaczącymi elementami jakiegoś większego wymagającego rozwiązania problemu.

W miarę jak postępowało przesłuchanie, zaczęła tracić pewność, iż są członkami jakiejś bandy. Banda ta, jak wynikało z rozmowy, dokonywała napadów na Dziób z położonej niedaleko bazy, a wszystko to odbywało się w czasie, gdy istniały inne, dużo poważniejsze, chociaż na razie nie sprecyzowane problemy.

Rozczarowanie Vyann wywołane tym, że okazali się dużo mniej ciekawi, niż tego po nich oczekiwała, spowodowało jeszcze większy chłód z jej strony. A im większy był jej chłód, tym bardziej Marapper stawał się wymowny. Jego bujna, łatwo dająca się rozbudzić wyobraźnia podsuwała mu niezliczone obrazy, z których wynikało niezbicie, że ta surowa, młoda kobieta jednym kiwnięciem palca może wysłać go w Długą Podróż. Wreszcie wystąpił naprzód i delikatnie oparł rękę na jej biurku.

- Jednego pani jak dotąd nie zrozumiała rzekł z naciskiem - a mianowicie, że nie jesteśmy zwykłymi więźniami. Kiedy wasz patrol nas napadł, byliśmy w drodze do Dziobu z bardzo cennymi informacjami.

- Czyżby? - jej uniesione brwi wyrażały triumf. - Mówiłeś przed chwilą, że jesteś tylko skromnym kapłanem z małej osady. Nudzą mnie te powtarzające się stale sprzeczności w zeznaniach

- Wiedza! - rzekł Marapper. - Czy to ważne, skąd pochodzi? Poważnie panią ostrzegam, że



jestem człowiekiem cennym.

Vyann pozwoliła sobie na chłodny uśmiezek.

- A więc należy -was oszczędzić, ponieważ macie jakieś ważne informacje. Tak, kapłanie? - Powiedziałem, że ja dysponuję pewną wiedzą - podkreślił z naciskiem Marapper, wydymając policzki. - Jeżeli przy tym okażesz łaskę i oszczędzisz moich biednych, niczego nieświadomych przyjaciół, będę oczywiście bardzo szczęśliwy.

- Ach tak? - po raz pierwszy usiadła za biurkiem i wokół jej ust ukazał się cień rozbawienia, łagodząc surowy wyraz twarzy.

- A ty - wskazała na Complaina - jeżeli nie jesteś niczego świadom, to co masz do zaoferowania?

- Jestem myśliwym - powiedział Complain - a mój przyjaciel Fermour jest rolnikiem. Nic wprawdzie nie wiemy, ale możemy ci służyć naszą siłą.

Vyann nie patrząc na niego spokojnie położyła obie ręce na biurku.

- Sądzę, że wasz kapłan ma rację. Inteligencją można nas przekupić, ale nie siłą. Jak na razie, mamy dosyć siły w Dziobie.

Zwróciła oczy na Fermoura.

- A ty, dryblasie - powiedziała - nie wyrzekłeś dotąd ani słowa. Co masz do ofiarowania?

Fermour popatrzył na nią spokojnie, a potem spuścił wzrok.

- Milczeniem pokrywałem tylko niepokój, pani - powiedział łagodnie. - W naszym małym szczepie nie było dam, które mogłyby rywalizować z panią na jakimkolwiek polu.

- Takiego gadania też nie można przyjąć jako łapówki - powiedziała obojętnie Vyann. No dobrze, kapłanie, mam nadzieję, że twoje informacje okażą się interesujące. Może mi powiesz wreszcie, o co chodzi?

Marapper przeżył teraz swoją krótką chwilę triumfu. Wetknął obie ręce pod zniszczony płaszcz i energicznie potrząsnął głową.

- Zatrzymam tę informację dla wyższej władzy - rzekł. - Żałuję, pani, ale nie mogę ci jej przekazać.

Nie wydawała się być obrażona. Musiała być bardzo pewna siebie, bo jej ręce spoczywające na biurku nawet nie drgnęły.

- Natychmiast sprowadzę mojego przełożonego - powiedziała.

Jeden ze strażników otrzymał rozkaz i zniknął, aby po krótkiej chwili powrócić z energicznym mężczyzną w średnim wieku.

Nowo przybyły z miejsca wywarł na nich silne wrażenie. Głębokie bruzdy przeorały mu twarz, jak woda płynąca z gór żłobi sobie koryto, a wrażenie ruiny potęgowała jeszcze duża ilość siwizny w jego nadal jasnych włosach. Oczy miał szeroko otwarte, usta wskazywały na upór i silną wolę. Agresywny wyraz twarzy złagodził uśmiech, jakim obdarzył Vyann, po czym mężczyzna natychmiast rozpoczął z nią cichą rozmowę w kącie pokoju. W miarę jak Vyann opowiadała, rzucał od czasu do

czasu badawcze spojrzenia na Marappera.

- Co sądzisz o skoku do drzwi? - wyszeptał zdławionym głosem do Complaina Fermour.

- Nie bądź głupi - odparł Complain. Nigdy byśmy nie wydostali się z tego pokoju, nie mówiąc już o strażnikach przy zaporze.

Fermour mamrotał coś niewyraźnie i wyglądało na to, że chce dokonać próby ucieczki na własną rękę. Ale w tym właśnie momencie podszedł do nich mężczyzna, który rozmawiał z Vyann, i przemówił:

- Chcemy poddać was trzech pewnym próbom - powiedział łagodnie. - Wkrótce ponownie cię wezwiemy, kapłanie. Tymczasem, strażnicy, odprowadzić więźniów do trzeciej celi.

Rozkaz został wykonany natychmiast. Pomimo protestów Fermoura wyprowadzono go wraz z Complainem i Marapperem z pokoju i parę kroków dalej wepchnięto do innego. Strażnicy zamknęli za nimi drzwi. Marapper był nieco zmieszany, zdawał sobie bowiem sprawę, że próba wybronięcia się ich kosztem może skończyć się utratą ich zaufania. Dlatego też próbował je odzyskać przez podniesienie ich na duchu.

- No, no, moje dzieci - rzekł wyciągając do nich ręce. - Długa Podróż ma zawsze swój początek, jak powiada Nauka. Dziobowcy są od nas bardziej cywilizowani i możemy oczekiwać najgorszego. Pozwólcie mi zaintonować ostatnie modły.

Complain odwrócił się i usiadł w najdalszym kącie pokoju, podobnie postąpił Fermour. Kapłan poszedł w ich ślady i przysiadł na swym potężnym zadzie, opierając ręce na kolanach.

- Trzymaj się ode mnie z dala, ojczy duchowny - rzekł Complain. - Daj mi spokój! - Co, ty nie masz za grosz ikry? - spytał kapłan głosem słodkim jak gęsty syrop. - Czy sądzisz, że Nauka dopuszcza spokój w ostatniej godzinie życia? Po raz ostatni musisz być doprowadzony do Świadomości. Dlaczego masz siedzieć tu i rozpaczać? Czy twoje żalosne, plugawe życie warte jest choćby splunięcia? Co w twoim duchu jest tak cennego, aby nie zasługiwało na całkowite zniszczenie? Roy Complam, jesteś chory i potrzebujesz moich wskazówek.

- Przyjmij do wiadomości, że już nie jestem w twojej parafii, dobrze? - rzekł Complain słabym głosem. - Sam się sobą zajmę.

Kapłan skrzywił się i odwrócił do Fermoura. - A ty, mój przyjacielu, co masz do powiedzenia? - spytał.

Fermour uśmiechnął się, był już całkowicie opanowany

- Chciałbym spędzić choć jedną godzinę z tą ponętą inspektor Vyann, a potem mogę już radośnie wyruszyć w Podróż - powiedział. Czy jesteś w stanie mi to załatwić, Marapper?

Zanim Marapper zdążył wymyślić odpowiedni morał, otworzyły się drzwi, w których pojawiła się szpetna twarz, a za nią ręka kiwająca energicznie na kapłana. Marapper wstał i gestem podkreślającym pewność siebie wygładził ubranie.

- Wstawię się za wami, dzieci - rzekł i z godnością wyszedł wraz ze strażnikiem na korytarz. Minutę później stał twarzą w twarz z inspektorem i jej przełożonym, który, oparty o róg biurka, odezwał się pierwszy:

- Przestrzeni dla ciebie. O ile dobrze zrozumiałem, jesteś kapłan Henry Marapper. Ja nazywam się Scoyt, mistrz Scoyt, i do moich obowiązków należy przesłuchiwanie wszystkich obcych ludzi. Każdy, kto trafi do Dziobu, staje przede mną lub przed inspektorem Vyann. Jeżeli jesteś tym, za kogo się podajesz, nie spotka cię żadna krzywda, ale z Bezdroży wypełzają różne dziwne stwory, przed którymi musimy się strzec. O ile dobrze usłyszałem, przyszedłeś tu specjalnie, aby dostarczyć nam jakichś informacji?

- Odbyłem długą drogę przez wiele pokładów - rzekł Marapper - i nie pochwalam przyjęcia, z jakim się tu spotkałem.

Mistrz Scoyt skinął głową.

- Co to za informacje? - spytał.

- Mogę je przekazać tylko kapitanowi.

- Kapitanowi? Jakiemu kapitanowi? Kapitanowi straży? Innego tutaj nie ma.

Marapper znalazł się w niezręcznym położeniu, ponieważ nie chciał użyć słowa „statek”, zanim sytuacja do tego nie dojrzeje.

- Kto jest waszym przełożonym? - zapytał. - Inspektor Vyann i ja odpowiadamy tylko przed Radą Pięciu - odrzekł gniewnym głosem Scoyt. - Spotkanie z Radą przed potwierdzeniem przez nas wagi twojej informacji nie wchodzi w ogóle w rachubę. Prędszej, kapłanie, mamy inne pilne zajęcia. Cierpliwość jest tą staromodną cnotą, której nie posiadam. Co to za wiadomości, o których tak wiele mówiłeś?

Marapper zawahał się - moment absolutnie nie był odpowiedni. Scoyt uniósł się, jakby chciał odejść, Vyann była zniechęcona. Nie mógł już dalej zwlekać.

- Świat - powiedział dobitnie - a więc cały Dziób i Bezdroża, aż do odległych regionów Schodów Rufowych, to jeden twór: statek. Ten statek jest dziełem rąk ludzkich i porusza się w środowisku zwanym przestrzenią kosmiczną. Mam na to niezbity dowód - przerwał, aby zobaczyć, jakie wywiera wrażenie, ale wyglądało na to, że Scoyt ma wątpliwości. Marapper podjął temat wyjaśniając szczegóły swojej teorii z wielką elokwencją. Na zakończenie rzekł:

- Jeżeli mi zaufacie i obdarzycie władzą, skieruję statek (gdyż możecie być pewni, że to prawda) do portu przeznaczenia i wtedy na zawsze uwolnimy się od niego i związanych z nim kłopotów.

Zamilkł. Ich twarze były pełne gorzkiego rozbawienia. Popatrzyli na siebie i roześmiali się krótko, prawie ponuro. Marapper niepewnie potarł policzek.

- Nie wierzycie mi, bo pochodzę z małego szczepu - wymamrotał.

- Nie, kapłanie - dziewczyna podeszła bliżej i stanęła przed nim. - Widzisz, my w Dziobie od dawna już wiemy o statku i jego podróży w kosmosie.

Marapper rozdziawił usta.

- To znaczy... Kapitan statku... znaleźliście go? - wykrztusił.

- Kapitan nie istnieje. Musiał już wiele pokoleń temu udać się w Długą Podróż.

- A sterownia... znaleźliście sterownię?

- Sterowni także nie ma - powiedziała dziewczyna - znamy tylko związaną z nią legendę; nic więcej

- Och - rzekł Marapper, znów czujny i podniecony. - W naszym szczepie nawet legenda wygasła, prawdopodobnie dlatego, że żyliśmy dalej od jej przypuszczalnej ojczyzny niż wy. Ale musi istnieć. Czy szukaliście jej?

Scoyt i Vyann znowu popatrzyli na siebie, po czym Scoyt skinął głową, jakby odpowiadał na jakieś nieme pytanie.

- Ponieważ wydaje się, że natrafiłeś na część tajemnicy - powiedziała Vyann - możemy właściwie wyjawić ci resztę. Musisz wiedzieć, że historia ta nie jest powszechnie znana, nawet wśród Dziobowców; my, jako elita, trzymamy ją dla siebie w obawie, że mogłaby wywołać niepokój, a nawet zbiorowe szaleństwo. Przysłowie mówi, że prawda nigdy nikogo nie uczyniła wolnym. Jak słusznie zauważyłeś, jesteśmy na statku, ale nie ma żadnego kapitana. Statek leci non stop w przestrzeni kosmicznej, przez nikogo nie kierowany. Możemy przypuszczać, że stracił kierunek podróży. Będzie tak pewnie leciał wiecznie, aż wszyscy na pokładzie udadzą się w Długą Podróż. Nie można go zatrzymać, bo chociaż przeszukano cały Dziób, nie odnaleziono sterowni!

Zamilkła patrząc ze współczuciem, jak Marapper trawi tę gorzką prawdę; była ona zbyt upiorna, aby ją przyjąć bez żadnych oporów.

- ...jakiś straszny grzech naszych przodków - mrucał Marraper i przesądnie przeciągnął wskazującym palcem wzdłuż gardła. Po chwili wziął się w garść.

- Ale sterownia istnieje - powiedział. Popatrzcie, mam na to dowód.

Spod brudnej koszuli wyciągnął książkę z planami instalacji elektrycznej i zaczął nią energicznie wymachiwać.

- Rewidowano cię przy barykadzie - rzekł Scoyt - jak ci się udało ją zatrzymać?

- Powiedzmy... dzięki obfitemu owłosieniu pod pachą... - powiedział duchowny robiąc oko do Vyann. Wyraźnie odzyskał kontenans. Rozłożył książeczkę na biurku inspektor Vyann i dramatycznym gestem wskazał na schemat, który przedtem pokazywał Complainowi: małe kółeczko z napisem „Sterownia” było wyraźnie zaznaczone na przodzie statku. Gdy tamci pochylili się nad książką, wyjaśnił, w jaki sposób ten cenny dokument znalazł się w jego rękach.

- Książkę sporządzili Giganci - powiedział - do których niewątpliwie należał statek. - Tyle to i my wiemy - rzekł Scoyt - ale ta książka jest cenna. Mamy teraz konkretną lokalizację sterowni, którą należy sprawdzić. Vyann, kochanie, chodźmy tam zaraz.

Dziewczyna otworzyła głęboką szufladę biurka, wyjęła paralizator i pas, który założyła na swą smukłą kibić. Był to pierwszy paralizator, jaki Marapper tu zobaczył, najwyraźniej stanowiły one rzadkość na Dziobie. Przypominał sobie, że swoje dobre uzbrojenie szczep Greene zawdzięczał ojcu Bergassa, który przypadkowo odkrył magazyn paralizatorów w Bezdrożach, wiele pokładów od Dziobu.

Już mieli wychodzić, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki mężczyzna. Był dobrze ubrany i miał długie, porządnie ułożone włosy. Był prawdopodobnie kimś ważnym, gdyż na jego widok Scoyt i Vyann wyprostowali się z szacunkiem.

- Doszło do mnie, że masz nowych więźniów, mistrzu Scoyt - rzekł powoli nowo przybyły. - Czy schwytałeś wreszcie kogoś z ludzi Gregga?

- Obawiam się, że nie, radco Deight - powiedział Scoyt. - Są to tylko trzej wędrowcy z Bezdroy. Oto jeden z nich.

- A jeszcze dwaj? - nalegał radca.

- Są w trzeciej celi, radco - rzekł Scoyt. Przesłuchamy ich później. Inspektor Vyann i ja zajmujemy się w tej chwili tym więźniem.

Przez moment radca zdawał się wahać, ale po chwili skinął głową i oddalił się. Duchowny patrzył za nim z szacunkiem, a przecież niezmiernie rzadko mu się to zdarzało.

- To był radca Zac Deight - wyjaśnił Marapperowi Scoyt - jeden z członków Rady Pięciu. Uważaj w przyszłości na swoje maniery, gdy będziesz rozmawiał z którymś z nich, a szczególnie z Deightem.

Vyann schowała do kieszeni książeczkę kapłana. Wychodząc na korytarz zdążyli jeszcze zobaczyć, jak stary radca znika za zakrętem. Rozpoczęli długi marsz w kierunku najdalej położonego punktu Dziobu, gdzie zgodnie ze schematem winna znajdować się sterownia.

Pokonanie tej odległości zajęłoby im wiele sen-jaw, gdyby nie mieli planu i gdyby droga była zarośnięta glonami i pełna towarzyszących im zwykle przeszkód. Marapper, mimo że zaabsorbowany rozważaniami nad swoją przyszłością - wykrycie sterowni statku niewątpliwie wzmocniłoby jego dotychczasową pozycję - z zainteresowaniem śledził otoczenie. Wkrótce spostrzegł, że Dziobowi daleko do pięknego obrazu, jaki malowano w Bezdroyach, a także do tego, co sam na początku przypuszczał. Mijali wiele ludzi, ale głównie dzieci. Wszyscy byli ubrani skromniej niż w Kabinach; nieliczne części garderoby mieli czyste i schludne i reprezentowali ogólny poziom higieny dość wysoki, ale byli wychudzeni, dosłownie skóra i kości. Świadczyło to o kłopotach z żywnością.

Rozważając tę sprawę Marapper doszedł do chytrego wniosku, że mając mniejszy kontakt z gęstwiną Dziobowcy mają nie tylko mniej łowców niż Kabiny, ale także gorszej kategorii. W miarę posuwania się naprzód wykrył również, że chociaż cały Dziób od bariery przy Pokładzie 24 do końca Pokładu 1 znajduje się we władaniu Dziobowców, to zajęte są tylko Pokłady od 22 do 11, a i to nie całkowicie. O przyczynie tego stanu rzeczy przekonał się kapłan, przynajmniej częściowo, gdy minęli Pokład 11. Na obszarze trzech pokładów nieczynne było oświetlenie. Mistrz Scoyt zapalił przymocowaną do pasa latarkę i cała trójka posuwała się w półmroku dalej. O ile w Bezdroyach ciemność była przykra, o tyle tutaj wrażenie to było znacznie silniejsze. Kroki ich brzmiały donośnie i głucho, a dokoła panował bezruch. Gdy dotarli wreszcie do Pokładu 7, gdzie migotało niepewne światło, widok nie był wcale weselszy. Stale towarzyszyło im echo ich kroków i wszędzie widziało się zniszczenie.

- Popatrzcie na to! - zawołał Scoyt wskazując miejsce, gdzie cały fragment ściany został wyrwany i wywinięty na strop. - Na tym statku była kiedyś broń, która mogła tego dokonać. Chciałbym mieć coś takiego do cięcia ścian. Szybko znaleźlibyśmy drogę do przestrzeni kosmicznej.

- Gdyby choć były gdzieś okna - powiedziała Vyann - może wtedy właściwy cel statku nie byłby zapomniany.

- Zgodnie z planem - wtrącił Marapper w sterowni znajdują się dostatecznie duże okna.

Umilkli. Otoczenie było wystarczająco posępne, aby odebrać im wszelką ochotę do rozmowy. Większość drzwi stała otworem, ujawniając pokoje pełne połamanych, milczących i uginających się pod ciężarem wiekowego pyłu maszyn.

- Na tym statku dzieją się różne dziwne rzeczy, o których nie mamy pojęcia - rzekł ponuro Scoyt. - Między nami znajdują się duchy wrogo nastawione do nas.

- Duchy? - zdziwił się Marapper. - Ty wierzysz w duchy, mistrzu Scoyt?

- Roger uważa - powiedziała Vyann - że mamy do czynienia z dwoma problemami: pierwszym jest statek - dokąd się udaje i jak go zatrzymać; to problem zasadniczy, którego nie rozwiążemy nigdy. Drugi narasta; nasi pradziadowie zupełnie go nie znali. Na statku pojawiła się jakaś tajemnicza, dziwna rasa, której przedtem nie było.

Kapłan spojrzął na Vyann. Ostrożnie zaglądała w każde z mijanych drzwi. Scoyt zresztą podobnie. Duchowny poczuł, że włosy na karku nieprzyjemnie mu się jeżą.

- Masz na myśli Obcych? Skinęła głową.

- Nadprzyrodzona rasa, udająca ludzi... powiedziała. - Wiesz lepiej od nas, że trzy czwarte statku pokrywa dżungla. Gdzieś w gorących bagnach gęstwiny w jakiś tajemniczy sposób zrodziła się zupełnie nowa rasa, udająca ludzi. To nie ludzie, to wrogowie. Przybywają ze swoich kryjówek, aby nas szpiegować i zabijać.

- Musimy być stale czujni - dodał Scoyt.

Od tej chwili i Marapper zaglądał w każde drzwi.

Otoczenie zaczęło się zmieniać. Trzy koncentryczne korytarze każdego pokładu zastąpiły nagle dwa, a ich zakręty stały się ostrzejsze. Pokład 2 ograniczał się już tylko do jednego korytarza, wzdłuż którego biegły pokoje. W środku widniał wielki właz prowadzący na Korytarz Główny, zamknięty jednak na zawsze. Scoyt zapukał w niego lekko.

- Gdyby otwarto ten korytarz, jedyny tutaj prosty korytarz - powiedział - przeszlibyśmy do Schodów Rufowych na drugi koniec statku szybciej niż w ciągu jednej jawy.

Posuwali się teraz naprzód spiralnymi, obudowanymi schodami. Marapper szedł pierwszy, z bijącym sercem. Jeżeli schemat mówił prawdę, winny prowadzić one do sterowni.

Na szczycie schodów, w słabym świetle, oczom ich ukazał się mały okrągły pokoik bez mebli, o nagich ścianach i podłodze. Marapper rzucił się na ścianę szukając drzwi. Bezskutecznie..

Wybuchnął płaczem, zalewając się łzami wściekłości.

- Oni kłamali! - krzyknął. - Kłamali! Jesteśmy wszyscy ofiarami potwornego... potwornego...

Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa.

Roy Complain ziewnął znudzony i leżąc na podłodze celi po raz dwudziesty zmienił pozycję. Bob Fermour siedział plecami do ściany i nieustannie obracał ciężki pierścień na palcu prawej ręki. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, zresztą nie było o czym mówić ani o czym myśleć. Prawie z ulgą powitali pojawienie się odrażającego strażnika o twarzy mopsa, który wetknął głowę przez drzwi i przywołał Complaina za pomocą starannie dobranych zniewag.

- Spotkamy się w Podróży - powiedział pocieszająco Fermour, gdy Complain wstawał. Complain kiwnął mu ręką i podążył za strażnikiem, czując, że serce bije mu coraz szybciej. Prowadzono go nie do pokoju, w którym przesłuchiwała go inspektor Vyann, lecz drogą, którą poprzednio przyszli, do pomieszczenia położonego blisko barykady na Pokładzie 24. Odrażający strażnik zamknął za nim drzwi, sam pozostając na zewnątrz.

Complain był sam na sam z mistrzem Scoytem. Pod wpływem narastających trudności zagadkowy oficer śledczy wyglądał jeszcze starzej niż zwykle. Długimi palcami podtrzymywał policzki, jakby go bolały; nie były to palce budzące ufność, raczej przywodziły na myśl wyszukane okrucieństwo, chociaż teraz, na tle zmęczonej twarzy, kojarzyły się z samoudręczeniem.

- Przestrzeni dla ciebie - rzekł z trudem. - Przestrzeni - odpowiedział Complain. Wiedział, że teraz zostanie poddany jakiejś próbie, ale w tej chwili jego uwagę zaprzętał głównie fakt nieobecności dziewczyny.

- Mam zamiar zadać ci kilka pytań - powiedział Scoyt. - Z wielu powodów byłoby wskazane, abyś dał na nie właściwą odpowiedź. Po pierwsze, gdzie się urodziłeś?

- W Kabinach.

- Tak nazywacie wasze osiedle? Czy masz braci lub siostry?

- W Kabinach przestrzegamy Nauki - rzekł wyzywająco Complain. - Nie rozpoznajemy naszych braci i sióstr od chwili, gdy dorośliśmy naszym matkom do pasa.

- Do diabła z Na... - Scoyt przerwał gwałtownie, wygładzając czoło jak ktoś, kto panuje nad sobą z najwyższym trudem. Nie podnosząc głowy ciągnął zmęczonym głosem. - Ilu braci i ile sióstr rozpoznałbyś teraz, gdybyś musiał?

- Tylko trzy siostry. - Żadnych braci?

- Był jeden. Dawno temu zwariował.

- Jakie masz dowody na to, że urodziłeś się w Kabinach?

- Dowody... - powtórzył Complain. - Jeżeli koniecznie chcesz mieć dowody, idź i schwytaj moją matkę. Ona żyje i z przyjemnością ci wszystko opowie.

Scoyt wstał.

- Zrozum jedno - rzekł. - Nie mam czasu czekać, aż mi łaskawie raczysz odpowiedzieć. Wszyscy na statku są obecnie w cholernie trudnej sytuacji. Widzisz, to jest statek, który zdąża nie wiadomo dokąd. Stary grat, który zaczyna już trzeszczeć, pełen zjaw, tajemnic, zagadek i bólu. I pewien biedny skurwysyn musi z tym wszystkim dojść do ładu, zanim będzie za późno - o ile już nie jest za późno. - Przerwał. Zdradził się, że to on jest tym nieszczęsnym skurwysynem, który cały ciężar odpowiedzialności dźwiga na własnych barkach. Nicco już spokojnie podjął:

- Powinna wreszcie dotrzeć do ciebie prosta prawda, że nikt z nas nie jest niezastąpiony, i jeżeli nie okażesz się przydatny, to odejdiesz w Długą Podróż.

- Bardzo mi przykro - rzekł Complain byłbym może bardziej skłonny do współpracy, gdybym wiedział, po której jestem stronie.

- Jesteś po własnej stronie. Czy Nauka cię tego nie nauczyła? „Poznaj siebie, a poznasz

ludzkość". We własnym interesie odpowiadaj na moje pytania.

Przed chwilą Complain był skłonny ustąpić bez wahania, ale obecnie, czując się pewniej, zadał jeszcze jedno pytanie:

- Czy Henry Marapper odpowiedział na wszystkie twoje pytania?

- Kapłan oszukał nas, więc musiał udać się w Podróż - powiedział Scoyt. - Jest to zwykła kara dla tych, którzy wystawiają na zbyt wielką próbę moją cierpliwość.

Gdy pierwsze oszołomienie wywołane tą wiadomością minęło, Complain zaczął się zastanawiać, czy to w ogóle może być prawda. Nie wątpił w bezwzględność Scoyta - człowiek, który zabija dla sprawy, czyni to bez zastanowienia - niemniej jednak nie mógł sobie wyobrazić, że nie zobaczy już więcej gadatliwego kapłana. Zajęty tymi myślami, odpowiadał na pytania Scoyta. Dotyczyły one głównie ich wędrówki przez Bezdroża i gdy Complain zaczął opisywać okoliczności, w jakich dostał się w ręce Gigantów, spokojny dotąd oficer śledczy uderzył pięścią w stół.

- Giganci nie istnieją! - zawołał. - Wyginęli już dawno, a my odziedziczyliśmy po nich statek.

Pomimo wyraźnego sceptycyzmu dopypywał się, podobnie jak poprzednio Marapper, o szczegóły i stało się jasne, że powoli zaczyna wierzyć w opowiadanie Complaina. Zamyślił się, nachmurzył jeszcze bardziej, zaczął nerwowo stukać długimi palcami w biurko.

- O Obcych wiemy, że są wrogami rzekł - ale Gigantów uważaliśmy zawsze za sprzymierzeńców, których królestwo przejęliśmy za ich zgodą. Jeżeli jednak żyją gdzieś w Bezdrożach, to z jakich innych pobudek nie ujawniają się, jak nie z wrogich? Doprawdy mamy już i tak dosyć kłopotów.

Complain podkreślił, że Giganci nie zabili go, chociaż mogli to spokojnie zrobić, nie zabili także Erna Roffery'ego, chociaż problem, co się właściwie stało z wyceniaczem, nadal pozostawał nie rozstrzygnięty. Tak czy owak, rola Gigantów była co najmniej dwuznaczna.

- Jestem skłonny uwierzyć w twoje opowiadanie, Complain - rzekł w końcu Scoyt - ponieważ od czasu do czasu dochodzą do nas pogłoski, że ludzie widują Gigantów. Pogłoski! Pogłoski! Nic konkretnego. W końcu Giganci nie stanowią chyba groźby dla Dziobu, a najważniejsze, że nie są w przymierzu z Obcymi. Gdybyśmy mogli zająć się każdym z nich osobno, to by już było coś...

Umilkł, a po chwili zapytał:

- Jak daleko jest do tego miejsca, gdzie złapali cię Giganci?

- Wiele pokładów stąd, chyba czterdzieści. Mistrz Scoyt uniósł z niesmakiem rękę.

- Za daleko - powiedział. - Myślałem, że się tam wybierzemy... ale Dziobowcy nie lubią glonów.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich zdyszany strażnik.

- Mistrzu Scoyt, atak na zaporę! - zawołał bez żadnych wstępów. - Niech pan tam zaraz idzie, jest pan potrzebny!

Scoyt wstał natychmiast. Twarz miał zaciętą. W połowie drogi do drzwi zatrzymał się i zwrócił do Complaina:

- Zostań tu - rzekł rozkazująco - wrócę, jak tylko będę mógł!



Drzwi zatrzasnęły się, Complain był sam. Nie mogąc w to wprost uwierzyć, rozejrzał się wokoło. Na drugim końcu pokoju za siedzeniem Scoyta znajdowały się drugie drzwi. Ostrożnie podszedł do nich i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, za nimi był następny pokój, właściwie mały przedsionek, a w jego przeciwległej ścianie następne drzwi. Ozdobą przedpokoju była tylko podniszczona płyta z połamanymi instrumentami na ścianie i cztery tobołki na podłodze. Complain rozpoznał w nich od razu własność swoją, Marappera, Wantage'a i Boba Fermoura. Niczego chyba w ich mizernym majątku nie brakowało, chociaż znać było wyraźnie ślady rewizji. Cornplain spojrzął na to przelotnie, po czym przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

Prowadziły do bocznego korytarza. Z jednej strony słychać było liczne głosy, z drugiej, w odległości zaledwie kilku kroków, zaczynały się głony. Droga do nich nie była strzeżona. Z bijącym sercem Cornplain zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Próbować ucieczki czy nie?

Marapper został zabity i nie było żadnego powodu sądzić, że i z nim się w podobnie bezwzględny sposób nie rozprawią. Byłoby rozsądnie odejść, ale dokąd? Kabinę leżą zbyt daleko, aby człowiek mógł do nich dotrzeć samotnie, ale pobliskie szczepy chyba chętnie przyjmą myśliwego. Complain przypomniał sobie, że Vyann wzięła ich grupę za członków jakiegoś szczepu, który urządza napady na Dziób. Zajęty samym faktem ich wpadki nie zwracał początkowo większej uwagi na jej słowa, teraz jednak pomyślał, że mógł to być ten sam szczep, który w tej chwili atakował zaporę. Pawinni chętnie przyjąć myśliwego znającego nieco Dziobowców.

Zarzucił swój tobołek na ramię, otworzył drzwi, popatrzył w lewo i w prawo i pobiegł w stronę gęstwiny.

Wszystkie drzwi w korytarzu były zamknięte, z wyjątkiem jednych. Complain mijając je instynktownie zajrzał do środka i stanął jak wryty.

Wewnątrz, na posłaniu, spokojnie jak we śnie, spoczywało ciało. Leżało w pozie niedbałej, ze skrzyżowanymi nogami, a zaszargany zwinięty płaszcz służył za podglówek; twarz, pełnia melancholii, przypominała przekarmionego buldoga.

- Henry Marapper! - zawołał Complain nie mogąc oderwać oczu od znajomego profilu. Włosy i skroń kapłana umazane były krwią. Complain pochylił się i delikatnie dotknął ręki duchownego. Była zimna jak lód.

W tym samym momencie powróciła atmosfera Kabin. Nauka działała automatycznie jak odruch warunkowy. Bez wahania wykonał pierwszy gest rozpacz, odprawiając rytuał strachu. „Strach nie może dotrzeć do podświadomości”, głosiła Nauka, musi zostać natychmiast wydalony za pomocą serii rytualnych zabiegów wyrażających przerażenie. Wśród ukłonów, jęków i wyrazów hołdu Complain zapomniał o zamiarze ucieczki.

- Obawiam się, że musimy przerwać to wspaniałe przedstawienie - odezwał się za jego plecami chłodny kobiecy głos. Complain zaskoczony wyprostował się i obejrzał. Za nim, z wymierzonym w niego paralizatorem, stała Vyann w towarzystwie dwóch strażników. Jej wargi były piękne, ale uśmiech nie wróżył nic dobrego.

Tak skończyła się próba Complaina.

Teraz przyszła kolej na Fermoura, którego także wprowadzono do pokoju na Pokładzie 24. I tym razem siedział tu mistrz Scoyt, tylko był nieco bardziej szorstki. Zaczął, jak z Complainem, od pytania, gdzie się Fermour urodził.

- Gdzieś w gęstwinie - rzekł powoli, jak zwykle, Fermour. - Nigdy właściwie dobrze nie wiedziałem gdzie.

- Dlaczego nie urodziłeś się w szczepie?

- Moi rodzice byli uciekinierami. Był to mały szczep z Korytarza Środkowego, mniejszy niż Kabiny.

- Kiedy przyłączyłeś się do szczepu Greene?

- Po śmierci rodziców - rzekł Fermour. Mieli gnilca. W tym czasie byłem już całkiem dorosły.

Usta Scoyta, zwykle chmurne, zmieniły się teraz w wąską szparę. Pojawiła się pałka gumowa, którą Scoyt przerzucał z ręki do ręki. Zaczął przechadzać się przed Fermourem, nie spuszczając go z oczu.

- Czy możesz przedstawić jakiś dowód na potwierdzenie tego wszystkiego, co mi mówiłeś?

Fermour był blady i napięty, nieustannie obracał ciężki pierścień wokół palca.

- Jaki dowód? - spytał. Usta miał zupełnie suche.

- Jakikolwiek. Na okoliczność twojego pochodzenia, coś, co można by sprawdzić. Nie jesteśmy żadną hołotą z Bezdroży, Fermour. Jeżeli pochodzisz z gęstwiny, to chcemy wiedzieć, kim lub czym jesteś... No więc?

- Kapłan Marapper może poświadczyć, kim jestem.

- Marapper nie żyje. Poza tym mnie chodzi o kogoś, kto cię znał jako dziecko, może to być ktokolwiek - odwrócił się tak, że stali teraz twarzą w twarz. - Krótko mówiąc, Fermour, potrzebujemy czegoś, czego ty, jak się wydaje, nie możesz nam dostarczyć - dowodu, że jesteś człowiekiem.

- Jestem bardziej człowiekiem niż ty, ty mały... - mówiąc to Fermour uniósł pięść i skoczył.

Scoyt cofnął się zręcznie i silnie uderzył pałką Fermoura w przegub dłoni. Osadzony na miejscu Fermour, czując, że ramię mu drętwieje, uspokoił się i tylko na twarzy pozostał mu wyraz złości.

- Masz zbyt wolny refleks - rzekł surowo Scoyt. - Powinieneś być mnie zaskoczyć.

- W Kabinach zawsze mówiono, że jestem bardzo powolny - wymamrotał Fermour ściskając kurczowo rękaw.

- Jak długo przebywałeś ze szczepem Greene? - rozkazującym tonem spytał Scoyt. Ponownie podszedł blisko do Fermoura, kołyszając cały czas pałką, jakby chciał go znowu uderzyć.

- Och, ja już straciłem poczucie czasu. Chyba dwa razy po sto tuzinów sen-jaw!

- Tu na Dziobie nie używamy waszego prymitywnego sposobu mierzenia czasu, Fermour. Cztery sen-jawy nazywamy dniem. Oznaczałoby to, że przebywałeś ze szczepem... sześćset dni. To długi okres w życiu mężczyzny.

Stał patrząc na Fermoura, jakby na coś czekał. Drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu ukazał się zdyszany strażnik.

- Mistrzu Scoyt, atak na zaporę! - zawołał. - Proszę, niech pan tam natychmiast idzie, jest pan

potrzebny!

W drodze do drzwi Scoyt zatrzymał się i z zawziętą twarzą zwrócił się do Fermoura.

- Zostań tutaj - rozkazał. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

W pokoju obok Complain odwrócił się spokojnie do Vyann. Jej paralizator zniknął w futerale przy pasie.

- A więc ta historyjka o napadzie na zaporę to tylko trik, aby wywołać mistrza Scoyta z pokoju, tak? - zapytał.

- Tak, to prawda - powiedziała spokojnie. - Zobacz, co Fermour robi w tej chwili.

Przez długą chwilę Complain stał patrząc jej w oczy, które działały na niego jak magnes. Był blisko niej, byli sami w pokoju, który ona nazywała obserwacyjnym, a który znajdował się obok pomieszczenia, gdzie przebywał Fermour teraz, a on sam nieco wcześniej. Po chwili wziął się w garść i w obawie, że twarz zdradzi jego uczucia, odwrócił się i spojrzał znowu przez judasza znajdującego się w ścianie.

Uczył to w samą porę, aby dojrzeć, jak Fermour łapie mały stołek, który stał przy ścianie, wyciąga go na środek pokoju, wchodzi na niego i sięga ręką w kierunku kratki, która, jak w każdym pomieszczeniu, znajdowała się w suficie. Jego palce zacisnęły się bezradnie kilka cali od kratki. Stał na palcach, potem podskoczył, ale po kilku nieudanych próbach zrezygnował i zaczął rozpaczliwie rozglądać się po pokoju. Zobaczył drzwi, za którymi znajdował się jego tobołek. Natychmiast kopnął stołek, pobiegł w kierunku drzwi i za chwilę zniknął z pola widzenia Complaina.

- Uciekł tak jak ja - rzekł odwracając się Complain i ponownie spojrzał odważnie w szare oczy dziewczyny.

- Moi ludzie złapią go, zanim osiągnie glony - powiedziała niedbale Vyann. - Nie wątpię, że twój przyjaciel Fermour jest Obcym, a za parę minut będziemy już mieli co do tego pewność.

- Bob Fermour? To niemożliwe.

- Później o tym pogadamy - powiedziała. - Na razie jesteś wolny, Roy Complain, o tyle, o ile każdy z nas jest wolny. Ponieważ masz wiedzę i doświadczenie, ufam, że pomożesz nam rozwiązać niektóre problemy.

Była o wiele piękniejsza od Gwenny, ale zarazem budziła lęk.

- Pomogę ci, w czym tylko będę mógł rzekł Complain głosem zdradzającym podniecenie.

- Mistrz Scoyt będzie wdzięczny - powiedziała dziwnie ostro Vyann odsuwając się od niego. Sprowadziło go to na ziemię i równie ostro zapytał, dlaczego wszyscy tak się boją Obcych. W szczybie Greene obawiano się ich także, ale tylko dlatego, że byli inni, niepodobni do zwykłych ludzi.

- Czy to nie dosyć? - zapytała. Następnie z ożywieniem zaczęła mówić o potędze Obcych. Kilku zostało już zdemaskowanych za pomocą różnych metod mistrza Scoyta, ale z wyjątkiem jednego, wszyscy uciekli. Wtrącano ich do celi ze związanymi nogami i rękami, czasem nawet nieprzytomnych, a oni znikali. Jeśli w celi przebywali z nimi strażnicy, to znajdowano ich nieprzytomnych bez żadnych śladów na ciele.

- A ten Obcy, który nie uciekł? - zapytał Complain.

- Zmarł w czasie tortur. Niczego nie udało się z niego wydostać, poza tym, że przybył z glonów.

Wyprowadziła go z pokoju. Zarzucił tobołek na plecy i znużony szedł obok niej, spoglądając od czasu do czasu na jej profil, jasny i wyraźny jak promień światła. Nie była już tak miła jak przedtem, miała chyba zmienne nastroje, postanowił więc być dla niej twardszy i stasować starą metodę postępowania z kobietami, przyjętą w Kabinach. Cóż, kiedy Kabiny były zacofane, opóźnione o co najmniej tysiąc sen-jaw...

Na Pokładzie 21 Vyann zatrzymała się.

- Tu jest dla ciebie pokój - powiedziała. Mój znajduje się o troje drzwi dalej, a Rogera Scoyta naprzeciw mojego. Jedno z nas zabierze cię wkrótce na posiłek.

Complain otworzył drzwi i zajrzał do środka. - Nigdy jeszcze nie widziałem takiego pokoju - powiedział z przejęciem.

- Miałeś wszelkie dane po temu, żeby nie widzieć, co? - rzekła ironicznie, odchodząc.

Complain patrzył chwilę na oddalającą się postać, po czym zdjął zabłocone buty i wszedł do pokoju. Jedynym luksusem był tu zlew z kurkiem, z którego ciekł słaby strumień wody, i łóżko przykryte nie liśćmi, a jakimś szorstkim materiałem. Największe wrażenie zrobił na nim obraz wiszący na ścianie. Była to jakaś wielobarwna kompozycja, nic konkretnego, a jednak z jakimś sensem. Było także lustro, w którym Complain zobaczył inny obraz: przedstawiał on dzikusa, umazanego błotem, ze zlepionymi mleczem włosami i w podartym ubraniu.

Postanowił energicznie ten obraz zmienić, zastanawiając się jednocześnie nad tym, co pomyślała sobie Vyann na widok takiego barbarzyńcy. Wyszorował się, włożył czystą odzież wyjętą z tobołka, i wyczerpany rzucił się na łóżko. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Myśli kłębiły mu się w głowie jak szalone.

Gwenny odeszła, Roffery też, Wantage, Marapper, , a teraz Fermour. Wszyscy odeszli. Został sam. Otwierały się przed nim nowe możliwości, i to bardzo ciekawe. Żal budziło wspomnienie dobrodusznej i pełnej namaszczenia twarzy Marappera. Kiedy rozpamiętywał to wszystko, do pokoju zajrzał mistrz Scoyt.

- Chodź jeść - powiedział krótko.

Complain szedł obok niego czujnie go obserwując. Pragnął się zorientować, co tamten o nim sądzi, ale oficer śledczy był zbyt zajęty swoimi myślami, aby zwracać uwagę na Complaina. W pewnej chwili podniósł głowę i dostrzegł, że Complain na niego patrzy.

- No cóż, twój przyjaciel Fermour okazał się Obcym - rzekł. - Kiedy uciekał w glony, zobaczył ciało waszego kapłana, ale się przy nim nie zatrzymał. Nasi strażnicy zaczęli się na niego i złapali go bez trudu.

Widząc zdumiony wzrok Complaina, potrząsnął niecierpliwie głową.

- To nie jest zwykły człowiek - wyjaśnił - wychowany w zwykłej części statku; w przeciwnym razie zatrzymałby się automatycznie i wykonał rytualne przyklęknięcie przy zwłokach przyjaciela. Ta ceremonia jest głęboko zakorzeniona u każdego człowieka od urodzenia. Właśnie twoje postępowanie przekonało nas ostatecznie o tym, że jesteś człowiekiem.

Zamilkł i nie odezwał się, aż doszli do sali jadalne, nie odpowiadając prawie na powitania licznych mężczyzn i kobiet mijanych po drodze. W jadalni zastali kilku oficerów.

Vyann siedziała przy osobnym stoliku. Na jej widok Scoyt natychmiast się rozjaśnił. Podeszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Droga Laur - rzekł - jak bardzo odświeża twój widok, gdy tak na nas czekasz. Muszę napić się piwa, trzeba jakoś uczcić ujęcie nowego Obcego, który nam już nie zwieje.

Vyann uśmiechnęła się do niego.

- Mam nadzieję, że coś zjesz, Roger - powiedziała.

- Znasz mój głupi żołądek - odparł, przywołał gestem dyżurnego, po czym natychmiast zaczął opowiadać o szczegółach ujęcia Fermoura. Complain, w nie najlepszym nastroju, usiadł obok nich. Nie mógł pozbyć się zazdrości widząc, jak swobodnie Scoyt rozmawia z Vyann, mimo że oficer śledczy był co najmniej dwa razy od niej starszy. Postawiono przed nimi piwo i zimne, białe, ale niezwykle smaczne mięso. Przyjemnie było jeść, nie będąc otoczonym komarami, które w Bezdrożach stanowiły często niepożądaną przyprawę każdego kęsa, a jednak Complain dłubał w talerzu z niewiele większym entuzjazmem niż Scoyt.

- Jesteś przygnębiony - zauważyła przerywając Scoytowi Vyann - a przecież powinieneś się cieszyć. Tu chyba jest lepiej niż w zamkniętej celi z Ferrnourem.

- Fermour był przyjacielem - rzekł Complain używając pierwszego wykrętu, jaki mu przyszedł do głowy.

- Ale i Obcym - powiedział poważnie Scoyt. - Miał wszystkie właściwe im cechy. Był powolny, dość tęgi i małomówny... Zaczynam ich rozpoznawać od pierwszego wejrzenia.

- Jesteś genialny, Roger - roześmiała się Vyann. - A może zjesz chociaż trochę tej ryby?

Ciepłym ruchem położyła dłoń na jego ręce. To chyba spowodowało wybuch Complaina. Gwałtownie rzucił widelec.

- Niech szlag trafi twój geniusz! - zawołał. - A co z Marapperem! Nie był Obcym, a jednak go zabiłeś! Myślisz, że ja to potrafię zapomnieć? Jak po tym zabójstwie możesz liczyć na moją pomoc?

Czekając w napięciu na awanturę Complain zauważył, że kilka osób podniosło głowy znad talerzy i na niego spogląda. Scoyt otworzył usta i zaraz je zamknął, patrząc na coś za plecami Complaina. Na ramię myśliwego spadła ciężka dłoń.

- Rozpacz po mnie jest nie tylko głupia, ale i przedwczesna - rzekł znajomy głos. - Zawsze sam przeciwko całemu światu, co, Roy?

Complain odwrócił się zdumiony. Za nim stał kapłan zacierając ręce, na przemian promieniejąc i chmurząc się. Complain z niedowierzaniem chwycił Marappera za ramię.

- Tak, Roy, to ja, nikt inny. Podświadomość opuściła mnie zostawiając tylko uczucie zimna. Mam nadzieję, że pana plan powiódł się, mistrzu Scoyt?

- Znakomicie, kapłanie - rzekł Scoyt. Proszę, zjedz trochę tej okropnej potrawy i wyjaśnij wszystko swemu przyjacielowi. Może nie będzie na nas patrzył z takim gniewem.

- Byłeś trupem! - powiedział Complain.

- To była tylko krótka Podróż - rzekł Marapper siadając i wyciągając rękę po dzbanek. - Czarownik mistrz Scoyt wymyślił niewygodny dla mnie sposób, aby poddać próbie ciebie i Fermoura. Umazał mi głowę krwią szczura i uspił mnie za pomocą jakiegoś okropnego narkotyku, abym na wasz użytek odegrał scenę śmierci.

- Nieznaczone przedawkowanie wodzianu chloralu - rzekł Scoyt uśmiechając się tajemniczo.

- Ale ja ciebie dotykałem, byłeś zimny protestował Complain.

- I nadal jestem - powiedział Marapper. To wynik działania narkotyku. A co to było za okropne antidotum, które wstrzyknęli mi pana ludzie?

- To chyba strychnina - rzekł Scoyt.

- To było bardzo nieprzyjemne. Jestem co najmniej bohaterem, Roy. Zawsze byłem święty, a teraz jeszcze zostałem bohaterem. Wykonawcy pana planu byli łaskawi dać mi gorącej kawy, kiedy przyszedłem do siebie. Nigdy nie piłem czegoś równie dobrego w Kabinach... Ale to piwo jest jeszcze lepsze.

Jego oczy napotkały nadal pełne zdumienia oczy Complaina. Mrugnął do niego i beknął donośnie.

- Nie jestem duchem, Roy - powiedział. Duchy nie piją.

Zanim zakończyli posiłek, mistrza Scoyta ogarnęło znowu przygnębienie. Mruczając coś na przeprosiny wstał i odszedł.

- On za ciężko pracuje - powiedziała Vyann śledząc wzrokiem oddalającą się postać. - Wszyscy ciężko. pracujemy. Zanim pójdziemy spać, musimy was wprowadzić w sytuację i zaznajomić z naszymi planami, ponieważ następnej jawy będziemy- mieli: dużo roboty.

- Ach - rzekł ochoczo Marapper odsuwając talerz - oto co chciałem usłyszeć. Rozumiecie chyba, że moje zainteresowanie całą sprawą jest czysto teologiczne, ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co ja z tego będę miał? Uśmiechnęła się.

- Najpierw zniszczymy Obcych. Odpowiednio przesłuchany Fermour powinien zdradzić tajemnicę ich kryjówek. Udamy się tam i wybijemy ich, a wtedy będziemy już mieli czas na wyjaśnienie zagadek związanych ze statkiem.

Powiedziała to jednym tchem, jakby chciała uniknąć związanych z tym pytań, po czym szybko wyprowadziła ich z jadalni i powiodła licznymi korytarzami. Marapper, znów w pełni formy, wykorzystał okazję, aby opowiedzieć Complainowi o nieudanej próbie znalezienia sterowni.

- Tak wiele się zmieniło - powiedziała z żalem Vyann. Szli właśnie stalowym mostkiem, którego podwójne drzwi, w tej chwili otwarte, umożliwiały przejście z pokładu na pokład.

- Niektóre z tych drzwi są otwarte, a niektóre zamknięte - powiedziała wskazując ręką. - Wszystkie wzdłuż Korytarza Głównego są na przykład zamknięte, i dobrze, bo w przeciwnym razie każdy włóczęga na statku pchałby się od razu na Dziób. Ale my nie możemy dowolnie otwierać i zamykać drzwi, tak jak z pewnością mogli to robić Giganci, gdy statek do nich należał. Są one zamknięte już od wielu pokoleń, ale gdzieś musi być dźwignia, która nimi steruje. Tacy jesteśmy bezradni, nad niczym nie panujemy.

Jej twarz była napięta, linia szczęki wyraźnie wojownicza. Z błyskiem intuicji, który go samego zadziwił, Complain pomyślał: „Ona zaczyna zdradzać objawy choroby zawodowej, podobnie jak Scoyt, gdyż utożsamia go ze swoją pracą”. Po chwili zwątpił jednak w swe przeczucia, a gdy wyobraził sobie wielki statek pędzący z nimi wszystkimi na pokładzie w podróż bez końca, musiał przyznać, że nie brakowało faktów budzących niepokój. Pragnąc sprawdzić jej reakcję zapytał:

- Czy ty i mistrz jesteście jedynymi, którzy się tym problemem zajmują?

- Na miłość boską, oczywiście że nie! - powiedziała. - Jesteśmy tylko podwładnymi. Ostatnio powołano kolektyw, który nazwał się Zespołem Przetrwania, i wszyscy oficerowie z Dziobu oprócz oficerów straży, są z tym przedsięwzięciem związani. Dodatkowo kierują zespołem dwaj członkowie Rady Pięciu, jednego już poznałeś, kapłanie, to radca Zac Deight, taki wysoki, długowłosey. Do drugiego was prowadzę - to radca Tregonnin. Jest bibliotekarzem i wyjaśni wam tajemnice świata.

W ten sposób Roy Complain i kapłan odbyli swą pierwszą lekcję astronomii. Mówiąc do nich Tregonnin biegał po pokoju od jednego sprzętu do drugiego. Był śmiesznie mały i nerwowy. Wprawdzie sam był schludny w sposób prawie kobiecy, ale jego królestwo zawałone było porzucanymi nieporządnie książkami i różnymi starociami. W pokoju tym bałagan podniesiono do rangi sztuki. Na wstępie Tregonnin wyjaśnił, że do niedawna w Dziobie, podobnie jak w Kabinach, wszystkie książki i druki niszczone, bądź ze względu na przesady, bądź dla umocnienia władzy rządzących przez utrzymywanie podwładnych w niewiedzy.

- Niewątpliwie w ten właśnie sposób zostało na samym początku zagubione samo pojęcie statku - powiedział pusząc się Tregonnin. - Dlatego też prawdopodobnie to, co tu widzicie, to jest wszystko, co w nie naruszonym stanie zachowało się na Dziobie. Reszta zaginęła, a to, co pozostało, odsłania nam tylko nikły fragment prawdy.

Gdy radca rozpoczął swą opowieść, Complain zapomniał całkowicie o zabawnej gestykulacji, jaka jej towarzyszyła. Zapomniał o wszystkim, zasłuchany w cudowną historię, która w tym małym pokoju powstawała jak mozaika z drobnych fragmentów.

W przestrzeni kosmicznej, w której porusza się ich świat, są jeszcze inne światy, i to dwóch rodzajów: jeden zwany słońcem, z którego pochodzi ciepło i światło, drugi zwany planetą. Planety uzależnione są od ciepła i światła słońca. Na jednej planecie, związanej ze słońcem zwanym Sol, żyli ludzie. Planeta nosiła nazwę Ziemi, a ludzie żyli na całej jej powierzchni, ponieważ wewnątrz było lite i pozbawione światła.

- Ludzie nie odpadali od powierzchni, nawet gdy żyli na samym spodzie - wyjaśnił Tregonnin - dzięki sile zwanej ciężeniem. Ciężenie właśnie pozwala nam poruszać się po krzywiznie pokładów bez obawy odpadnięcia.

Ludzie odkryli wiele innych tajemnic. Wykryli sposób na opuszczenie swojej planety i badanie innych planet związanych z ich słońcem. Sposób ten musiał być trudny do ujawnienia, bo zabrało im to wiele czasu. Inne planety znacznie różniły się od macierzystej, miały albo za mało ciepła, albo za dużo i z tej przyczyny ludzie nie mogli na nich żyć. Bardzo to martwiło mieszkańców Ziemi.

Zdecydowali wreszcie, że muszą zbadać planety innych słońc, aby ustalić panujące na nich warunki, ponieważ na Ziemi zaczęło robić się ciasno. W tym miejscu zapisy, jakimi dysponował Tregonnin, stawały się niejasne. Jedni twierdzili, że kosmos jest całkowicie pusty, inni zaś, że znajdują się w nim tysiące słońc zwanych gwiazdami.

Z jakichś dziś nie znanych przyczyn trudno było ludziom podjąć decyzję, w kierunku którego słońca mają się udać, wreszcie jednak za pomocą odpowiednich aparatów, w konstruowaniu których byli niezwykle zręczni, wybrali jedno jasno świecące słońce zwane Procyonem, z którym związane były planety i które oddalone było od Ziemi tylko na odległość określoną jako jednaście lat świetlnych. Pokonanie tej odległości było poważnym przedsięwzięciem, nawet dla tak pomysłowych ludzi, w kosmosie bowiem brak ciepła i powietrza, a sama podróż miała trwać bardzo długo - tak długo, że wiele pokoleń ludzi miało wymrzeć, zanim podróż dobiegnie końca.

W związku z tym ludzie zbudowali ten statek, na którym wszyscy się teraz znajdujemy, zbudowali osiemdziesiąt cztery pokłady z nie zniszczalnego materiału, załadowali wszystkim, co mogło być im potrzebne, wypełnili swoją wiedzą i dali mu napęd, który stanowiły ciężkie cząsteczki zwane jonami.

Tregonnan przerwał i szybko poszedł w kąt pokoju.

- Zobaczcie! - zawołał. - Tak wygląda model planety, którą dawno temu opuścili nasi przodkowie, model Ziemi!

Uniósł nad głowę globus. Porysowany przez nieostrożne ręce, wyblakły, ukazywał jednak nadal kontury mórz i kontynentów.

Nie wiedząc czemu wzruszony Complain spojrział na Marappera. Po twarzy starego kapłana płynęły łzy.

- Jaka... jaka to piękna opowieść - łkał. Jest pan mądrym człowiekiem, radco, i wierzę we wszystko, w każde pańskie słowo. Jakże potężni byli ci ludzie, jak niezmiernie potężni. Jestem tylko biednym, starym, prowincjonalnym duchownym. Bóg mi świadkiem, nie wiem nic, ale...

- Człowieku, przestań dramatyzować! niespodziewanie ostro powiedział Tregonnin. Nie trzęs się nad sobą, tylko uważaj na to, co mówię. Liczą się fakty, tylko fakty, a nie uczucia.

- Pan już jest do tego przyzwyczajony, a ja nie - łkał nadal bezwstydnie Marapper. Gdy się pomyśli o tej potędze...

Tregonnin postawił ostrożnie globus i opryskliwie zwrócił się do Vyann:

- Inspektorze, jeżeli ten żaloszny typ nie przestanie biadolić, musi go pani natychmiast stąd zabrać! Nie znoszę biadolenia! Pani wie, że nie znoszę.

- Kiedy dotrzemy do tych planet Procyona? - spytał szybko Complain. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał wyjść, zanim się wszystkiego dowie.

- Rozsądne pytanie, młody człowieku rzekł Tregonnin, patrząc właściwie po raz pierwszy na Complaina. - Postaram się dać na nie rozsądną odpowiedź. Wydaje się, że lont w kierunku Procyona miał dwa zasadnicze cele. Zbudowano tak wielki statek nie tylko dlatego, że w małym pomieszczeniu tak długa podróż byłaby nie do zniesienia, ale głównie dlatego, że wiozł on dużą liczbę ludzi zwanych kolonistami. Koloniści niżej wylądować na nowej planecie, żyć na niej i się rozmnażać. Dla nich transportowano też dużą liczbę maszyn - znaleźliśmy wykazy - traktory, betoniarki, kafary - tyle pamiętam. Drugim zadaniem było zbieranie informacji o nowej planecie, a także różnego rodzaju próbek, aby je poddać na Ziemi dalszym badaniom.

We właściwy sobie nerwowy sposób Tregonnin podszedł do szafy i zaczął w niej grzebać. Po



chwili wyciągnął metalową półkę z tuzinem okrągłych puszek, tak małych, że mieściły się w dłoni. Otworzył jedną i z jej wnętrza wypadły kruche przezroczyste płatki przypominające skrawki paznokci.

- Mikrofilmy - powiedział Tregonnin zgarniając skrawki nogą pod stół. - Dostarczono mi to z odległego zakątka Dziobu. Wilgoć zniszczyła je, ale nawet gdyby były całe, nie na wiele by się nam zdały, bo do ich odczytywania potrzebna jest specjalna aparatura.

- W takim razie nie rozumiem... - zaczął zdumiony Complain, ale radca uniósł rękę.

- Przeczytam ci treść etykiet znajdujących się na puszkach, wtedy zrozumiesz. Przetrwały tylko etykiety - rzekł. - Tu na przykład jest napisane tak: „FILIM - obraz Nowej Ziemi, z powietrza, ze stratosfery, z orbity. Środek lata, półkula płn", a tutaj: „FILM - flora i fauna, Kontynent A, Nowa Ziemia". I tak dalej.

Położył puszki i po krótkim milczeniu dodał: - Oto jest, młody człowieku, odpowiedź na twoje pytanie: na podstawie tych puszek można stwierdzić, że statek dotarł szczęśliwie do planet Procyona. Obecnie lecimy z powrotem w kierunku Ziemi.

W zagraconym pokoju zapanowało milczenie. Każdy z obecnych snuł własne wizje. Pierwsza uwolniła się spod wrażenia Vyann, która wstała i powiedziała, że trzeba już iść.

- Zaczekaj - rzekł Complain. - Powiedział nam pan tak wiele, a jednocześnie tak mało. Jeżeli naprawdę lecimy w kierunku Ziemi, to kiedy do niej dotrzemy? Jak możemy się tego dowiedzieć?

- Mój drogi chłopcze - zaczął Tregonnin, po czym westchnął, jakby chciał zmienić treść swojej odpowiedzi. - Mój drogi chłopcze, czy nie widzisz, jak wiele zostało zniszczone... Odpowiedzi nie zawsze są jasne. Zagięły nawet niektóre pytania, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. Pozwól, że odpowiem tak: znamy odległość od Nowej Ziemi - tak ją nazywali koloniści do Ziemi, wynosi ona, jak już mówiłem, jedenaście lat świetlnych. Nie byliśmy jednak w stanie ustalić, z jaką prędkością porusza się statek.

- Ale jedną rzecz w końcu wiemy - wtrąciła się Vyann. - Powiedz Royowi o Rejestrze Dziobu, radco.

- Tak, właśnie miałem o tym mówić - rzekł cierpko Tregonnin. - Zanim my, to jest Rada Pięciu, objęliśmy władzę nad Dziobem, rządili nim ludzie zwani gubernatorami. Dzięki nim Dziobowcy z mizernego szczepu zmienili się w potężny naród. Gubernatorzy ci mieli zwyczaj przekazywać jeden drugiemu Rejestr czy Testament i ten właśnie Rejestr czy Testament otrzymałem od ostatniego gubernatora tuż przed jego śmiercią. Jest to tylko wykaz imion kolejnych gubernatorów, ale pod nazwiskiem pierwszego gubernatora napisano: - zamknął oczy i jakby dyrygując swoją delikatną ręką wyrecytował: - „Jestem czwartym kapitanem statku w jego drodze do ojczyzny, ponieważ jednak tytuł ten brzmi w tej chwili śmiesznie, wolę nazywać się gubernatorem, o ile i to nie jest zbyt przesadne".

Radca otworzył oczy.

- Widzisz teraz - powiedział - że chociaż nazwiska trzech pierwszych zagięły, wiemy na podstawie Rejestru, ile pokoleń żyło na statku od chwili jego startu w kierunku Ziemi: dwadzieścia trzy.

- To bardzo długi okres - rzekł Marapper, który nie odzywał się od dłuższego czasu. Kiedy osiągniemy Ziemię?

- To pytanie postawił już twój przyjaciel powiedział Tregonnin. - Mogę tylko powiedzieć, że wiem, jak długo trwa nasza podróż, ale nikt nie ma pojęcia, jak długo będzie jeszcze trwała i kiedy się skończy. Zanim nastał pierwszy gubernator, wydarzyła się jakaś katastrofa lub coś w tym rodzaju i od tej chwili statek pędzi non stop w przestrzeni kosmicznej, bez kapitana, bez kontroli i można właściwie powiedzieć - bez żadnej nadziei.

Przez cały sen Complain pomimo zmęczenia nie był w stanie odpocząć. W głowie kłębiły mu się budzące grozę obrazy, gubił się w najróżniejszych domysłach. Wielokrotnie analizował każdy szczegół opowiadania radcy, starając się jakoś to przetrawić.

Wszystko było bardzo przygnębiające, ale wśród nawału faktów jeden drobny i prawie bez znaczenia szczegół ich wizyty w bibliotece nie dawał mu spokoju i powracał z uporem jak ból zęba. W swoim czasie wydawał się zupełnie blady i Complain, jedyny, który to zauważył, nie mówił o tym ani słowa. Teraz znaczenie tego faktu narastało, aż przytłoczyło nawet myśl o gwiazdach.

Kiedy Tregonnin wygłaszał swój wykład, Complain spojrzał na sufit. Ze znajdującej się tam kratki, czujnie, jakby słyszał i rozumiał, wyglądał mały szczur.

- Ograniczenia twego ja, Roy! - wybuchnął Marapper. - Przestań się mieszać w sprawę Dziobowców. Wiem, że to robota tej dziewczyny. Zapamiętaj moje słowa, ona cię wykorzystuje! Jesteś tak zajęty rozpamiętywaniem pikantnych sekretów, jakie kryje jej spódnica, że nie rozróżniasz drzewa od glonów. Pamiętaj, że przybyliśmy tutaj mając własne cele na oku.

Complain potrząsnął głową. Rankiem następnej jawy spożywali samotnie posiłek razem z kapłanem. Sala jadalna była pełna oficerów, ale ani Vyann, ani Scoyt jeszcze się nie pojawili. Marapper znowu powrócił do swego ulubionego tematu o wspólnym zdobyciu władzy.

- Jesteś niemodny, Marapper - rzekł krótko Complain - i proszę cię, nie mieszaj do tego inspektor Vyann. Dziobowcy walczą o sprawę dużo ważniejszą niż śmieszne posiadanie władzy. Poza tym co ci z tego przyjdzie, że wielu z nich zabijesz? Co to pomoże statkowi?

- Do diabła ze statkiem! Słuchaj, Roy, zaufaj swojemu staremu kapłanowi, który cię nigdy nie zawiódł. Ci ludzie wykorzystują nas dla swoich celów, a więc zdrowy rozsądek nakazuje postąpić z nimi tak samo. Pamiętaj również, że Nauka nakazuje myśleć zawsze tylko o sobie, aby w ten sposób uwolnić się od wewnętrznych konfliktów.

- Zapomniałeś czegoś - powiedział Complain. - Litania kończy się słowami: „...a statek doprowadzony do portu”. To jeden z podstawowych dogmatów Nauki. Zawsze byłeś wyjątkowo złym kapłanem, Marapper.

Rozmowę przerwało pojawienie się Vyann, która wyglądała świeżo i ładnie. Oświadczyła, że jest już po śniadaniu. Marapper przeprosił ich z większą niż zwykle irytacją i oddalił się.

Coś w postawie Vyann powiedziało Complainowi, że jest zadowolona z odejścia Marappera: jemu też to zresztą odpowiadało.

- Czy Fermour był już przesłuchiwany? zapytał.

- Nie, po prostu jeden z członków Rady Pięciu, Zac Deight, widział się z nim, i to wszystko. Roger, to znaczy mistrz Scoyt, będzie go przesłuchiwał później, ale w tej chwili jest zajęty innymi niespodziewanymi sprawami.

Nie pytał, co to były za sprawy. Jej bliskość oszołomiła go tak dalece, że z trudem mógł w ogóle mówić. Najbardziej pragnął jej , powiedzieć, że chyba tylko cudem ma tak porządnie ułożone włosy. Zamiast tego zapytał ją z wysiłkiem, co ma robić.

- Na razie odpoczniesz - powiedziała z ożywieniem. - Przyszłam właśnie, aby cię oprowadzić po Dziobie.

Wycieczka okazała się interesująca. Podobnie jak w Kabinach, wiele pokoi było pustych i otwartych - Vyann wyjaśniła, że ich zawartość pozostawiono na planecie Procyona, Nowej Ziemi. Inne pokoje zamieniono w farmy na dużo większą skalę niż w Kabinach. Wielu gatunków zwierząt Complain nigdy przedtem nie widział, po raz pierwszy także zobaczył pływające w zbiornikach ryby. Od Vyann dowiedział się, że dostarczały one białego mięsa, które mu tak smakowało. Wszędzie widać było zdumiewającą różnorodność upraw, nierzadko hodowanych w specjalnym oświetleniu. Nie brakło także specjalnie kultywowanych glonów i ozdobnych krzewów. Jeden bardzo długi pokój zamieniono na sad - drzewa rosły przy ścianach, a krzewy i mniejsze rośliny na środku w specjalnie usypanych rowach. Tutaj Complain po raz pierwszy zobaczył grejpfruty. Było bardzo gorąco, robotnicy pracowali obnażeni do pasa, a z twarzy Complaina także spływał pot. Zauważył, że bluzka przykleiła się Vyann do piersi - najśłodszych dla niego owoców na całym statku.

Na pokładach rolniczych pracowało wiele mężczyzn i kobiet wykonując rozmaite czynności, proste i skomplikowane. Jako społeczność o nastawieniu pokojowym Dziobowcy uważali rolnictwo za swoje główne zajęcie. Mimo jednak wielkiego wysiłku, jak twierdziła Vyann, zbiory z tajemniczych przyczyn się nie udawały, a zwierzęta zdychały bez konkretnego powodu. Głód stanowił tu stałe zagrożenie.

Przeszli na inne pokłady, gdzie miejscami było zupełnie ciemno, a na ścianach widniały blizny po ciosach zadanych nie znaną i zapomnianą bronią. Ślady katastrofy były nadal widoczne. W poczuciu osamotnienia dotarli do poziomu siłowni, który, jak twierdziła Vyann, był terenem zakazany dla ogółu, z wyjątkiem kilku oficerów. Tutaj nie mieszkał nikt, tu wszystko pozostawiono czasowi. Panowało absolutne milczenie, wszędzie spoczywał pył wieków.

- Czasami wyobrażam sobie, jak tu musiało być dawniej - wyszeptała Vyann przesuwając światło latarki po ścianach. - Na pewno było gwaro. W tej części produkowano siłę napędową. Musiało tu pracować masę ludzi.

Drzwi, które stały otworem po obu stronach korytarza, zupełnie nie przypominały zwykłych drzwi statku. Miały wmontowane ciężkie koła.

Minęli ostatnie sklepienie przejście i znaleźli się w olbrzymiej, wysokiej na kilka pięter sali. Promień latarki padł na stojące po obydwu stronach potężne pojemniki o niezwykłych kształtach, pomiędzy którymi znajdowały się dziwne, ciężkie konstrukcje na kołach, zaopatrzone w czerpaki, haki i metalowe uchwyty.

- Wszystko to kiedyś żyło - wyszeptała Vyann - a teraz jest martwe.

W sali nie było echa, gdyż masy nagromadzonego metalu wchłaniały każdy dźwięk.

- Tym właśnie sterowałaby sterownia - dodała - gdybyśmy ją tylko znaleźli.

Zawrócili, po czym Vyann wprowadziła go do innej Sali, przypominającej poprzednią, chociaż nieco mniejszej (według zwykłych standardów była ona i tak olbrzymia). Tutaj, mimo że warstwa

kurzu była równie gruba jak wszędzie, rozlegał się ciągły, głęboki dźwięk.

- Widzisz, tutaj siła jeszcze nie jest martwa - powiedziała dziewczyna - żyje nadal za tymi stalowymi ścianami. Chodź, to coś zobaczysz!

Zaprowadziła go do bocznego pokoju, który w całości zajmowała ogromna maszyna. Obudowana płytami, wyglądała jak trzy olbrzymie koła ustawione piastami do siebie. Po obu stronach maszyny wystawała rura o średnicy wielu stóp, która następnie znikwała w stropie. Za radą Vyann Complain przyłożył rękę do jednej z rur - okazało się, że wyraźnie wibruje. Z boku jednego z wielkich kół znajdowała się kłapa inspekcyjna. Vyann przekręciła zamek i otworzyła ją. Głęboki dźwięk natychmiast nasilił się, jakby jakiś harfista szarpnął wibrującą strunę.

Dziewczyna skierowała światło latarki w otwór.

Complain patrzył zafascynowany: w ciemności, migocząc niewyraźnie, coś się nieustannie obracało, wydając ten głęboki dźwięk. Z widocznej w samym środku niewielkiej rurki drobnymi kroplami kapał płyn na wirującą piastę.

- Czy to jest przestrzeń kosmiczna? - spytał Complain z zapartym tchem.

- Nie - powiedziała Vyann zamykając kłapę. - To jest jeden z trzech ogromnych wentylatorów. Ta mała rurka w środku smaruje jego oś. Wentylatory te nigdy się nie zatrzymują i powodują ruch powietrza w całym statku.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem, ponieważ Roger kiedyś mnie tu przyprowadził i wszystko mi wyjaśnił.

Na te słowa Complain stracił natychmiast wszelkie zainteresowanie dla całego otoczenia. Zanim zdążył się powstrzymać, spytał:

- Kim jest dla ciebie Roger Scoyt, Vyann? - Bardzo go kocham! - powiedziała z uczuciem. - Jestem sierotą, moja matka i ojciec udali się w Podróż, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Oboje zachorowali na gnilca. Roger Scoyt i jego żona, która była bezpłodna, adoptowali mnie, a kiedy ona zginęła wiele jaw temu, w czasie jednego z napadów na Dziób, on opiekował się mną stale i wszystkiego mnie uczył.

Ogromna fala ulgi dodała Complainowi odwagi: gwałtownie chwycił Vyann za rękę. Na tychmiast zgasła latarkę i odskoczyła od niego. W ciemności rozległ się jej ironiczny śmiech.

- Nie przyprowadziłam cię tutaj, mój panie, aby flirtować - powiedziała - musisz się najpierw czymś wykazać, zanim zaczniesz łapać mnie za rękę.

Próbował ją schwytać, ale w ciemności uderzył się tylko w głowę, na co dziewczyna od razu zapaliła światło. Pod wpływem niepowodzenia stał się ponury i zły. Odwrócony od niej, tarł bolesne miejsce na głowie.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? - zapytał. - Dlaczego jesteś dla mnie miła?

- Zbyt serio traktujesz Naukę; to dobre dla kogoś z prowincjonalnego szczepu - powiedziała uszczypliwie, lecz po chwili dodała łagodniej: - Daj spokój, nie bądź taki zły. Nie sądź, że każdy, kto okazuje ci życzliwość, musi być twoim wrogiem. Takie przestarzałe poglądy pasują lepiej do twego przyjaciela Marappera...

Ale Complain nie rozchmurzył się tak łatwo, zwłaszcza że wspomnienie Marappera uświadomiło mu jego ostrzeżenie. Zapadł w ponure milczenie, którego Vyann nie miała ochoty przerywać, i powrotną drogę odbyli obrażeni na siebie. Raz czy dwa Complain spojrział błagalnie na jej profil pragnąc, aby się wreszcie odezwała. Uczyniła to w końcu nie patrząc na niego.

- Jest coś, o co miałam cię spytać - powiedziała z wahaniem. - Trzeba odkryć siedlisko Obcych, trzeba zniszczyć ten szczepek awanturników. Ponieważ nasi ludzie są głównie rolnikami, nie mamy myśliwych. Nawet nasi wyszkoleni strażnicy nie odważają się zbyt głęboko zagłębiać w głony i na pewno nie byłiby w stanie pokonać tej całej trasy, którą wyście przeszli. Potrzebujemy cię, Roy, abyś nas poprowadził na naszych wrogów. Chcielibyśmy pokazać ci dostatecznie dużo, aby cię przekonać, że są to także twoi wrogowie.

Patrzyła teraz na Complaina uśmiechając się miło i trochę żałośnie.

- Kiedy tak na mnie patrzysz, mógłbym pójść nawet na Ziemię! - zawołał.

- Tego od ciebie na pewno nie zażądamy powiedziała uśmiechając się nadal. Po raz pierwszy wyzbyła się rezerwy. - Musimy teraz iść i zobaczyć, jak wyglądają sprawy Rogera. Jestem przekonana, że znowu wzięł na swe barki wszystkie problemy statku. Mówiłam ci o Obcych, on natomiast powie ci wszystko o bandzie najeźdźców Gregga.

W pośpiechu nie zauważyła zdziwienia malującego się na twarzy Complaina.

Mistrz Scoyt miał tym razem nie tylko mnóstwo pracy, ale i szczęścia. Czując po raz pierwszy, że coś konkretnego osiąga, był pogodny, a Complaina powitał jak starego przyjaciela.

Przesłuchanie Fermoura, który nadal przebywał pod ścisłym nadzorem w pobliskiej celi, zostało przesunięte z powodu jakiegoś zamieszania w Bezdrożach. Patrol Dziobowców, słysząc jakiś zgiełk w gęstwinie, zaryzykował dotarcie do Pokładu 29 (był to właśnie ten pokład, na którym zostali schwytani Complain i Marapper). Pokład ten, oddalony zaledwie o dwa inne od granicy Dziobu, był mocno zniszczony i patrol nie odważył się iść dalej. Zwiadowcy wrócili z pustymi rękami meldując, że na Pokładzie 30 toczy się jakaś walka i że słychać przeraźliwe krzyki kobiet i mężczyzn.

Na tym cała sprawa mogłaby się zakończyć, gdyby wkrótce po tym epizodzie jeden z bandziorów Gregga nie podszedł do barykady prosząc o rozejm i rozmowę z kimś z dowództwa.

- Mam go tu obok w celi - mówił Scoyt. To dziwny osobnik. Nazywa się Hawl. Poza tym, że o swoim szefie mówi per „kapitan” -robi wrażenie zupełnie normalnego.

- Czego on chce? - spytała Vyann. - Czy to dezertor?

- Dużo gorzej niż dezertor, Laur - rzekł Scoyt. - Walka, o której meldował nam patrol z Bezdroży, toczyła się między bandą Gregga i jakimś innym gangiem. Havel nie chce nic więcej powiedzieć, ale ta historia bardzo ich przeraziła. Krótko mówiąc, Gregg za pośrednictwem Hawla prosi o pokój i chce oddać swój szczepek pod opiekę Dziobu.

- To podstęp! - zawołała Vyann. - Chcą się tu po prostu dostać!

- Nie sędzę - powiedział Scoyt. - Hawi na pewno mówi szczerze. Szkopuł w tym, że Gregg, znając reputację, jaką się u nas cieszy, domaga się, aby jakaś osobistość z Dziobu udała się do niego w celu omówienia warunków. Ma to być wyraz dobrej woli z naszej strony. Ktoś, kto zostanie wyznaczony do tej misji, musi udać się w głony z Hawlem.

- To jest podejrzane - rzekła Vyann.

- No cóż, najlepiej będzie, jak pójdziesz go zobaczyć. Tylko przygotuj się na szok - nie jest to zbyt czarujący egzemplarz gatunku ludzkiego.

Wraz z Hawlem przebywało dwóch oficerów, którzy mieli go pilnować, ale zamiast tego najwyraźniej tłukli go ile wlezie związanymi w supły linami. Scoyt odprawił ich ostro, ale przez pewien czas nie mógł nic wydostać z Hawła, który jęcząc leżał cały czas na brzuchu. Dopiero zapowiedź następnego lania spowodowała, że wreszcie usiadł. Był to naprawdę dziwny osobnik, niewiele różniący się od mutanta. Madarozza pozbawiła go zupełnie włosów, tak że nie miał ani brody, ani nawet brwi, nie miał też zupełnie zębów, a wrodzona deformacja sprawiła, że jego twarz w swej górnej partii była znacznie przerośnięta w stosunku do partii dolnej, tak dalece zdegenerowanej, że górna szczęka praktycznie wisiała w powietrzu, czoło zaś było tak wypchnięte do przodu, że prawie całkowicie zasłaniało oczy. Głównym wszakże dziwactwem był normalny tułów z osadzoną na nim głową, nie większą niż dwie męskie pięści, jedna na drugiej.

Na ile mogli się zorientować, był on w średnim wieku. Widząc pełne zgrozy spojrzenie Vyann i Complaina zaczął mamrotać fragment Pisma świętego:

- Oby moje nerwice nie obrażały...

- No cóż, Haniebna Gębo - przerwał mu pogodnie Scoyt. - Jakie gwarancje zapewnia twój pan naszemu przedstawicielowi - o ile go w ogóle wyślemy?

- Jeżeli wrócę bezpiecznie do kapitana wyjąkał Havel - wasz człowiek wróci bezpiecznie do was. Na to możemy przysiąc.

- Jak daleko jest do tego bandyty, którego nazywasz kapitanem?

- Tego dowie się pana człowiek, jak pójdzie ze mną - odpowiedział Havel.

- Słusznie. Albo wyciągniemy to od ciebie tutaj.

- Nie wyciągniecie! - w głosie tego dziwnego osobnika było coś, co budziło respekt.

Scoyt musiał to wyczuć, bo kazał mu wstać, oczyścić się z kurzu i napić wody. W trakcie tych czynności zapytał:

- Ile ludzi liczy banda Gregga?

Havel postawił szklankę i stał trzymając wyzywająco ręce na biodrach.

- Tego dowie się wasz człowiek, kiedy pójdzie ze mną ustalać warunki! - rzekł. -

Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia, a teraz zdecydujcie sami, czy zgadzacie się, czy nie. Zapamiętajcie jednak, że jeżeli tu przyjdziemy, nie będziemy sprawiać kłopotu. Będziemy walczyć chętniej dla was niż przeciwko wam. Na to także przysięgamy.

Scoyt i Vyann popatrzyli na siebie.

- Warto spróbować, jeżeli znajdziemy jakiegoś lekkomyślnego ochotnika - rzekł po chwili Scoyt.

- Muszę iść do Rady - powiedziała Vyann. Complain nie odzywał się dotąd słowem oczekując sposobności, teraz jednak zwrócił się do Hawla:

- Czy człowiek, którego nazywasz kapitanem, ma jeszcze jakieś inne imię oprócz imienia Gregg?

- Możesz go o to sam spytać, jak będziesz ustalał warunki - powtórzył Hawl.

- Popatrz na mnie uważnie, człowieku. Czy przypominam w jakiś sposób kapitana? Odpowiedz!

- Kapitan ma brodę - rzekł wymijająco Hawl.

- Powinien ci ją dać do przykrycia głowy warknął Complain. - A co powiesz na to: Miałem brata, który dawno temu wpadł w szal i uciekł w Bezdroża. Nazywał się Gregg, Gregg Complain. Czy to właśnie twój kapitan, człowieku?

- Rany boskie! - powiedział Hawl. - I pomyśleć, że kapitan ma brata, który siedzi tutaj w tym gnieździe pedałów!

Complain odwrócił się podniecony do mistrza Scoyta, na którego twarzy malowało się zdumienie.

- Zgłaszam się na ochotnika. Pójdę z tym człowiekiem do Gregga.

Ta propozycja wyraźnie odpowiadała mistrzowi Scoytowi. Z właściwą sobie ogromną energią rozpoczął niezwłocznie starania, aby wysłać Complaina możliwie szybko. Użył całej siły swojej łagodnej, ale nieugiętej perswazji po to, by doprowadzić do natychmiastowego zebrania Rady Pięciu. Tregonnin ku swemu niezadowoleniu został ściągnięty z biblioteki, Zac Deight oderwany od teologicznej dysputy z Marapperem, Billyoe, Dupont i Ruskim pozostali członkowie Rady, odwołani od prac, którymi się zajmowali. Po tajnej naradzie sprowadzono Complaina, pouczone go o warunkach, jakie powinien przedłożyć Greggowi, i odesłano życząc przestrzeni. Musiał się spieszyć, aby powrócić, zanim nastanie kolejna ciemna sen-jawa.

Pomimo że obecność bandy Gregga w Dziobie miała swoje ujemne strony, Rada zgodziła się na ten projekt, oznaczało to bowiem koniec potyczek staczanych na obszarze Dziobu, a poza tym uzyskiwano w ten sposób doświadczonego sojusznika do walki z Obcymi.

Dyżurny wartownik zwrócił Complainowi latarkę i paralizator. Właśnie był zajęty ich przymocowywaniem, gdy do pokoju weszła Vyann, zamykając za sobą drzwi. Na jej twarzy malował się zabawny upór.

- Idę z tobą - powiedziała bez żadnych wstępów.

Complain podszedł do niej protestując. Nie była przyzwyczajona do glonów, mogło się w nich czaić jakieś niebezpieczeństwo. Gregg mógł się okazać człowiekiem fałszywym, była przecież kobietą. Przerwała mu tyradę.

- Nie ma sensu dyskutować - powiedziała krótko. - To jest rozkaz Rady.

- Nabrałaś ich! Dopięłaś swego! - zawołał. Zorientował się, że ma rację, i nagle poczuł się obłądnie szczęśliwy. - Dlaczego chciałaś iść ze mną? - zapytał.

Odpowiedź nie była takim komplementem, jaki życzył sobie w głębi duszy usłyszeć. Vyann zawsze miała ochotę na polowanie w glonach i, jak twierdziła, była to wyjątkowa okazja. Przypomniało to Complainowi Gwenny i jej zamiłowanie do polowań. Nie było to miłe wspomnienie.

- Musisz na siebie uważać - rzekł poważnie, pragnąc jednocześnie, aby powód, dla którego przyłączyła się do niego, był bardziej osobisty.

Zanim wyruszyli, zjawił się Marapper, by za mienić na osobności kilka słów z Complainem. Znalazł tymczasem nowy cel w życiu - nawrócenie mieszkańców Dziobu na Naukę. Od czasu łagodnych rządów Rady Nauka traciła wpływy. Głównym jej przeciwnikiem był Zac Deight i stąd spory między nim a Marapperem.

- Nie lubię tego człowieka - mruzczał kapłan. - Jest w nim coś okropnie szczerego.

- Proszę cię, nie wzniecaj tutaj sporów błagał go Complain - właśnie teraz, kiedy ci ludzie zdecydowali się nas przyjąć. Marapper, uspokój się na Boga! Przestań być sobą!

Marapper z taką siłą potrząsnął smutno głową, że zadrżały mu policzki.

- Przystajesz do niewierzących, Roy rzekł. - Muszę wzniecać spory. Niepokój drzemie wewnątrz w ludziach, muszę go wydostać na powierzchnię. W tym tkwi nasze wybawienie, a jeżeli jednocześnie zyskam stronników, tym lepiej. Roy, mój przyjacielu, przeszliśmy tak długą drogę razem, po to tylko, aby znaleźć dziewczynę, która cię zepsuła.

- Jeżeli masz na myśli Vyann, kapłanie rzekł Complain - to lepiej zostaw ją w spokoju. Już cię raz ostrzegałem, że ona nie ma z tobą nic wspólnego.

Mówił to wyzywająco, ale Marapper był słodki jak miód.

- Nie sądz, że mam coś przeciwko niej, Roy. Chociaż nie mogę ci przebaczyć jako duchowny, wierz mi, że jako mężczyzna szczerze ci zazdroszczę.

Wyglądał na całkowicie opuszczonego, gdy Complain i Vyann szli w stronę barykady, gdzie ich oczekiwał Hawl. Jego dawną hałaśliwość przyhamował nieco Dziób, gdzie każdy był mu obcy. Dla Marappera z pewnością było lepiej być wielką rybą w małym stawie niż na odwrót. Tam, gdzie Complain siebie odnajdywał, kapłan zaczynał się gubić.

Hawl stał przekrzywiając swą nieprawdopodobnie małą głowę. Był więcej niż zadowolony z powrotu w glony, powitanie, jakie mu zgotował Dziób, nie było zbyt wylewne. Gdy tylko całą trójkę przepuszczono przez barykady, ruszył z wprawą pierwszy, a Vyann za nim; Complain zamykał pochód. Hawl nie był teraz już tylko wybrykiem natury - poruszał się tak zręcznie, że Complain jako myśliwy mógł to tylko podziwiać; ten człowiek nie potrafił ani jednego liścia. Complain zastanawiał się w głębi duszy, co mogło tak bardzo przerazić tego człowieka, że gotów był zamienić swoje naturalne środowisko na nie znaną mu dyscyplinę Dziobu.

Mając tylko dwa pokłady do przejścia, nie przebywali zbyt długo wśród glonów, na szczęście dla Vyann. Szybko stwierdziła bowiem, że gęstwina nie jest romantycznym zakątkiem, lecz miejscem monotonnym, irytującym i pełnym małych, czarnych komarów. Była wdzięczna losowi, gdy Hawl się wreszcie zatrzymał, wypatrując czegoś wśród rzędnych łądyg.

- Poznaję ten odcinek! - zawołał Complain. - Tu gdzieś niedaleko jest miejsce, gdzie nas z Marapperem schwytano.

Przed nimi ciągnął się czarny, zrujnowany korytarz, z podziurawionymi ścianami i sufitem rozdartym szeroko jakąś zamierchłą eksplozją. Było to miejsce, w którym wyprawa z Kabin po raz pierwszy zetknęła się z niesamowitym stanem nieważkości. Hawl zapalił światło i wydał przerywany



gwizd. Natychmiast z otworu w suficie spłynęła lina.

- Jeżeli podejdziecie i chwycicie się liny, to wciągną was do góry - powiedział. - Podchodźcie powoli i mocno trzymajcie za linę. To bardzo proste.

Mogło to być jednak prostsze, niż zapewniał Hawl. Vyann, po raz pierwszy przebywająca w stanie nieważkości, krzyknęła ze strachu. Complain, bardziej z tym obyty, chwycił ją wpół i przytrzymał. Nie narażając na szwank godności własnej dotarli do liny i podjechali w górę. Wciągnięto ich przez strop i przez sufit następnego poziomu - widać wybuch musiał mieć duży zasięg. Hawl, nonszalancko rezygnując z liny, skoczył w górę i wylądował tuż przed nimi.

Powitało ich czterech obszarpańców skulonych nad grą Skacz wzwyż, w którą grali bezmyślnie, wyraźnie nie przywiązując wagi do wyników. Vyann i Complain stali w zrujnowanym pokoju, nadal w stanie nieważkości. Wokół otworu, którym przybyli, zgromadzone były różne graty służące prawdopodobnie jako osłona na wypadek ataku dla tego, kto go strzegł. Complain spodziewał się, że odbiorą mu paralizator, ale Hawl zamienił tylko kilka słów ze swymi obdartymi przyjaciółmi, po czym wyprowadził ich do innego korytarza. Natychmiast wróciła siła ciężenia.

Korytarz był pełen rannych mężczyzn i kobiet, leżących na stosach suchych glonów. Większość z nich miała zabandażowane twarze lub nogi - były to prawdopodobnie ofiary ostatniej bitwy. Hawl minął ich szybko, cmokając ze współczuciem, i wszedł do innego pokoju pełnego broni i mężczyzn, z których większość była pokaleczona, w plastrach lub bandażach. Wśród nich znajdował się Gregg Complain.

Był to niewątpliwie Gregg. Odwiecznego wyrazu niezadowolenia, widocznego wokół oczu i wąskich warg, nie zmieniła ani wielka broda, ani blizna na skroni. Gdy zbliżyli się Complain i Vyann, wstał.

- To jest kapitan - oświadczył Hawl. Przyproceedziłem pańskiego brata i tę piękną damę, kapitanie. Mają z panem pertraktować.

Gregg zbliżył się do nich przypatrując im się tak dokładnie, jakby od tego miało zależeć jego życie. Zarzucił stary zwyczaj Kabin i patrzył im prosto w oczy. W czasie tej lustracji wyraz jego twarzy nie uległ żadnej zmianie. Mogli być kawałkami drewna, on też mógł być drewnianym kłosem; więzy krwi nie miały dla niego żadnego znaczenia.

- Przybyłeś z Dziobu oficjalnie? - zwrócił się wreszcie do młodszego brata.

- Tak - rzekł Complain.

- Szybko się wdarłeś w ich łaski, co? Nie zajęło ci to dużo czasu?

- Co ty w ogóle o tym wiesz? - powiedział wyzywająco Complain. Upór i poczucie niezależności brata wzrosły wyraźnie od czasu jego gwałtownego rozstania z Kabinami.

- Wiem niejedno o Bezdrożach - rzekł Gregg. - Jestem kapitanem Bezdroży; co najmniej. Wiem, że zsićcie w kierunku Dziobu. Nieważne, skąd wiem, przejdźmy raczej do interesów. Po co przyproceedziłeś ze sobą tę kobietę? Żeby ci wycierała nos?

- Jak to słusznie zauważyłeś, przejdźmy lepiej do interesów - powiedział ostro Complain.

- Przypuszczam, że przyszła z tobą, aby mieć na ciebie oko i zobaczyć, jak się będziesz zachowywał - mruknął Gregg. - To typowe dla Dziobowców. Lepiej chodźcie za mną, tutaj jest za

dużo jęków... Hawl, ty też chodź z nami. Davies, będziesz tu teraz dowodził, ucisz ich, jeżeli potrafisz.

Podążając za lekko przygarbionym Greggiem Complain i Vyann weszli do innego pokoju, w którym panował nieopisany bałagan. Na nielicznych meblach leżały pokrwawione szmaty i części garderoby, przesiąknięte krwią bandaże wały się po podłodze jak rozdeptane naleśniki z konfiturami. W Greggu musiały jeszcze drzemać resztki dobrych manier, bo widząc niesmak malujący się na twarzy Vyann przeprosił za bałagan.

- Moja kobieta zginęła w czasie walki rzekł. - Rozszarpało ją na kawałki; nie słyszeliście takiego wrzasku. Nie mogłem do niej dotrzeć, po prostu nie mogłem... Posprzątałyby już dawno ten cały kram. A może pani by to zrobiła?

- Przedyskutujemy wasze propozycje i odejdziemy stąd natychmiast - powiedziała cierpko Vyann.

- Co się zdarzyło w czasie bitwy, Gregg, że jesteś taki przestraszony? - zapytał Complain. - Dla ciebie też jestem kapitan - odparł brat. - Nikt nie mówi do mnie Gregg. I zrozum jedno: ja się nie boję, nic nigdy nie było w stanie mnie przestraszyć. Myślę tylko o moim szczepie. Jeżeli tu zostaniemy, zginiemy wszyscy, to pewne. Musimy się stąd wynieść, a Dziób jest na to dostatecznie bezpiecznym miejscem. Tak więc - usiadł znużony na łóżku i gestem zaprosił brata - tutaj już nie jest bezpiecznie. Ludzi można pokonać, ale nie szczury.

- Szczury? - jak echo powtórzyła Vyann. - Tak, szczury, moja ślicznotko - Gregg wyszczerzył zęby. - Wielkie, potężne, brudne szczury, które potrafią myśleć i działać jak ludzie. Czy ty wiesz, o czym ja mówię, Roy?

Complain zbladł.

- Tak - powiedział. - Biegały już po mnie. Sygnalizują do siebie, ubierają się w łachmany i więżą inne zwierzęta.

- Ach, więc ty je znasz? Zdumiewające... Wiesz więcej, niż przypuszczałem. To wielka groźba, te stada szczurów, to największa groźba na statku. Nauczyły się wspólnego działania i atakują zespołowo, tak właśnie zrobiły ostatniego snu, gdy nas napadły, i dlatego musimy się stąd wynieść. Nie bylibyśmy w stanie ich pokonać, gdyby się znowu pojawiły w większej liczbie.

- To zadziwiające! - zawołała Vyann. - Na Dziobie nie było takich ataków.

- Może i nie, Dziób to jeszcze nie cały świat - rzekł ironicznie Gregg. Z jego hipotezy wynikało, że stada szczurów trzymają się Bezdroży, ponieważ tam napotykają pojedynczych ludzi, których łatwo atakować i likwidować. Ich ostatni napad był z jednej strony dowodem wyższej organizacji, z drugiej zaś częściowo przypadkiem. Nie zdawały sobie sprawy z siły bandy Gregga. W tym miejscu Gregg uznał pewnie, że powiedział już dosyć, bo nagle zmienił temat.

Jak twierdził, jego plany przeniesienia się na Dziób były bardzo proste. Miał utrzymać swoją grupę liczącą około pięćdziesięciu osób jako autonomiczną jednostkę nie mieszącą się z innymi mieszkańcami Dziobu, która miała wszystkie jawy spędzać jak dotychczas, penetrując Bezdroża, i wracać na Dziób tylko w czasie snu. Wzięliby na siebie odpowiedzialność za pilnowanie Dziobu przed Obcymi, Gigantami, szczurami i wszelkimi innymi napastnikami.

- A co chcesz w zamian? - spytał Complain.

- W zamian chcę zachować prawo karania moich własnych ludzi. Poza tym każdy musi się do mnie zwracać per „kapitan”.

- Czy to nie dziecinne żądanie?

- Tak sądzisz? Nigdy nie wiedziałeś, co jest dla ciebie dobre. W moim posiadaniu znajduje się stary dziennik, z którego wynika, że ja - i ty też oczywiście - jesteśmy potomkami kapitana tego statku. Nazywał się kapitan Complain, kapitan Gregory Complain. Należał do niego cały statek. Wyobraź to sobie, jeżeli jesteś w stanie...

Twarz Gregga, zwykle grubiańską, rozjaśniła nagle duma; gdzieś głęboko tlił się w nim płomień człowieczeństwa, pragnienie zgody z otaczającym światem.. Po chwili znów był ohydny dzikus, siedzącym na bandażach. Gdy Vyann zapytała o wiek dziennika, wzruszył ramionami i odrzekł, że nie wie, gdyż nie przeczytał nic poza stroną tytułową. Complain pomyślał złośliwie, że i to mu pewnie zajęło sporo czasu.

- Dziennik jest w szafce za twoimi plecami - rzekł Gregg. - Jak dojdziemy do porozumienia, to ci go kiedyś pokażę. Czy podjęliście już decyzję?

- Oferujesz nam za mało, bracie, aby twoja propozycja była atrakcyjna - odpowiedział Complain. - Ta groźba szczurów na przykład. Wyolbrzymiasz ją z sobie tylko znanych powodów.

- Tak uważasz? - Gregg wstał. - Więc chodź i zobacz sam. Zostań tu, Hawl, i miej oko na tę damę, to, co mamy zobaczyć, nie nadaje się dla jej oczu.

Poprowadził Complaina zapuszczonym korytarzem, zwracając mu się po drodze, jak bardzo żałuje, że musi opuścić swą dotychczasową kryjówkę. Dawna eksplozja i przypadkowy system pozamykanych drzwi międzypokładowych utworzyły dla jego bandy coś w rodzaju fortecy, do której można się było dostać tylko przez rozwalony sufit, którą wciągnięto właśnie Complaina i Vyann. Widać było, że sprawia mu oglądanie brata jednak pewną przyjemność. W pewnym momencie otworzył drzwi do małego, przypominającego szafę pokoju.

- Oto twój dawny kumpel - oświadczył wskazując ręką.

Widok, jaki ukazał się oczom Complaina, zaskoczył go całkowicie. Na twardej, brudnej pryczy leżał Ern Roffery, wyceniacz. Ledwie można go było poznać. Brakowało mu trzech palców, połowy mięśni twarzy, nie miał również jednego oka. Większa część wspaniałych niegdyś wąsów została obgryziona. Było to dziełem szczurów, tego nikt nie musiał Complainowi tłumaczyć, sam widział bowiem ślady zębów na objedzonych kościach policzkowych. Wyceniacz nie ruszał się.

- Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że już udał się w Podróż - rzekł obojętnie Gregg. - Biedny gnojek, nieustannie cierpi. Ma także wyjedzoną połowę klatki piersiowej.

Potrząsnął brutalnie Roffery'ego za ramię, uniósł mu głowę i pozwolił jej opaść na poduszkę.

- Jeszcze ciepły, ale nieprzytomny - oświadczył. - To ci chyba wyjaśnia, z czym musimy się borykać. Ostatniej jawy znaleźliśmy tego bohatera wiele pokładów stąd. Powiedział, że szczury go wykończyły. Od niego dowiedziałem się o tobie; poznał mnie biedak. To niezły chłop.

- Jeden z lepszych - rzekł Complain. Miał tak ściśnięte gardło, że prawie nie mógł mówić. Oczyma wyobraźni widział, jak doszło do tego strasznego zdarzenia. Jak zahipnotyzowany patrzył na potwornie okaleczoną twarz Roffery'ego, podczas gdy jego brat mówił dale. Szczury dopadły

Roffery'ego w basenie kąpielowym. Oszołomionego działaniem gazu Gigantów, załadowały na coś w rodzaju noszy i zawlokły do swych legowisk. Tam wśród tortur przystąpiły do przesłuchań.

Legowiska znajdowały się między dwoma zawałonymi pokładami, gdzie żaden człowiek nie mógł się dostać. Były dosłownie zatłoczone szczurami, które w zadziwiający sposób z różnych zebranych drobiazgów pobudowały sobie jamy i nory. Roffery widział zwierzęta więzione przez szczury w opłakanych warunkach. Wiele z tych bezradnych zwierząt było zdeformowanych fizycznie, a niektóre miały zdolność przenikania do mózgow innych. Mutantów tych użyły szczury do przesłuchiwania Roffery'ego. Complain zadrżał. Pamiętał dobrze wstręt, jaki odczuł, gdy usłyszał w mózgu wybełkotane pytania królika. Przeżycia Roffery'ego, jako znacznie dłuższe, były na pewno o wiele gorsze. Jeżeli szczury dowiedziały się od niego czegoś a musiały już wiedzieć o ludziach wiele - to i Roffery niejednego się o nich nauczył. Szczury przede wszystkim znały statek jak żaden człowiek; przynajmniej od czasów katastrofy gęstwina nie stanowiła dla nich przeszkody poruszały się wąskimi przesmykami między jednym a drugim pokładem i dlatego tak rzadko były widoczne. Wędrowały tysiącem przewodów, kanałów i rur, które stanowiły arterie wielkiego statku.

- Teraz wiesz już, dlaczego nie czuję się tu dobrze - powiedział Gregg - nie chcę mieć głowy objedzonej do kości. Moim zdaniem, te szczury to już zupełny koniec. Wracajmy do twojej dziewczyny. Dobrze wybrałaś, bracie. Moja nie była taka piękna, stawy nóg miała tak sztywne, że nie mogła zgiąć kolan. Ale... to jej nie przeszkadzało w łóżku.

Kiedy wrócili, Vyann bardzo się ucieszyła. Siedziała, pijąc jakiś gorący napój. Za to Hawl był wyraźnie zakłopotany i uznał za stosowne wyjaśnić, że na widok pokrwawionych bandaży zrobiło jej się niedobrze i musiał jej przynieść coś do picia.

- Została kropla i dla pana, kapitanie dodał małogłowy - proszę, niech pan to grzecznie wypije.

Gdy Gregg pił, Complain zaczął szykować się do drogi. Był nadal wstrząśnięty widokiem Roffery'ego.

Gregg popatrzył twardo na brata. Pod jego tępą obojętnością czaił się niepokój, niewątpliwie zależało mu na tym, aby wprowadzić swoją bandę możliwie szybko na Dziób. Być może po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego młodszy brat stanowi siłę, z którą należy się liczyć.

- Mam tu dla ciebie prezent, który możesz zabrać ze sobą - rzekł niezręcznie i podniósł coś z łóżka wsuwając to Complainowi do ręki. Jest to rodzaj paralizatora, który zabrałem dwie jawy temu Gigantowi trafionemu przez nas włócznią. Zabija za pomocą ciepła. Jest trudny w obsłudze i jeżeli nie będziesz uważał, możesz się oparzyć, ale jest bardzo skuteczny na szczury.

„Paralizator” był ciężkim metalowym przedmiotem. Po naciśnięciu guzika wydzielał się z niego prawie niewidoczny strumień ciepła. Nawet stojąc z dala Complain czuł gorąco, ale zasięg broni był najwyraźniej krótki. Przyjął prezent z wdzięcznością i nadspodziewanie serdecznie rozstał się z bratem. Odchodząc pomyślał, jak zabawnym uczuciem jest zadowolenie ze spotkania z kimś bliskim.

Vyann i Complain wracali na Dziób bez eskorty. Complain, bardziej niż poprzednio niespokojny, baczył wszędzie na szczury. Przybyli na miejsce bez przeszkód, aby zastać Dziób pełen zamieszania i rozgardiaszu.

Na Dziób dostał się Gigant. Nie przeszedł przez żadną z zapór, które były oczywiście nieustannie strzeżone, mimo to pojawił się nagle na Pokładzie 14 przed wracającą z pracy dziewczyną. Zanim zdążyła krzyknąć, została pochwycona, zakneblowana i związana. Gigant nie znął się nad nią i po

związaniu jej zniknął. Nie tracąc czasu, dziewczyna wypluła knebel i zaczęła wzywać pomocy.

Policja i strażnicy natychmiast rozpoczęli poszukiwanie napastnika. Alarmujące potwierdzenie obecności Gigantów - o ile było ono w ogóle na Dziobie potrzebne - wydawało się tym bardziej niepokojące, że cały wypadek nie miał żadnego sensu i najwyraźniej szykowało się coś bardzo nieprzyjemnego. Panował ogólny pogląd, że Giganci zdecydowali się na przerwanie swego długiego snu, aby przejąć ponownie statek. W poszukiwaniach brał udział mistrz Scoyt i większość jego ludzi; w tej chwili patrolowali wszystkie poziomy w okolicy miejsca wypadku.

Vyann i Complain dowiedzieli się o tym od podekscytowanego strażnika przy zaporze. Gdy zbliżali się do swoich pokojów, słyszeli w oddali gwizdy; korytarze były prawie puste, prawdopodobnie większość ludzi przyłączyła się do pościgu. Na Dziobie, podobnie jak w Kabinach, wszelkie urozmaicenie życia było mile widziane.

Vyann westchnęła z ulgą.

- Zyskujemy w ten sposób na czasie - powiedziała. - Nie chciałam stanąć przed Radą, zanim nie pomówię z tobą. Nie wiem, co sądzisz, ale jednego jestem całkiem pewna: nie możemy tutaj wpuścić bandy twego brata. Nie damy sobie z nimi rady.

Complain instynktownie wyczuwał, co miała na myśli. Mimo że był skłonny się z nią zgodzić, zapytał:

- Czy sprawiłoby ci przyjemność pozostawienie ich na pastwę szczurów?

- Gregg celowo wyolbrzymia możliwości szczurów, aby pod tym pretekstem się tutaj dostać. Jeżeli tak bardzo obawia się szczurów, jak mówi, to niech się przeniesie głębiej w Bezdroża. Naprawdę nie możemy go tu wpuścić, cała nasza organizacja załamałaby się.

Vyann miała zaciśnięte gniewnie usta. Była tak pewna siebie, że w Complainie wezbrała nagle fala buntu. Widząc gniew w jego oczach uśmiechnęła się lekko.

- Chodźmy pomówić do mojego pokoju, Roy. Było to pomieszczenie przypominające pokój Complaina, koszarowe i dość puste, z tą różnicą że na podłodze leżał kolorowy dywan. Vyann zamknęła za sobą drzwi.

- Będę musiała namówić Rogera i Radę, aby za wszelką cenę nie wpuszczano tutaj Gregga. Zauważyłeś chyba, że połowa jego ludzi ma różnego rodzaju deformacje? Przypuszczam, że jest po prostu zmuszony przyjmować wszelkich, nawet niedorozwiniętych, ochotników, jacy mu się nawiną w Bezdrożach, ale my w żadnym wypadku nie możemy sobie na coś podobnego pozwolić.

- On wie więcej o Bezdrożach niż ktokolwiek inny - powiedział Complain rozdrażniony jej uporem. - W razie jakiejś wyprawy w glony byłby nie do zastąpienia.

Machnęła ręką, a następnie położyła mu ją łagodnie na ramieniu.

- Nie zaczynajmy się kłócić. Ten problem rozstrzygnie Rada, a poza tym mam ci coś ważnego do przekazania.

- Zanim zmienimy temat... - przerwał jej Complain - Gregg zrobił pewną uwagę, która mnie zaniepokoiła. Uważał, że poszłaś ze mną po to, aby mieć na mnie oko. Czy to prawda?

Spojrzała na Complaina badawczo, powaga znikła z jej oczu.

- A może lubię na ciebie patrzeć?

Complain znalazł się w jednej z sytuacji, z których nie ma wyjścia. Krew tętniła mu w żyłach, w jakiś tajemniczy sposób przeczuwał, co nastąpi za chwilę. Rzucił na łóżko ciężką broń, którą otrzymał od Gregga. Nic nie byłoby w stanie go powstrzymać od tego, by wziąć w ramiona, przytulić do siebie tę nieprzystępną czarnooką dziewczynę i całować jej usta. Nie napotkał zresztą na żaden opór z jej strony, wręcz odwrotnie, gdy otworzyła oczy, były one pełne podniecenia, równie dzikiego, jakie on odczuwał.

- „W domu jest łowca, w domu z wyprawy”... - wyszeptała Vyann cytując fragment wiersza, którego uczyła się będąc dzieckiem. Zostaniesz teraz na Dziobie, prawda, Roy?

- Czy musisz o to pytać?! - zawołał unosząc rękę, aby dotknąć jej włosów, które go tak zawsze zachwycaly. Przez długą chwilę stali razem, objęci, wpatrzeni w siebie... Ta chwila trwała wieczność...

- Nie, tak nie można - powiedziała wreszcie Vyann. - Chodź, coś ci pokażę, coś sensacyjnego. Jeżeli będziemy mieli szczęście, dowiemy się wielu rzeczy o statku.

Vyann znów była na ziemi, Complainowi zajęło to dużo więcej czasu. Usiadła na łóżku, a gdy Complain usiadł obok niej, rozpięła sukienkę i wyciągnęła wąską, czarną książeczkę, ciepłą od jej ciała, i podała mu. Complain upuścił książeczkę i położył rękę na jej bluzce wyczuwając jędrne piersi.

- Laur, kochanie - po raz pierwszy wymówił głośno jej imię - czy musimy właśnie teraz oglądać tę przeklętą książeczkę?

Vyann, rozbawiona, włożyła mu stanowczo książeczkę do ręki.

- Musimy - powiedziała. - Została ona napisana przez twego przodka. Ukradłam ją z szafy Gregga, kiedy wysłałam tego potwora Hawla po coś do picia. To jest dziennik Gregory'ego Complaina, w swoim czasie kapitana tego statku.

Instynktowne przecucie, które skłoniło Vyann do kradzieży dziennika, okazało się słuszne i szczęśliwe. Wprawdzie dziennik liczył tylko kilka kartek, ale zawarta w nich treść okazała się rewelacją. Vyann czytała szybciej, więc Complain oddał jej książkę i leżąc z głową na jej kolanach, słuchał jej głosu. Trudno było o coś bardziej fascynującego, nawet gdyby znali okoliczności, dzięki którym ta mała książeczka przetrwała tyle lat.

Początkowo trudno im było cokolwiek zrozumieć, gdyż żadne z nich nie znało faktów, do których się autor odwoływał, wkrótce jednak zrozumieli koszmarną sytuację, w jakiej znaleźli się zarówno piszący, jak i jemu współcześni. Kryzys z zamierzchłych czasów przybliżył się nagle. Kapitan Gregory, jak szybko domyśliła się Vyann, był pierwszym kapitanem statku w czasie jego podróży powrotnej z Procyona na Ziemię.

Wiele mówiący zapis pojawił się już po kilku stronach.

*28.XI.2521. - Wzrastające kłopoty w Dziale Rolniczym (pisał dawno nieżyjący kapitan Gregory). Watkins, hodowca 1 klasy, zjawił się u mnie po rannej inspekcji. Zameldował, że blednica, która występowała u wielu gatunków roślin, nie ustępuje pomimo nieustannego stosowania żelaza. Zwiększono o dwa stopnie zakres widma rozwojowego. Zaraz potem pojawił się porucznik Stover, którego załoga nazywa Noem. Jest on inseminatorem zwierząt 1 klasy. Jest również*

zaniepokojony stanem niższych gatunków zwierząt, jak Watkins stanem wyższych gatunków roślin. Wydaje się, że myszy rozmnażają się prędeej, ale ich płody są przeważnie niedorozwinięte; podobne tendencje występują u świnek morskich. Nie jest to poważny kłopot, gdyż większość tych zwierząt, zgodnie z planem, wyniosła się na Nową Ziemię (wyszukana nazwa Procyona V). Nieliczne pozostałe to ustępstwo na rzecz sentymentalizmu Noego, chociaż jego argument, że mogą się przydać do eksperymentów laboratoryjnych, nie jest pozbawiony sensu.

30. XI. 2521. Ostatniej nocy odbył się nasz comiesięczny bal. Moja droga żona Yvonne, która zwykle te imprezy organizuje, zadała sobie wiele trudu. Wyglądała uroczo, ale oczywiście czas pozostawże na nas obojgu widoczne ślady, trudno wprost uwierzyć, że Frank ma już osiemnaście lat! Niestety zabawa zupełnie się nie udała. Był to nasz pierwszy bal od chwili opuszczenia Orbity X i odczuwało się wyraźnie brak kolonistów. Wydaje się, że na pokładzie pozostało bardzo niewiele ludzi. Jesteśmy już dziesięć dni drogi od Procyona V, a przed nami bezmiar monottonnych lat, które nas dzielą od celu.

Dziś rano byłem na śródokręciu, aby obejrzeć Dział Hodowli Roślin. Watkins i Montgomery, specjaliści od glonów, byli w dużo lepszym nastroju. Wprawdzie plony są znacznie gorsze, niż poprzednio, ale podstawowe rośliny, te pięć gatunków, które zaopatrują nas w tlen, poprawiają się; najwyraźniej zwiększone dawki żelaza okazały się skuteczne. Gorzej wygląda u Noego Stovera - mnóstwo zwierząt choruje.

2. XII. 2521. Pełne przyspieszenie. Można powiedzieć, że nasza długa podróż do domu dopiero się na serio zaczęła. Gdybyż to chociaż kogo podniecało... Nastroje są złe... Yvonne i Frank są wspaniali, robią, co mogą, żeby zapomnieć o naszej maleńkiej Joy, tak już w tej chwili dalekiej. W kabinach załogi powstał obrzydliwy klub o nazwie „Dosyć Rozmnażania”. Powiadomił mnie o tym Dział Stosunków Wewnętrznych. Sądzę, że w tym wypadku podstawowe pragnienia ludzkie zwyciężą. Więcej kłopotów sprawia biedny Bassitt... Był ptasznikiem II klasy, ale teraz gdy wszystkie ptaki, z wyjątkiem kilku wróbli, zostały wypuszczone na wolność na Nowej Ziemi, nie ma czym wypełniać czasu. Stworzył własną ponuro religię, którą sklecił opierając się na starych podręcznikach psychologii, i głosi ją z uporem po całym Korytarzu Głównym. To zdumiewające, ale ludzie są skłonni go słuchać. No cóż, znamię czasu.

To wszystko są nieistotne szczegóły. Właśnie miałem się zająć poważniejszą sprawą, zwierzętami, gdy nagle mnie odwołano. Później napiszę więcej.

5. XII. 2521. Nie ma czasu na pisanie dziennika. Spadło na nas przekleństwo! Prawie żadne zwierzę na pokładzie nie stoi o własnych siłach, wiele już zdechło. Reszta leży sztywna, z oczyma zamglonymi, a występujące od czasu do czasu kurcze mięśni są jedynymi oznakami życia. Szef Działu Hodowli Zwierząt, Distaff, który niegdyś chodził ze mną do szkoły, jest chory, ale jego podwładni i Noe robią, co mogą. Wydaje się, że cierpiącym zwierzętom nie pomagają żadne leki. Gdybyż mogły mówić! Technicy rolni starają się wykryć przyczynę epidemii. Na tym odcinku współpracują ściśle z Pokładem Laboratoryjnym. Skaranie boskie... To wszystko oczywiście woda na młyn Bassitta.

10. XII. 2521. Wśród sterty zwykłych raportów znajduję codziennie na swoim biurku wykaz chorych. Ósmego było dziewięciu, wczoraj dziewiętnastu, dzisiaj czterdziestu jeden, jest także, zupełnie moim zdaniem zbyteczna, prośba głównego lekarza Toynbee o spotkanie ze mną.

Poszedłem prosto do szpitala, aby z nim pomówić. Twierdzi, że przyczyną choroby jest

zatrucie pokarmowe nie zidentyfikowanego pochodzenia. Toynbee był jak zwykle bardzo zajęty i uczony, chociaż nie umiał powiedzieć nic konkretnego. Jak mi wyjaśniał, jego pacjentów zaatakowało to samo co zwierzęta. Robię przygnębiające wrażenie, duży procent to dzieci. Podobnie jak zwierzęta, leżą wyprężone, że co pewien czas występują u nich kurcze mięśni. Mają także wysoką gorączkę z prawdopodobnie porażenie strun głosowych. Do szpitala nikogo nie wpuszczają.

14. XII. 2521. Wszystkie dzieci i cała młodzież na statku leży w szpitalu z cierpi. Chorują także dorośli. Ogólna liczba chorych wynosi obecnie 109. Jest to prawie jedna czwarta całej obsady statku; na szczęście dorośli wydają się bardziej odporni. Distaff zmarł wczoraj, ale on już wcześniej był chory. Jak dotąd dziwny paraliż nie daje zgonów. Wszędzie twarze pełne niepokoju, z trudem mogą na nie patrzeć.

17. XII. 2521. O Panie, jeżeli nie odwróciłeś swej twarzy od statku, kiedy wystartował, spójrz na nas teraz! Minęło dziewięć dni od wystąpienia pierwszych dziewięciu zachorowań, osiem osób zmarło dzisiaj. Wszyscy sądziliśmy, a Toynbee nas o tym zapewniał, że jest im lepiej. Szttywność trwała tydzień, ostatnie dwa dni pacjenci byli spokojni, chociaż nadal mieli wysoką temperaturę. Trzech mogło mówić, twierdzili, że czują się nieźle, pozostała szóstka była nadal nieprzytomna. Śmierć przyszła nagle i spokojnie. Pokład Laboratoryjny wykonuje sekcje zwłok, Shezla Simpson jest jedynym przypadkiem z pierwszej grupy, który żyje. Jest to trzynastoletnia dziewczynka, gorączka jej nieco spadła, może nie umrze. Dla dalszych dziesięciu przypadków jutro kończy - się dziewięciodniowy cykl. Ogarniają mnie złe przeczucia. Sto osiemdziesiąt osiem osób jest w tej chwili chorych, wiele z nich leży u siebie, ponieważ szpital jest przepelniony. Obsada siłowni pełni obowiązki pielęgniarzy. Bassitt dwoi się i troi. Po lunchu przyszła do mnie delegacja złożona z dwudziestu oficerów pod dowództwem Watkinsa - sami poważni ludzie. Domagali się, aby zawrócić na Nową Ziemię, zanim będzie za późno. Oczywiście musiałem im to wyperswadować - znalazł się wśród nich nieszczęsny Cruikshank z Prasy Pokładowej; jego syn był jednym z ośmiu, którzy zmarli dziś rano.

18. XII. 2521. Nie mogłem spać. Dziś rano zachorował Frank, biedny chłopiec. Leży zupełnie sztywny, jak trup, patrząc... na co? Był zaledwie jednym z dwudziestu nowych przypadków, zaczynają już chorować starsi ludzie. Zmuszony byłem do zmiany dotychczasowego rozkładu zajęć na statku, jeszcze parę dni, a trzeba go będzie całkiem zarzucić. Dzięki Bogu, że większość urządzeń działa automatycznie i samoczynnie.

Z dziesięciu pacjentów, u których dziewięciodniowy cykl zakończył się dzisiaj, siedmiu zmarło. Trzej pozostali są nadal na krawędzi świadomości. Żadnych zmian u małej Sheili. Nikt nie mówi o niczym innym, jak tylko o tak zwanej „dziewięciodniowej zarazie”. Kazałem za mną Bassitta w celi za sianie defetyzmu. Jestem zmęczony po długotrwałej inspekcji Działu Rolnictwa w obecności, między innymi, Watkinsa, który był dość sztywny po nieudanej interwencji w dniu wczorajszym. Noe mówił mi, że na zarazę chorowało dziewięćdziesiąt procent zwierząt, z czego wyzdrowiało około czterdziestu pięciu procent. Chciałbym, aby wskaźniki u ludzi były równie korzystne! Na nieszczęście najgorzej zniosły chorobę większe zwierzęta nie przeżyły jej konie, a co gorsza także krowy. Owce chorowały ciężko, świnie i psy stosunkowo łżej. Myszy i szczury wyzdrowiały całkowicie, a ich zdolność rozmnażania jest nie naruszona. Zwykłe, rosnące w ziemi rośliny wykazały taką samą, mniej więcej, odporność. Trwała tu cały czas mordercza praca, ale dziesiątkowana załoga dała sobie świetnie radę z oczyszczaniem całych akrów grządek. W



sąsiednich pokojach Montgomery pokazał mi z dumą swoje glony. Całkowicie wyleczone z chlorozy (o ile to była chloroza), są bardziej aktywne niż kiedykolwiek przedtem; wygląda na to, że ich wersja dziewięciodniowej zarazy wyszła im na zdrowie. Hoduje się aktualnie pięć gatunków tlenorodnych glonów: dwa „wilgotne”, jeden „pseudowilgotny” i dwa „suche”. Szczególnie obficie pleni się jeden z „suchych” gatunków, stanowiący jadalną odmianę pierwotnego szczepu, który kilkaset lat temu został wyhodowany z prymitywnego gatunku podstawowego. W Dziale Hodowli Roślin utrzymuje się wysoko temperaturę i Montgomery sądzi, że to ma właśnie taki korzystny wpływ.

Dzwoniłem do Laboratorium. Naukowcy obiecują (nie pierwszy już raz) przygotować lek przeciw zarazie na jutro. Na nieszczęście większość pracowników naukowych choruje i zajmuje się tym jakaś kobieta nazwiskiem Payne.

21. XII. 2521. Opuściłem sterownię chyba na zawsze. Okiennice zostały zamknięte i nie widać już tych okropnych gwiazd. Statek spowija ponura beznadziejność. Więcej niż połowa obsady choruje na Dziewięciodniową Zarazę, a z sześćdziesięciu sześciu osób, które zakończyły pełny cykl, czterdzieści sześć nie żyje. Śmiertelność spada jednak codziennie, ale ci, co przeżyli, znajdują się nadal w stanie śpiączki; Sheila Simpson na przykład prawie się nie rusza. Kierowanie czymkolwiek staje się coraz trudniejsze, kontakt z odległymi częściami statku praktycznie nie istnieje, ponieważ cały personel łączności choruje. Wszędzie widać grupki mężczyzn z kobiet trzymające się razem i na coś czekające. Panuje ogólna apatia lub wręcz odwrotnie - rozwiązłość. Mam przed oczyma straszliwą wizję: nikt z nas nie żyje, a nasz przerażający grobowiec pędzi nadal, by po tysiącach lat dostać się w sferę przyciągania jakiegoś słońca. Ten pesymizm jest dowodem słabości, nawet Yvonne nie jest w stanie mnie rozruszać. Naukowcy już znaj4 przyczynę zarazy, ale obecnie nie wydaje się to już być istotne, po prostu przyszło za późno. W każdym razie tak się z grubsza przedstawiają wyniki badań: Zanim opuściliśmy nową planetę, nastąpiła całkowita wymiana wody. Wszystkie dotychczasowe zapasy wody zostały wrzucone na orbitę, a na ich miejsce dostarczono nowe.

Automatyczny proces polegający na pobieraniu wilgoci z powietrza i tłoczeniu jej ponownie do zbiorników kadłubowych działał cały czas znakomicie, ale oczywiście woda używana wielokrotnie stała się, mówiąc łagodnie, mdła. Nowa woda pobrana ze źródeł Procyona V miała dobry smak. Była naturalnie badana na obecność drobnoustrojów i filtrowana, ale chyba nie tak dokładnie, jak należało; metody badań w ciągu wielu pokoleń uległy w końcu pewnej stagnacji, chociaż obecnie wszelkie pretensje i szukanie winnych nie ma żadnego sensu. Mówiąc jak najprościej, w wodzie zawieszane były białka, które w cząsteczkowych roztworach przeszły przez nasze filtry.

June Payne z Działu Naukowego, bystre i zarozumiałe młode stworzenie, któremu hyperagarfobia nie pozwoliła zostać z mężem na Procyonie V, wyjaśniła mi w prosty sposób cały proces. Białka stanowią złożone związki aminokwasów. Aminokwasy będąc podstawowym budulcem tworzą drobiny białka łącząc się w łańcuchy peptydowe. Pomimo że znana liczba aminokwasów wynosi dwadzieścia pięć, mogą one tworzyć niezliczoną liczbę kombinacji drobin białka. Na nieszczęście w wodzie Procyona V znajdował się dwudziesty szósty aminokwas.

W zbiorniku nastąpiła hydroliza białek na ich podstawowe składniki, jak to prawdopodobnie zdarzało się na planecie. Tymczasem wszystkie żywe organizmy na pokładzie: ludzie, zwierzęta i rośliny, pochłaniały wiele galonów wody dziennie. W ich ustroju aminokwasy ponownie tworzyły

cząsteczki białka, które dostarczone do komórek, używane są jako paliwo i w złożonym procesie metabolizmu spalane, rozpadając się ponownie na aminokwasy. Tak dzieje się w warunkach normalnych - dwudziesty szósty aminokwas wywołuje zaburzenie tego procesu. Jego obecność powoduje powstawanie zbyt złożonych drobin białka, aby żywe organizmy zwierzęce i roślinne mogły je swobodnie zużytkować. Ten fakt stanowi właśnie przyczynę sztywności kończyn. Jak wyjaśnia Payne, bardziej zwarty łańcuch peptydowy, jaki powstaje w obecności nowego aminokwasu, jest częściowo wywołany przez większą siłę ciężenia występującą na Nowej Ziemi. Trzeba przyznać, że bardzo niewiele wiemy na temat tego, w jaki sposób ciężenie wpływa na łączenie się wolnych cząsteczek. Osiedla na nowym świecie muszą w tej chwili znajdować się w podobnie tragicznej sytuacji co my. Ich mieszkańcy mają chociaż tę nad nami przewagę, że umierają pod gołym niebem.

22. XII. 2521. Nie miałem wczoraj czasu, aby skończyć, dziś dla odmiany mam go aż za wiele. Zmęczony Toynbee zameldował rano o dalszych czterech zgonach. Dziewięciodniowa Zaraza panuje niepodzielnie nad statkiem - moja droga Yvonne jest jej ostatnią ofiarą. Wpakowałem ją do łóżka, ale nie mogę na nią patrzeć - to zbyt straszne. Zupełnie przestałem się modlić.

Skończę pisać o tym, co mówiła mi ta młoda Payne. Wykazywała ona ostrożny optymizm w ocenie szans przeżycia zarazy przez załogę. Organizmy ofiar zarazy pozornie pozbawione są wszelkiej aktywności, ale ich wewnętrzny aparat obronny walczy ze zbyt złożonymi drobinami białka. Ustrój dostatecznie elastyczny wyjdzie z tej walki zwycięsko i zaadaptuje się do zmienionej sytuacji - „jedna więcej drobina białka nie może nam tak bardzo zaszkodzić”, twierdzi śmiało panna Payne. Białka znajdują się we wszystkich żywych komórkach i po groźnym dla życia okresie nowe, różniące się nieznacznie białko będzie prawdopodobnie tolerowane przez organizm. Nowy aminokwas nazwany payniną (o czym gładko poinformowało mnie to bystre, młode stworzenie) został wyodrębniony i podobnie jak wcześniej znane leucyna czy lizyna, ma on wyraźny wpływ na wzrost. Taki będzie ten wpływ, mogą ujawnić tylko długofalowe obserwacje, na które, moim zdaniem, nie będzie czasu. Mamy za to już pewne krótkofalowe rezultaty. Rośliny w większości przystosowały się do payniny, a gdy to już nastąpiło, zaczęły się bujnie rozrastać. Zwierzęta przystosowały się w zależności od gatunków, z tym że jedynie hodowla świń wyraźnie się rozwinęła.

Zdaniem Payne wszystkich, którzy wyszli cało z choroby, należy uważać za mutantów (określiła to jako mutacje nieznacznego stopnia). Wydaje się, że wysoka temperatura panująca w Dziale Rolniczym okazała się w dużym stopniu pomocna. Wydałem polecenie, aby siłownia wewnętrzna podniosła temperaturę na statku o dziesięć stopni. Było to właściwie jedyne nasze posunięcie podyktowane troską o wszystkich...

Wygląda na to, że im bardziej skomplikowany jest organizm, tym trudniej przychodzi mu przystosowanie się do nowego białka. To bardzo źle dla człowieka, a ściślej mówiąc dla nas.

24. XII. 2521. Toynbee, a także Montgomery zachorowali na zarazę. To dwa z pięciu nowych przypadków. Niezwykle białko wykonało już chyba większość swojego zadania. Analizując wykazy chorych, bohatercko przesyłane przez szpital, doszedłem do wniosku, że im starszy człowiek, tym dłużej opiera się chorobie, ale za to ma dużo mniejsze szanse przeżycia, jeżeli zaraza go dopadnie. Pytałem o to Payne, gdy przyszła nie wzywana, aby mnie odwiedzić (mianowała się sama szefem Wydziału Badań I Klasy, mogę tylko błogosławić jej sprawność), ale ona jest zdania, że liczby nie mają w tym wypadku większego znaczenia. Młodzi zawsze znoszą wszystko lepiej niż starsi.

*Mała Sheila Simpson wyzdrowiała! Szesnaście długich dni temu była jednym z pierwszych przypadków. Poszedłem ją odwiedzić: wygląda zdrowo, tylko jest bardzo nerwowa i jakaś szybka w ruchach. Ma nadal wysoką temperaturę, ale jest bądź co bądź naszym pierwszym przypadkiem wyzdrowienia.*

*To absurdalne, ale jestem optymistą! Jeżeli chociaż sto mężczyzn i kobiet przeżyje, mogą się rozmnażać, a ich potomkowie doprowadzą statek do celu. Czy nie ma niższego limitu dla zabezpieczenia gatunku ludzkiego przed wymarciem? Odpowiedź kryje się niewątpliwie gdzieś w bibliotece, wśród tych ponurych tomów napisanych i wydrukowanych przez poprzednich mieszkańców statku...*

*Głupia historia, ale dzisiaj wybuchł bunt, na którego czele stanęli sierżant Tungsten z Policji Pokładowej i „Pyra” Murphy, jedyny żyjący zbrojmistrz. Wpadli w furję i posługując się ręczną bronią atomową, której nie pozostawiono na Procyonie V, zabili sześciu współtowarzyszy i spowodowali duże szkody na śródokręciu. Dosyć to dziwne, ale mnie nie szukali! Kazałem ich rozbroić i wsadzić do aresztu. Bassitt będzie miał wreszcie kogoś, komu będzie mógł prawić kazania. Całą broń, z wyjątkiem neuroletycznej, czyli tak zwanych popularnie paralizatorów, kazałem zebrać i zniszczyć, aby nie dopuścić do dalszego zagrożenia statku. Paralizatory działają wyłącznie na żywy układ nerwowy, na materię nieorganiczną nie mają wpływu.*

*25. XII. 2521. Następną próbą buntu. Wybuchł, kiedy znajdowałem się w Dziale Rolniczym. Jako jeden z najważniejszych działów statku, musi on pracować za wszelką cenę. Tlenorodne glony zostawiono w spokoju, ponieważ dają sobie same radę. Wspomniana poprzednio „sucha” odmiana rozrosła się przenosząc się z grządek na podłogę i wygląda na to, że staje się samowystarczalna. Przyglądałem się jej właśnie, gdy wszedł Noe Stover z paralizatorem i grupą podnieconych młodych kobiet. Strzelił do mnie. Gdy odzyskałem przytomność, zaniecono mnie do sterowni, gdzie zagrożono mi śmiercią, jeżeli natychmiast nie zawrócę statku w stronę Nowej Ziemi! Dużo czasu zajęły mi wyjaśnienia, że zboczenie o 180° z kursu przy obecnej szybkości statku wynoszącej około 1328,5 SR (Ziemia) kosztowałoby mniej więcej pięć lat. Ostatecznie demonstrując im dane cyfrowe na papierze przekonałem ich. Byli jednak tą wiadomością tak wstrząśnięci, że i tak postanowili mnie zabić.*

*Kto mnie uratował? Nie moi oficerowie, co stwierdzam z żalem, tylko June Payne, i to samotnie! Moja mała bohaterka z Działu Naukowego! Wpadła na nich z taką furją, że w końcu wynieśli się z Noem na czele. Teraz słyszę, jak hałasują na pobliskich pokładach - dobrali się do zapasów alkoholu.*

*26. XII. 2521. Mamy już sześć osób całkowicie zdrowych, wliczając w to małą Sheilę. Wszyscy mają gorączkę, poruszają się nerwowo i szybko, ale twierdzą, że czują się dobrze. Na szczęście nie pamiętają zupełnie cierpień, jakie przeszli. Tymczasem zaraza zbiera dalsze żniwo. Raporty ze szpitala przestały napływać, ale wydaje mi się, że czynnych jest nadal około pięćdziesięciu osób. Pięćdziesiąt! Kres ich odporności (a także mojej) zbliża się nieuchronnie. Nie można uniknąć nagromadzenia się obcego białka, ale ponieważ dziwaczne połączenia aminokwasów występują przypadkowo, niektórzy z nas unikają fatalnych skutków dłużej niż inni. Tak w każdym razie twierdzi June Payne. Była znowu u mnie, jestem jej oczywiście wdzięczny za okazaną pomoc. Zdaje się, że czuję się samotny, bo nagle stwierdziłem, że ją namiętnie całuję! Jest fizycznie bardzo atrakcyjna i piętnaście lat młodsza ode mnie. Była to oczywiście głupota z mojej strony. Powiedziała mi (och, czy jest jakiś sens w powtarzaniu ciągle tych samych argumentów?),*

*że jest sama, przerażona, że pozostało nam niewiele czasu, dlaczego więc nie mielibyśmy się kochać? Przegrałem ją, mój nagły gniew świadczył o tym, jak bardzo jej pragnę. Teraz żałuję, że byłem taki gwałtowny, ale nie mogłem przecież przestać myśleć o Yvonne, która cierpi obok, w sąsiednim pokoju.*

*Muszę się uzbroić i dokonać w dniu jutrzejszym czegoś w rodzaju inspekcji statku.*

*27. XI. 2521. Znalazłem dwóch młodszych oficerów: Johna Halla i Margaret Prestellan, którzy towarzyszyli mi w czasie inspekcji statku. Mężczyźni pracują nadal wydajnie. Noe zorganizował specjalną opiekę i karmi tych, którzy przeżyli dziewięciodniową zarazę. Jakie będą długofalowe reperkusje tej katastrofy? Ktoś uwolnił Bassitta. Bredzi jak szalony, a jednak zmusza do słuchania. Mógłbym prawie uwierzyć w jego naukę. W tej trupiarni łatwiej uwierzyć w psychoanalizę niż w Boga.*

*Poszliśmy do Działu Rolniczego. Wygląda rozpaczliwie, zwierzęta żyją swobodnie wśród roślin. A te glony! Sucha tlenorodna odmiana, o której już wspominałem, pod wpływem payniny uległa mutacji. Wdarła się na korytarz w okolicy Sekcji Glonów, a jej system korzeni pchał przed sobą warstwę gleby. Zupełnie jakby wytworzyła własną inteligencję! Mając nieco absurdalną wizję rośliny zarastającej i duszącej cały statek, poszedłem do sterowni i włączyłem urządzenie, które zamknęło wszystkie drzwi międzypokładowe wzdłuż całego Korytarza Głównego. To powinno utrudnić roślinie dalsze rozrastanie.*

*Frank obudził się. Sztywność ustąpiła, ale mnie nie poznał. Odwiedzę go znowu jutro.*

*Dzisiaj zachowała June. Ta ładna i pełna życia June! Prestellan mi ją pokazała - była nieruchoma i cierpiała, tak jak zresztą przepowiedziała. W jakiś zdradziecki sposób jej widok zabolął mnie bardziej niż widok Yvonne. Chciałbym... ale jakie to ma znacznie, czego bym chciał? TERAZ MOJA KOLEJ!*

*28. XI. 2521. Prestellan przypomniała mi, że było Boże Narodzenie. Zupełnie zapomniałem o tej bzdurze. Dlatego tak świętowali ci pijani buntownicy! Biedni głupcy!*

*Frank poznał mnie dzisiaj. Zorientowałem się po jego oczach, chociaż nadal jeszcze nie może mówić. Jeżeli kiedykolwiek zostanie kapitanem, to zupełnie innego statku.*

*Dwadzieścia wyzdrowień. To wyraźny postęp i nadzieja. Niedola zrobiła z nas myślicieli. Dopiero teraz, gdy Długa Podróż nie oznacza już nic więcej poza powrotem do mroku, zaczynam wątpić w jakikolwiek sens idei podróży międzygwiazdnych. Jak wiele bezimiennych kobiet i mężczyzn musiało myśleć to samo, gdy zamknięci w tych wiekowych ścianach udawali się na Procyona! W służbie tej dumnej idei życie przeciekło im między palcami zupełnie jałowo. Bardzo wielu będzie też musiało umrzeć, zanim nasi potomkowie staną znowu na Ziemi. Ziemia! Modłę się, aby ludzkie serca zmiękły, aby przestały być tak twarde jak te metale, które ludzie tak kochali i którym służyli. Tylko tak ogromny rozkwit techniki, jaki wystąpił w wieku Dwudziestym Czwartym, mógł doprowadzić do zbudowania tego cudownego statku, a jednak cud ten jest okrutny i całkowicie zbyteczny. Tylko wiek technologii mógł skazać nie narodzone jeszcze pokolenia na uwięzienie na statku, tak jakby człowiek był tylko protoplazmą bez czucia i pragnień. Na początku ery technologii było najpierw wspomnienie Belsen. To bardzo znamienne moim zdaniem fakt... Cóż możemy zrobić innego, jak tylko mieć nadzieję, że ta trwająca w nieskończoność agonia zakończy się - zakończy raz na zawsze zarówno na Ziemi, jak i na nowym świecie Procyonze V.*

Na tym kończył się dziennik.

Vyann musiała kilkakrotnie przerywać czytanie, aby uspokoić drżenie głosu. Jej wojskowy sposób bycia znikł całkowicie, była w tej chwili tylko siedzącą na łóżku bliską leż dziewczyną. Gdy skończyła, zmusiła się do odczytania jeszcze raz pierwszego zdania dziennika, które uszło uwadze Complaina. Energicznym, spiczastym pismem kapitan Gregory Complain napisał:

*„Kierujemy się w stronę Ziemi wiedząc, że ludzie, którzy zobaczą jej niebo, nie urodzą się wcześniej, nim wymrze kolejno sześć pokoleń”.*

Vyann przeczytała to głośno, drżącym głosem, po czym wybuchnęła płaczem.

- Czy nie rozumiesz?! - krzyknęła. - Och, Roy. Podróż miała trwać tylko siedem pokoleń, a my przecież jesteśmy już dwudziestym trzecim! Dwudziestym trzecim! Dawno minęliśmy Ziemię i nic nas już nie może uratować!

Bez słów, ale i bez wielkiej nadziei Complain usiłował ją pocieszyć, miłość ludzka jednak nie była tą siłą, która by mogła ich wyprowadzić z nieludzkiej pułapki, w jakiej się znaleźli. Gdy Vyann przestała wreszcie łkać, zaczął mówić. Słyszał swój łamiący się głos, ale mówił dalej, głównie po to, aby odwrócić jej uwagę (właściwie uwagę ich obojga) od tragedii.

- Ten dziennik wyjaśnia bardzo wiele, Laur. Musimy wziąć się w garść i cieszyć się, że tyle już wiemy. Przede wszystkim wyjaśnia on przyczynę katastrofy. Nie jest to już przerażająca legenda, ale coś uchwytnego, coś, z czym można sobie poradzić. Nie będziemy chyba nigdy wiedzieli, czy kapitan Gregory przeżył, ale na pewno udało się to jego synowi, bo nazwisko nie zginęło. Może udało się przeżyć June Payne, która w pewnym stopniu przypomina mi ciebie... W końcu jest jasne, że nie wszyscy zginęli; niewielkie grupy tych, co pozostali, zaczęły tworzyć szczepy... A tymczasem glony prawie całkowicie wypełniły statek.

- Kto mógł przypuszczać - wyszeptała że glonów wcale nie powinno tu być. One... one są elementem naturalnego porządku. Tak się przynajmniej wydaje...

- Laur! Laur! - zawołał przerywając jej gwałtownie Complain. Usiadł i chwycił dziwną broń otrzymaną od brata.

- Ta broń! Dziennik mówi, że cała broń, z wyjątkiem paralizatorów została zniszczona. To oznacza, że ten przedmiot nie może być bronią!

- Może o tym zapomnieli - powiedziała zmęczonym głosem.

- Może zapomnieli, a może nie: Jest to urządzenie wydzielające ciepło i musi do czegoś służyć, czego nie znamy. Ja to wypróbuję.

- Roy, bądź ostrożny! - krzyknęła Vyann. - Wzniesiesz pożar!

- Wypróbuję to na czymś, co się nie pali. Mówię ci, Laur, zrobimy odkrycie, przysięgam! Ostrożnie wziął broń do ręki kierując lufę w stronę ściany. Na górnej, gładkiej powierzchni broni była podziałka i mały guzik. Complain nacisnął guzik, podobnie jak to poprzednio zrobił Gregg. Wąski, prawie niewidoczny strumień ciepła dotknął ściany i natychmiast na jej metalowej matowej powierzchni ukazała się jasna linia, która powiększała się i rozszerzała. Pojawiły się jakby dwie wiśniowo-czerwone wargi rozchyłające się w uśmiechu. Complain pospieszenie nacisnął ponownie guzik. Gorący strumień przestał płynąć, wargi straciły kolor, pociemniały, wyprostowały się i

wreszcie pozostał tylko otwór, przez który widać było korytarz.

Stali jak rażeni piorunem, patrząc na siebie. - Musimy powiedzieć o tym Radzie - odezwał się wreszcie \_Complain z szacunkiem w głosie.

- Poczekaj, Roy! - powiedziała Vyann. Kochanie, jest pewne miejsce, gdzie chciałabym wypróbować tę broń. Czy pójdziesz tam ze mną, zanim powiemy komukolwiek o naszym odkryciu?

Gdy znaleźli się na korytarzu, stwierdzili z pewnym zdziwieniem, że polowanie na Giganta trwa nadal. Za chwilę miała zapaść ciemność trwająca jak zwykle przez następną sen-jawę. Wszyscy nie zajęci polowaniem przygotowywali się do snu za zamkniętymi drzwiami swoich pokoi. Statek wyglądał na całkowicie opuszczony i podobnie musiał wyglądać wtedy, gdy połowa załogi umierała na Dziewięciodniową Zarazę. Vyann i Complain szli szybko, przez nikogo nie zauważeni. Gdy nagle zapadła ciemność, dziewczyna bez słowa zapaliła latarkę przymocowaną do pasa.

Complain podziwiał upór, z jakim nie poddawała się klęsce. Nie potrafił zbyt dokładnie przeanalizować samego siebie, aby zorientować się, że posiada bardzo podobną cechę charakteru. Niejasne przecucie, że mogą po drodze napotkać szczury, Gigantów lub Obcych czy wreszcie wszystko to razem, opanowało go tak dalece, że cały czas trzymał broń ciepłą w jednej ręce, a paralizator w drugiej. Nic jednak nie zakłóciło ich wyprawy i bezpiecznie dotarli na Pokład 1 i do krętych, obudowanych schodów.

- Zgodnie z planem twego przyjaciela Marappera - powiedziała Vyann - sterownia powinna znajdować się na szczycie tych schodów. Na planie robi ona wrażenie dużej, ale tam jest tylko mały pokój o gładkich półokrągłych ścianach. Czy nie nasuwa ci się przypuszczenie, że ściany te zostały tam umieszczone po to, by broniły dostępu do sterowni?

- Sądzisz, że przez kapitana Gregory?

- Niekoniecznie. Prawdopodobnie zrobiono to później. Chodź i skieruj na nie tę broń. Wdrapali się po schodach i stanęli patrząc na otaczające ich metalowe ściany. Mieli wrażenie, że są bliscy odkrycia jakiejś tajemnicy Vyann ścisnęła go boleśnie za ramię.

- Spróbuj tutaj - wyszeptała wskazując ręką na chybił trafił. W chwili gdy włączył broń, zgasła światło.

W ciemnościach, przed skierowaną w ścianę lufą, pojawiła się czerwona poświata, która rozjarzyła się po chwili tworząc jaskrawy kwadrat. Nagle boki kwadratu zapadły się, a znajdujący się w środku metal zwinął się jak kawałek skóry, pozostawiając otwór, przez który można było przejść. Czując jakiś ostry zapach oboje czekali cierpliwie, aż brzegi ostygną. Wewnątrz, w wielkim, słabo w tej chwili widocznym pomieszczeniu, mogli zobaczyć wąski fragment czegoś nieokreślonego, co przekraczało całkowicie wszelkie ich doświadczenie.

Gdy brzegi kwadratu wystygły na tyle, że można było bezpiecznie przez niego przejść, skierowali się natychmiast w stronę dziwnego zjawiska.

Wielkie żaluzje, które zamykały całą ogromną, obejmującą 270 stopni kopułę obserwacyjną, znajdowały się w tym samym stanie, w jakim przed laty pozostawił je kapitan Gregory Complain. Nie zniknął nawet pozostawiony niechcący na parapecie klucz, który uniemożliwił domknięcie się jednej z żaluzji. Powstała w ten sposób niewielka szczelina przyciągała Complaina i dziewczynę tak, jak światło przyciąga glony.

Rozpocząła się prawie od poziomu podłogi i sięgała im wysoko nad głowy, ukazując wąską wstęgę kosmosu. Jak wiele straconych daremnie lat musiało upłynąć od czasu, kiedy ostatni uczestnik wyprawy wyglądał w bezkresną próżnię... Głowa przy głowie Complain i dziewczyna patrzyli przez szczelną hyalinę tungstenu okna, starając się zrozumieć to, co widzą. Nie było tego wiele, zaledwie drobny skrawek wszechświata i jego gwiazd. Za mało; aby mógł spowodować zawrót głowy, ale dosyć, aby napęlić ich odwagą i nadzieją.

- Jakie to może mieć znaczenie, że statek minął Ziemię? - odetchnęła z ulgą Vyann. Odnależliśmy stery! Gdy już nauczymy się nimi posługiwać, skierujemy statek na najbliższą planetę... Tregonnin mówił nam, że większość słońc ma planety. Dokonamy tego! Wiem, że damy radę! Teraz już wszystko będzie proste!

W słabym świetle zobaczyła jakiś dziwny błysk w oczach Complaina, jakby bezgraniczne zdumienie.

Objęła go ramieniem, pragnąc nagle zaopiekować się nim tak, jak to zawsze robiła ze Scoytem. Niezależność, którą tak nieustannie wbijano do głowy w Kabinach, opuściła na moment Complaina.

- Po raz pierwszy - rzekł - uświadomiłem sobie... uświadomiłem to sobie w pełni, że jesteśmy naprawdę na statku.

Miał w tej chwili nogi jak z waty. Potraktowała jego słowa jak wyzwanie pod swoim adresem.

- Twój przodek wystartował z Nowej Ziemi - powiedziała. - Ty wylądujesz na Ziemi Najnowszej.

Zapaliła latarkę kierując pospiesznie światło na długie rzędy instrumentów sterowniczych, które dotychczas pozostawały w ciemności. Niezliczone szeregi tarcz zegarowych, które w swoim czasie zrobiły z tego pomieszczenia centralny układ nerwowy statku; rzędy przycisków, zgrupowane w wojskowym ordynku wskaźniki, dźwignie, gałki i ekrany, to wszystko, co stanowiło zewnętrzny wyraz siły nadal poruszającej statkiem, było zlepione razem w masę przypominającą lawę. Na wszystkich ścianach sterowni niezliczone instrumenty przypominały wilgotny sorbet. Nie oszczędzono niczego. Światło coraz szybciej biegające po ścianach nie było w stanie wykryć ani jednego czynnego kontaktu. Stery zostały zniszczone całkowicie...

## Wielkie Odkrycie

Słabe światło kontrolne oświetlało kilometry krętych korytarzy. W jednym końcu statku glony zaczynały więdnąć, gdyż każda ciemna sen-jawa oznaczała dla nich nieuchronną śmierć; w drugim mistrz Scoyt ze swoimi ludźmi nadal prowadził przy świetle latarek poszukiwania Giganta. Grupa Scoyta, posuwając się wzdłuż niższych poziomów siłowni, praktycznie ogołociła dwadzieścia pokładów Dziobu ze wszelkiego życia.

Zapadająca ciemność zaskoczyła kapłana Henry'ego Marappera, gdy wracał od radcy Tregonnina do swego pokoju. Marapper ostrożnie wkradał się w łaski bibliotekarza w oczekiwaniu chwili, gdy Rada Pięciu ukonstytuuje się ponownie jako Rada Sześciu - Marapper oczywiście widział siebie jako szóstego radcę. Szedł w ciemnościach ostrożnie, obawiając się nieco, że nagle pojawi się przed nim jakiś Gigant.

I tak też bez mała się stało.

Parę kroków przed nim gwałtownie otworzyły się drzwi, a korytarz zalało jasne światło.

Zaskoczony Marapper cofnął się. Światło migotało i przesuwało się zmieniając cienie w przerażone nietoperze, w miarę jak posiadacz latarki kręcił się po pokoju. Po chwili w drzwiach pojawiły się dwie wielkie postacie prowadzące kogoś mniejszego, przy czym mały osobnik chwiał się i robił wrażenie chorego. Byli to niewątpliwie Giganci - mieli ponad sześć stóp wzrostu.

Źródło wyjątkowo jasnego światła umocowane było na głowie jednego z nich; to ono rzucało dziwaczne cienie, gdy Gigant pochylił się, aby unieść mniejszą postać. Odeszli na kilka kroków w głąb korytarza, zatrzymali się na środku i odwróceniem plecami do Marappera uklękli. W tej chwili światło padło na twarz mniejszego człowieka. Był to Fermour!

Zamieniwszy kilka słów z Gigantami Fermour pochylił się i przyłożył dłoń wierzchem do pokładu wykonując przy tym dziwny gest. Jego ręka, z palcami skierowanymi ku górze, przez chwilę oświetlona była latarką. Pod jej naciskiem część pokładu uniosła się do góry. Natychmiast Giganci chwycili ją i podnieśli jeszcze wyżej ujawniając właz. Najpierw pomogli Fermourowi zejść w dół, a następnie weszli za nim i zatrzasnęli klapę. Słaby blask kwadratowej lampki kontrolnej znów pozostał jedyną iluminacją wyludnionego korytarza.

Marapper odzyskał głos.

- Ratunku! - wrzasnął. - Ratunku! Gonia mnie!

Zaczął walić w najbliższe drzwi, a nie otrzymując z wewnątrz żadnej odpowiedzi po prostu je otworzył. Były to pokoje robotników, w tej chwili opuszczone przez właścicieli, którzy towarzyszyli Scoytowi i Zespołowi Przetrwania. W jednym z pokoi Marapper natknął się na matkę siedzącą w półmroku i karmiącą dziecko. Natychmiast i ona, i dziecko zaczęły wyc ze strachu.

Hałas sprowadził wkrótce ludzi ze światłem. Byli to głównie mężczyźni biorący udział w wielkim polowaniu na Giganta, niebywale podnieceni niespotykanymi wydarzeniami. Na wieść, że tutaj, w samym środku ich terenu, pojawili się Giganci, zaczęli wydawać jeszcze dziksze wrzaski niż Marapper. Tłum gęstniał, okrzyki nasilały się. Marapper stał przyciśnięty do ściany, powtarzając bez przerwy swoją opowieść kolejno pojawiającym się oficerom, aż wreszcie jeden z kapitanów Zespołu Przetrwania, Pagwam, przecisnął się energicznie przez tłum i szybko oczyścił teren wokół Marappera.

- Pokaż mi ten otwór, przez który twoim zdaniem zeszli Giganci - rozkazał. - Wskaż mi to miejsce.

- Kogoś mniej odważnego ode mnie mogłoby to przerazić - rzekł nadal wstrząśnięty Marapper. Wskazał ręką na prostokąt wyznaczający miejsce, którym wyszli Giganci. Linia była cienka jak włos i prawie niezauważalna. Wewnątrz prostokąta, przy jednym z jego boków, widniało dziwne ośmiokątne wgłębienie o średnicy około pół cala. Poza tym nie było nic, co by odróżniało zapadnię od reszty pokładu. Na rozkaz Pagwama dwóch mężczyzn usiłowało ją otworzyć, ale okalająca ją szczelina była tak wąska, że wchodził w nią zaledwie czubek paznokcia.

- Nie chce się otworzyć, proszę pana - rzekł jeden z mężczyzn.

- Bogu niech będą za to dzięki! - zawołał Marapper, który wyobraził sobie od razu tłum Gigantów wyłaniający się z otworu.

Ktoś wreszcie sprowadził Scoyta. Twarz mistrza była jeszcze bardziej zawzięta niż zazwyczaj; słuchając Pagwama i Marappera nieustannie gładził długimi palcami bruzdy na policzkach. Mimo



zmęczenia jego umysł pracował sprawnie.

- Te zapadnie - rzekł - umieszczone są co sto kroków na całej długości statku. Nigdy nie wiedzieliśmy, czym są naprawdę, bo nie potrafiliśmy ich otworzyć, ale jak widać, Giganci otwierają je bez trudu. Nie możemy mieć już żadnych wątpliwości, niezależnie od tego, co sądziliśmy przedtem, że Giganci istnieją. Z sobie tylko znanych powodów czaili się bardzo długo, a teraz się ujawniają - w jakim celu, jak nie opanowania statku?

- Ale ta zapadnia... - zaczął Marapper.

- Ta zapadnia - przerwał Scoyt - jest kluczem do całej sprawy. Czy pamiętasz, że twój przyjaciel Complain schwytyany przez Gigantów został wsadzony, jak mówił, przez jakiś otwór do niskiego, zamkniętego tunelu, który nie wyglądał na żadną znaną nam część statku? Niewątpliwie była to przestrzeń między pokładami, a dostał się przez taką samą klapę jak ta. Wszystkie włazy łączą się ze sobą i jeżeli Giganci potrafią otworzyć jeden, to mogą otworzyć i inne!

W tłumie na korytarzu podniósł się niespokojny szmer. Wszystkie oczy błyszczały, latarki tliły się blade, a dla większego bezpieczeństwa ludzie zbili się w zwartą gromadę. Marapper odchrząknął, wsadzając bezradnie koniec małego palca do ucha, jakby to była ostatnia realna czynność, na którą go było stać.

- To znaczy... Jezuu... to znaczy, że nasz świat jest otoczony cienką warstwą innego świata, do którego Giganci mają dostęp, a my nie - powiedział. - Tak?

Scoyt skinął głową.

- Niezbyt przyjemna perspektywa, co, kapłanie? - rzekł.

Pagwam dotknął jego ramienia i Scoyt odwrócił się niecierpliwie. Za nim stali trzej członkowie Rady Pięciu: Billyoe, Dupont i Ruskin. Byli wyraźnie zaniepokojeni i rozgniewani.

- Ani słowa więcej, mistrzu Scoyt! - rzekł Billyoe. - Słyszeliśmy większość tego, co tu powiedziano, i nie wydaje nam się, aby to były tematy do publicznej dyskusji. Lepiej będzie, jak pan sprowadzi tego... no, tego kapłana do pokoju Rady i tam porozmawiamy.

Scoyt prawie się nie zawahał.

- Wręcz przeciwnie, radco Billyoe - rzekł stanowczo. - Ta sprawa dotyczy każdego śmiertelnika na pokładzie. Każdy powinien o tym wiedzieć możliwie szybko. Obawiam się, że wkraczamy w krytyczny dla nas moment.

Chociaż wyraźnie sprzeciwił się Radzie, twarz Scoyta była tak pełna bólu, że Billyoe rozważnie zaniechał zwracania na to uwagi. Zamiast tego zapytał:

- Dlaczego mówi pan o krytycznym momencie?

Scoyt rozłożył ręce.

- Proszę tylko się zastanowić - powiedział - Gigant pojawia się nagle na Pokładzie 14 i związuje pierwszą napotkaną dziewczynę, przy tym robi to tak, że dziewczynie udaje się szybko uciec. Dlaczego? Po to aby wszczęto alarm. Później pojawia się ponownie na poziomach siłowni. Pragnąłbym tutaj dodać, że wszystko to robi z niewielkim dla siebie ryzykiem, gdyż zawsze może zniknąć w jednym z tych ukrytych otworów, jeżeli ma na to ochotę. Dalej - od czasu do czasu

otrzymywaliśmy meldunki, że widziano Gigantów, ale prawdopodobnie te spotkania były całkiem przypadkowe. Tym razem nie wygląda to na przypadek. Po raz pierwszy Gigant c h c i a ł być widziany. Nie może pan wytłumaczyć tego pozornie bezcelowego wiązania dziewczyny w żaden inny rozsądny sposób.

- Ale d l a c z e g o chciał, aby go widziano i ścigano? - spytał żałośnie radca Ruskin.

- J a wiem dlaczego, radco - rzekł Marapper. - Dla odwrócenia uwagi, aby inni mogli uwolnić Fermoura z celi.

- Tak jest - rzekł smutnie Scoyt. - Stało się to wtedy, gdy zaczęliśmy przesłuchiwać Fermoura... Zaledwie zaczęliśmy go zmiękczać... Był to podstęp, aby wszystkich usunąć z Grogi, w czasie gdy Giganci pomagali Fermourowi w ucieczce. Teraz gdy Giganci wiedzą, że my wiemy o ich obecności, będą zmuszeni do działania - o ile my nie zaczniemy działać pierwsi! Kapłanie Marapper, stań na czworakach i pokaż mi, co, twoim zdaniem, zrobił Fermour, aby otworzyć te drzwi

Marapper sapiąc zrobił, co mu kazano. Światło wszystkich latarek skupiło się na nim. Podsunął się do wjazdu z boku patrząc niepewnie do góry.

- Zdaje mi się, że Fermour znajdował się mniej więcej tutaj - rzekł - a potem pochylił się w ten sposób... w taki sposób przyłożył pięść... kostkami o tak. A potem - nie, na Boga, już wiem, co zrobił! Scoyt, popatrz!

Marapper poruszył zaciśniętą ręką. Rozległ się delikatny trzask. Kłapa uniosła się, a droga do Gigantów stanęła przed nimi otworem.

Laur Vyann i Roy Complain powoli wracali do zamieszkałej części Dziobu. Szok, jaki wywołało odkrycie kompletnie zniszczonych sterów, był zbyt silny. Jeszcze raz, ale za to dużo intensywniej, ogarnęło Complaina pragnienie śmierci. Świadomość całkowitej klęski życiowej działała jak trucizna. Krótkie wytchnienie na Dziobie, szczęście, jakie mu dała Vyann, wszystko to było niczym wobec frustracji, jaką odczuwał od urodzenia.

Pogrążony w rujnującym smutku, podźwignął się nagle - zawdzięczał to starej Nauce z Kabin, którą jeszcze tak niedawno odrzucił z pogardą.

Jak echo powrócił głos kapłana: „Jesteśmy synami tchórzy, a dni nasze mijają w lęku... Długa Podróż zawsze miała swój początek, wyładowujemy gniew, póki możemy, aby w ten sposób pozbywając się naszych morderczych impulsów uwolnić się od wewnętrznych konfliktów...” Complain instynktownie wykonał formalny znak gniewu. Pozwolił, aby wściekłość narosła w nim, biorąc za źródło wszystkie nieszczęścia, jakie przeżył, i aby rozgrzewała go w ponurych ciemnościach, jakie ich otaczały. Vyann z głową na jego ramieniu zaczęła płakać. To, że ona także cierpi, podsycalo tylko płonący w nim gniew.

Pienił się wewnętrznie - podniecenie wzrastało, twarz wykrzywił mu grymas, zaczął wykrzykiwać wszystkie cierpienia, jakich doznał on i inni, łącząc to razem i ucierając jak krem. Zawzięty, morderczy gniew przyspieszał bicie serca.

Po chwili poczuł się lepiej, był już nawet w stanie pocieszyć Vyann i doprowadzić ją do zamieszkałych przez jej ludzi terenów.

Gdy się tam zbliżali, usłyszeli naraz dziwny brzękliwy łoskot. Dźwięk był zagadkowy, pozbawiony rytmu, nieregularny. Przyspieszyli kroku patrząc na siebie niespokojnie.

Pierwszy człowiek, którego spotkali, jakiś farmer, podszedł do nich spieszenie.

- Inspektorze Vyann - rzekł - mistrz Scoyt szuka pani wszędzie, woła panią!

- Wygląda, jakby w tym celu rozbierał cały statek - powiedziała kwaśno Vyann. - Idziemy do niego, dziękuję.

Przyspieszyli kroku i na Pokładzie 20, to jest tym, z którego uwolniono Fermoura, napotkali Scoyta. Kapitan Pagwam z grupą mężczyzn chodził wzdłuż korytarza otwierając wszystkie włazy, jeden po drugim. To właśnie ich ciężkie pokrywy wydawały ten dziwny brzęk, który słyszeli Vyann i Complain. Po odkryciu włazu jeden z mężczyzn zostawał przy nim na straży, a reszta szła dalej.

Kierujący operacją Scoyt odwrócił się i zobaczył Vyann. Tym razem na jego twarzy nie pojawił się powitalny uśmiech.

- Wchodźcie tutaj - rzekł otwierając najbliższe drzwi. Było to czyjeś mieszkanie, w tej chwili puste. Scoyt zamknął za nimi drzwi i odwrócił się z gniewem.

- Zdaje się, że powinienem wpakować was oboje do celi - rzekł. - Jak dawno wróciliście z fortecy Gregga? Dlaczego natychmiast nie zgłosiliście się do mnie lub do Rady, jak wam kazano? Chciałbym wiedzieć, gdzie byliście?

- Ależ, Roger - zaprotestowała Vyann. Jesteśmy tu niedługo! Poza tym kiedy wróciliśmy, byłeś zajęty pościgiem. Nie wiedzieliśmy, że sprawa jest aż tak pilna, w przeciwnym razie...

- Chwileczkę, Laur - przerwał jej Scoyt. Lepiej oszczędź sobie tych wyjaśnień, sytuacja jest krytyczna. Mniejsza o to, drobiazgi mnie nie interesują, powiedz mi lepiej o Greggu.

Widząc, że Vyann jest rozgniewana i dotknięta, Complain wtrącił się i przedstawił krótko przebieg rozmowy ze swoim bratem. Gdy skończył, Scoyt skinął głową nieco odprężony.

- Jest lepiej, niż przypuszczałem - rzekł. - Wyślemy patrol, aby jak najszybciej sprowadzić grupę Gregga. Jest niezmiernie ważne, aby tu natychmiast przybyli.

- Nie, Roger - powiedziała szybko Vyann. - Oni nie mogą tutaj przyjść. Nie ujmując Royowi, jego brat nie jest niczym więcej, jak bandytą! Jego ludzie to zwykła banda. Oni i ich żony to mutanci. Gdyby się tu osiedlili, oznaczałoby to dla nas same kłopoty. Nie nadają się do niczego poza walką.

- Po to ich właśnie potrzebujemy - rzekł złowrogo Scoyt. - Lepiej, żebyś знаła wszystkie fakty na bieżąco, Laur.

Szybko opowiedział im, co widział Marapper i co się w tej chwili dzieje.

- Czy Fermour jest bardzo poturbowany? - spytał Complain.

- Nie, otrzymał tylko wstępną chłostę, aby zmiękł.

- Do tego był przyzwyczajony w Kabinach biedny frajer. - Na samo wspomnienie o tym poczuł mrowienie w plecach i ze współczuciem pomyślał o Fermourze.

- Czy sprowadzenie bandy Gregga jest aż tak pilne? - zapytała Vyann.

Mistrz Scoyt westchnął głęboko.

- Tak, ponieważ - rzekł z naciskiem mamy po raz pierwszy niepodważalny dowód: na to, że Obcy i Giganci są w zмовie - przeciw nam!

Patrzył na nich twardo, czekając, aż ta wiadomość utrwali się w ich świadomości.

- Znaleźliśmy się w ładnej sytuacji, co? powiedział ironicznie. - Dlatego właśnie zamierzam pootwierać wszystkie włazy na statku i poustawiać przy nich ludzi. Może uda nam się wypłoszyć wroga. Przysięgam, że nie spocznę, dopóki tego nie dokonam.

Complain gwizdnął.

- Pan naprawdę potrzebuje chłopców Gregga. Siła ludzka to najważniejsze w tej chwili - powiedział. - Ale w jaki sposób Marapper otworzył tę zapadnię?

- Po prostu dlatego, że ten tłusty kapłan jest taki właśnie, jaki jest - stwierdził ze śmiechem Scoyt. - Tam w waszym szczepie zachowywał się chyba jak sroka, co?

- Zbierał wszystko, co mu wpadło w ręce zgodził się Complain przypominając sobie rupiecie zalegające pokój Marappera.

- Jednym z jego skarbów był pierścień z ośmiobocznym kamieniem, który kiedyś musiano znaleźć przy zwłokach. Tak naprawdę to wcale nie jest kamień, tylko mały mechaniczny przyrząd, pasujący idealnie do czegoś w rodzaju dziurki od klucza znajdującej się w każdej zapadni. Pod jego naciskiem właz otwiera się natychmiast. Kiedyś, jeszcze przed katastrofą, każdy, kto z obowiązku musiał wchodzić do tych włazów, był zaopatrzony w taki klucz-pierścień. Radca Tregonnin twierdzi, że tereny międzypokładowe nazywano drogami inspekcyjnymi; znaleźliśmy u niego wzmiankę na ten temat. I my właśnie mamy zamiar to zrobić - inspekcję! Chcemy przeczesać każdy centymetr tych dróg. Moi ludzie mają teraz pierścień Marappera i otwierają nim wszystkie włazy na pokładzie.

- Bob Fermour miał podobny pierścień! - zawołał Complain. - Widywałem go często u niego na palcu.

- Sądziemy, że noszą go wszyscy Obcy rzekł Scoyt. - Jeżeli tak jest, to to wyjaśnia, dlaczego tak łatwo nam się wymykają. Wyjaśnia wiele, ale nie wszystko: na przykład w jaki sposób znikali nam z cel dokładnie pilnowanych od zewnątrz. Zakładając, że każdy, kto nosi taki pierścień, jest naszym wrogiem, skierowałem część Zespołu Przetrwania do rewidowania wszystkich mieszkańców pod tym kątem. Każdy, u kogo znajdziemy taki pierścień, uda się w Podróż! Ale muszę już iść. Przestrzeni!

Wyprowadził ich ponownie na hałaśliwy korytarz. Natychmiast oddalił się, otoczony przez podwładnych oczekujących jego rozkazów. Słyszeli jeszcze, jak wysyła młodszego oficera z wiadomością do Gregga, po czym odwrócił się i po chwili stracili go z oczu.

- Przymierze z Greggiem... - powiedziała Vyann i wzdrygnęła się. - A co m y będziemy teraz robić? Wygląda na to, że Roger nie zamierza mnie już więcej zatrudniać.

- Pójdiesz teraz do łóżka - rzekł Complain. - Jesteś zmęczona.

- Czy sądzisz, że będę mogła zasnąć w tym hałasie? - spytała uśmiechając się słabo.

- Powinnaś spróbować.

Był zaskoczony tym, że tak potulnie pozwoliła się odprowadzić, jednak gdy spotkali Marappera włóczącego się po bocznym korytarzu, natychmiast zeszywniała.

- Zdaje się, że jesteś bohaterem dnia, kapłanie - powiedziała.

Marapper był głęboko dotknięty, ale twarz jego wyrażała ponurą godność.

- Inspektorze - rzekł z goryczą - pani mi dokucza. Pół mego nędznego życia spędziłem nosząc na palcu bezcenny sekret i nic o tym nie wiedziałem. A kiedy już się dowiedziałem... Popatrzcie, w chwili jakże nietypowej dla mnie paniki oddałem go w ręce pani przyjaciela Scoyta - za nic!

- Musimy w jakiś sposób wydostać się ze statku - wyszeptała Vyann. Oczy miała zamknięte; a jej ciemna główka spoczywała na poduszce. Complain cicho opuścił pograżony w mroku pokój. Był pewien, że mimo dochodzącego z innych pokładów hałasu dziewczyna zaśnie, nim on zdąży zamknąć za sobą drzwi. Stał za drzwiami pokoju Vyann obawiając się odejść i zastanawiając się, czy pora jest właściwa, aby zwracać głowę Radzie lub Scoytowi wiadomością o zniszczonych sterach. Niezdecydowany, gładził palcami wetkniętą za pas broń ciepłą, a jego myśli skupiły się wokół bardziej osobistych problemów.

Nie mógł nie zastanawiać się nad tym, jaką właściwie rolę odgrywa w otaczającym go świecie; nie wiedząc, czego pragnie od życia, płynął po prostu na fali wydarzeń. Najbliżsi mu ludzie mieli jakieś konkretne cele. Marapper nie interesował się niczym poza władzą. Scoytowi wystarczyło nieustannie rozwiązywanie problemów, jakich dostarczał statek; ukochana Laur chciała się za wszelką cenę uwolnić od panujących tu okropnych warunków. A on? Pragnął jej, to prawda, ale było coś jeszcze, co obiecywał sobie będąc jeszcze dzieckiem, czego nie mógł ani znaleźć, ani określić słowami, coś zbyt wielkiego, aby można było to sobie wyobrazić...

- Kto tam? - zapytał słysząc czyjeś kroki. Pobliskie światło kontrolne ujawniło obecność wysokiego mężczyzny ubranego na biało. Była to pełna wyrazu postać, przemawiająca głosem powolnym i dostojnym.

- Jestem radca Zac Deight - rzekł mężczyzna. - Nie obawiaj się. Ty jesteś Roy Complain, myśliwy z Bezdroży, prawda?

Complain popatrzył na jego smutną twarz i białe włosy i poczuł, że instynktownie lubi tego człowieka. Instykt nie zawsze jest sprzymierzeńcem rozumu.

- Tak, to ja, proszę pana.

- Twój kapłan Marapper wyrażał się o tobie dobrze.

- Na boga, czyżby? - Marapper przez przypadek robił czasem coś dobrego, ale przeważnie tylko dla siebie.

- Tak - rzekł Zac Deight, po czym zmienił ton. - Sądzę, że wiesz coś na temat tej dziury, którą widzę w ścianie korytarza.

Wskazał na otwór, który Complain i Vyann zrobili wcześniej w ścianie jej pokoju.

- Owszem, wiem. To zostało zrobione za pomocą tej broni - powiedział Complain pokazując broń staremu radcy i zastanawiając się, co z tego wyniknie.

- Czy mówiłeś komuś, że to masz?

- Nie. Wie tylko Laur, inspektor Vyann, ona w tej chwili śpi.

- Powinieneś to być oddać Radzie, która zadecydowałaby, co z tym dalej zrobić - powiedział

łagodnie Zac Deight. - Powinieneś to wiedzieć. Czy zechcesz pójść ze mną do mego pokoju i opowiedzieć mi wszystko?

- Tu nie ma wiele do opowiadania - zaczął Complain.

- Chyba rozumiesz, jak bardzo niebezpieczna byłaby ta broń w niewłaściwych rękach w głosie starego radcy było coś rozkazującego, więc kiedy odwrócił się i ruszył w głąb korytarza, Complain podążył za nim, bez zachwyty, ale i bez protestu. Zjechali windą na niższy poziom i poszli naprzód, mijając pięć pokładów, które dzieliły ich od mieszkania radcy. Było tu zupełnie pusto, cicho i ciemno. Zac Deight wyjął zwykły klucz magnetyczny, otworzył jakieś drzwi i stanął obok przepuszczając Complaina pierwszego. Zaledwie Complain zdążył wejść, drzwi zatrzasnęły się za nim. Była to pułapka!

Rzucił się na drzwi z furią dzikiego zwierzęcia - na próżno. Było już za późno, a ponadto broń ciepłą, za pomocą której Complain mógł się uwolnić, miał w tej chwili Zac Deight. Z wściekłością zapalił latarkę i rozejrzał się po pokoju. Sądząc po leżącym wszędzie kurzu, była to od dłuższego czasu nie używana sypialnia. Jak wszystkie tego rodzaju pokoje na statku, i ten był całkowicie bez wyrazu i urządzony po spartańsku.

Complain chwycił krzesło i rozbił je na kawałki o zamknięte drzwi, co przywróciło mu jasność myślenia. Przed jego oczyma pojawiła się scena, gdy stoi koło Vyann patrząc przez judasza, jak Scoyt zostawia Fermoura samego w pokoju przesłuchań. Fermour wskoczył wtedy na krzesło usiłując dosięgnąć kratki w suficie. Prawdopodobnie spodziewał się znaleźć tam drogę ucieczki. A więc zakładając...

Wyciągnął łóżko na środek pokoju, postawił na nim szafkę i wdrapał się szybko na górę, aby zbadać kratkę. Była taka sama jak wszystkie inne na statku, kwadrat o boku długości trzech stóp, z cienkimi prętami, między które można było zaledwie wetknąć palec. Latarka ujawniła pręty grubo obrosnięte lepkiem brudem; ilość powietrza, jaka dostawała się tędy do pokoju, była istotnie znikoma.

Complain szarpnął silnie za kratę. Nie drgnęła. A powinna! Przecież Fermour nie stał na krześle i nie wyciągał ręki dlatego, że nagle odczuł potrzebę ćwiczeń gimnastycznych. Jeżeli kratki dawały się otworzyć, to istniało wytłumaczenie, dlaczego schwytani poprzednio przez Scoyta Obcy uciekali z dokładnie pilnowanych cel. Complain wsadził palce w kratę i zaczął macać jej wewnętrzną powierzchnię, czując na przemian zimny dreszcz strachu i nadziei.

Jego wskazujący palec napotkał wkrótce na zwykły zatrask. Complain odchylił go. Podobne zatraski znajdowały się na górnych krawędziach pozostałych trzech boków kratki. Otworzył je jeden po drugim. Teraz kratka dała się łatwo unieść. Complain przechylił ją na bok, wyciągnął i ostrożnie położył na łóżku. Serce biło mu jak młotem.

Chwycił za krawędzie otworu i podciągnął się.

Było bardzo ciasno. Spodziewał się, że znajdzie się w tunelu inspekcyjnym, a tymczasem był w przewodzie wentylacyjnym. Odgadł natychmiast, że przewód ten przebiega w dziwnym międzypokładowym świetcie rur i kanałów. Zgasił latarkę, wytężył wzrok i patrzył w głąb ciasnego przewodu nie zwracając zupełnie uwagi na dmuchające mu cały czas w twarz powietrze.

Światło przedostawało się tutaj jedynie przez podobną kratkę jak tamta: Dochodząc do wniosku, że w tej chwili bardzo przypomina korek tkwiący w butelce, Complain poczołgał się do przodu i wyjrzał przez nią.

Patrzył z góry na pokój Zaca Deighta. Radca był sam i mówił do jakiegoś aparatu. Wysoka szafa, stojąca teraz na środku pokoju, wskazywała sposób, w jaki ukryte było wgłębienie, w którym normalnie chowano tajemniczy instrument. Complain był tak zafascynowany niecodziennym widokiem, że nie docierało nawet do niego, co mówi Zac Deight. Nagle usłyszał...

- ... osobnik o nazwisku Complain przysparza wiele kłopotu - mówił radca do aparatu. Pamięta pan, jak pański człowiek Andrews zgubił swoją spawarkę parę tygodni temu? W jakiś sposób trafiła ona do rąk Complaina. Odkryłem to, ponieważ zauważyłem otwór w ścianie jednego z pomieszczeń na Pokładzie 22, w pokoju inspektor Laur Vyann. Tak, Curtis, czy pan mnie słyszy? Połączenie jest dzisiaj gorsze niż zwykle...

Deight milczał, gdy na drugim końcu linii słyhać było czyjś głos. Curtis! Complain z trudem powstrzymał się od okrzyku - było to nazwisko Giganta dowodzącego bandą, która go porwała! Patrząc z góry Complain zauważył nagle kompromitujący pierścień z ośmiokątnym kamieniem na palcu Zaca Deighta i zaczął się gorączkowo zastanawiać, w jaką okropną sieć intryg wplątał się mimo woli.

Deight mówił znowu:

- Miałem okazję wśliznąć się do pokoju Vyann, w czasie gdy pańska dywersja na poziomach siłowni była w pełnym toku. Tam odkryłem, że w ręce zawrotków wpadło coś jeszcze. Jest to dziennik, o którego istnieniu nic nie wiedzieliśmy, pisany przez człowieka, który jako pierwszy dowodził statkiem w jego drodze powrotnej z Procyona. Zawiera on dużo więcej, niż powinny wiedzieć zawrotki, i może wywołać mnóstwo pytań z ich strony. Przypadkowo udało mi się zdobyć i dziennik, i spawarkę... Dziękuję. Jeszcze większe szczęście, że poza Complainem i tą dziewczyną, Vyann, nikt nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tych rzeczy. Znamy oczywiście dokładnie poglądy Małego Psa na sprawę nietykalności zawrotków, ale oni nie siedzą tutaj i nie muszą rozwiązywać problemów narastających z godziny na godzinę. Jeżeli chcą nadal zachowywać swoją bezcenną tajemnicę, to istnieje tylko jedno proste rozwiązanie. Zamknąłem Complaina w pokoju obok... Oczywiście nie siłą, wszedł do pułapki jak niewinne dziecko. Vyann śpi w swoim pokoju. Otóż, Curtis, proszę pana o następującą rzecz o pańską zgodę na uśmiercenie Complaina i Vyann... Oczywiście, mnie to także nie odpowiada, ale jest to jedyny sposób, aby utrzymać status quo, a ja jestem gotów zrobić to zaraz, zanim będzie za późno...

Zac Deight zamilkł, a na jego długiej twarzy pojawiło się zniecierpliwienie.

- Nie ma czasu na łączenie się z Małym Psem - rzekł najwyraźniej przerywając swemu rozmówcy. - Oni zbyt długo myślą. Pan jest tutaj kierownikiem, Curtis, i ja potrzebuję tylko pańskiego zezwolenia... No tak, to już lepiej... Tak, uważam, że to jest konieczne. Nie sądzi pan chyba, że mnie to sprawia przyjemność? Poddam ich działaniu gazu, który wpuszczę przez otwory wentylacyjne w ich pokojach, tak jak robiliśmy to poprzednio w podobnych wypadkach. Wiemy w końcu, że jest to zupełnie bezbolesne.

Wyłączył aparat i popchnął szafę na poprzednie miejsce. Stał przez chwilę niezdecydowany, obgryzając paznokcie, a na jego twarzy malował się niesmak. Otworzył szafę, wyjął długi walec i z uwagą spojrzął na kratkę w suficie. Wyładowanie z paralizatora Complaina trafiło go prosto w twarz. Zac Deight zbladł, głowa opadła mu na piersi i runął jak długi na podłogę

Przez całą minutę Complain leżał bez ruchu, starając się ogarnąć sytuację. Do rzeczywistości

powrócił dzięki okropnemu uczuciu, że jakaś obca myśl płacze się między jego własnymi myślami. Było to tak, jakby mu czyjś mocno owłosiony język oblizywał mózg. Zapalił szybko latarkę - przed jego twarzą zawisł wielki mol. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła ponad pięć cali, a siatkówki jego oczu odbijały światło jak dwie wiśniowe główki od szpilki. Ze wstrętem machnął ręką, ale nie trafił i mol szybko odleciał w głąb przewodu wentylacyjnego. Complain przypomniał sobie w tej chwili innego mola w Bezdrożach, który pozostawił podobne brudne odciski na jego mózgu. Zdolność, którą posiadają króliki, muszą mieć także mole, chociaż na pewno w mniejszym stopniu. Wygląda na to, że szczury je rozumieją... A może mole spełniają rolę powietrznego patrolu dla szczurzych hord?

Ta myśl przeraziła go bardziej niż wyrok śmierci, który wydał na niego Deight.

Mokry ze strachu, szybko odsunął cztery zatrzaski przytrzymujące kratkę, odstawił ją na bok i zeskoczył do pokoju radcy. Następnie przyciągnął stół, wdrapał się na niego i umocował kratkę na miejscu. Dopiero wtedy poczuł się bezpiecznie.

Zac Deight nie był martwy, paralizator Complaina włączony był tylko na pół mocy, otrzymał jednak dostatecznie silny szok, aby być przez pewien czas nieprzytomny. Wyglądał niegroźnie, a nawet łagodnie, gdy tak leżał na pokładzie z włosami opadającymi na blade czoło. Bez cienia wyrzutów sumienia Complain pochwycił klucze radcy, odszukał broń ciepłą, otworzył drzwi i wyszedł na pograżony w ciszy korytarz. W ostatniej chwili zatrzymał się, odwrócił i oświetlił kratkę latarką. Drobne, różowe łapki obejmowały pręty, a tuzin długich pyszczków patrzył na niego z nienawiścią. Complain poczuł, jak włosy mu się jeżą na karku. Strzelił z paralizatora w tamtym kierunku. Małe, błyszczące oczka natychmiast straciły blask, a różowe łapki puściły kratkę.

Piski, które słyszał jeszcze w korytarzu, potwierdziły, że musiał przy okazji porazić także ukryte posiłki.

Idąc korytarzem rozważał sytuację. Jednego był całkowicie pewien: o roli, jaką radca Deight odegrał w całej sprawie, i o tym, co mówił przez dziwny aparat do Curtisa (gdzie naprawdę mógł się znajdować Curtis?), nikt nie powinien się dowiedzieć, zanim nie omówi całej sprawy z Vyann. Nie byli w tej chwili w stanie rozstrzygnąć, kto jest po ich stronie, a kto nie.

- Ale jeżeli Vyann... - zaczął głośno, natychmiast jednak odrzucił tę okropną myśl. W pewnym momencie podejrzliwość zamienia się w obłęd. Jeden szczegół niepokoił Complaina, chociaż nie umiał go dokładnie sformułować. Było to coś związanego z uwolnieniem Fermoura... Nie, na to musi poczekać. W tej chwili chciał być na chłodno rozsądny, tamtym zajmie się później. Przede wszystkim musi oddać broń ciepłą, spawarkę, jak ją nazywał Deight, komuś, kto z niej zrobi najlepszy użytek: mistrzowi Scoytowi. Zamieszanie wokół Scoyta rozrosło się do imponujących rozmiarów, a on sam znajdował się w centrum wzmożonej aktywności.

Zapory między Dziobem a Bezdrożami zostały obalone. Spoceni mężczyźni rozbierali barykady, podnieceni aktem niszczenia.

- Usuńcie je! - krzyczał Scoyt. - Sądziliśmy, że chronią nas one przed wrogiem, ale skoro granice są wszędzie, nie mają żadnej wartości!

Przez obalone zapory wkraczała armia Gregga. Obszarpani i brudni mężczyźni, kobiety i obojnaki, zdrowi i ranni, na nogach i na noszach, tłoczyli się podnieceni wśród przyglądających się temu Dziobowców. Mieli ze sobą zawiniątka, pościel, pudła i kosze, niektórzy ciągnęli niezdarne sianie, z którymi przebyli glony, jedna kobieta wiozła cały swój majątek na grzbiecie wychudzonej



owcy. Wraz z nimi wlatywały czarne komary Bezdroży. Gorączkowe podniecenie, które opanowało Dziobowców, było tak wielkie, że całe to chodzące morze nędzy witane było serdecznymi uśmiechami, a nawet oklaskami. Obszarpany legion odpowiadał machaniem rąk. Roffery'ego pozostawiono w Bezdrożach. Był tak bliski śmierci, że nie miało sensu truć się jego transportem.

Jedno nie ulegało wątpliwości: wygnańcy, z których wielu odniosło rany w starciu ze szczurami, gotowi byli walczyć. Mężczyźni dźwigali paralizatory, noże i zaimprovizowane dzidy.

Sam Gregg w towarzystwie swego upiornego giermka Hawla konferował ze Scoytem, Pagwamem i radcą Ruskinem za zamkniętymi drzwiami. Complain bezceremonialnie otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Był nadzwyczaj pewny siebie i tej pewności nie pozbawiły go nawet gniewne okrzyki, jakie zaczęli wydawać na jego widok.

- Przyszedłem, aby wam pomóc - rzekł zwracając się do Scoyta jako oczywistego przywódcy. - Przynoszę panu dwie rzeczy; pierwsza to informacja. Wykryliśmy, że na każdym poziomie i na każdym pokładzie są włazy, ale to dopiero jedna z dróg, którymi mogą uciekać Giganci i Obcy. Mają oni także dogodne wyjście w każdym pokoju!

Wskoczył na stół i zademonstrował, jak otwiera się kratkę. Schodząc w milczeniu śmiał się w duchu z ich zdziwionym twarzą.

- Tego także będzie pan musiał pilnować, mistrzu Scoyt - powiedział i nagle dręcząca go dotąd zagadka ucieczki Fermoura wyjaśniła się i jeszcze jeden fragment łamigłówek wskoczył na swoje miejsce.

- Gdzieś na statku znajduje się główna kwatery Gigantów - rzekł. - Zabrali mnie do niej zaraz po schwytaniu, ale nie wiem, gdzie to jest, ponieważ byłem zagazowany. Niewątpliwie jednak znajduje się ona w części pokładu lub poziomem odciętego od nas celowo albo przypadkiem. Takich miejsc na statku jest bez liku, tam właśnie musimy skierować nasze poszukiwania.

- Właśnie tak zdecydowaliśmy - powiedział niecierpliwie Gregg. - Trudność polega na tym, że na większości pokładów panuje taki bałagan, że nie wiemy, która część jest odcięta, a która nie. Za pierwszą lepszą przegrodą może się ukrywać cała armia.

- Mogę ci wskazać takie miejsce bardzo blisko stąd - rzekł z naciskiem Complain. - Na Pokładzie 21 nad celą, w której trzymano Fermoura.

- Dlaczego tak sądzisz, Complain? - zapytał zaciekawiony Scoyt.

- Prosta dedukcja. Giganci, jak stwierdziliśmy, zadali sobie wiele trudu, aby odciągnąć wszystkich z korytarzy, co im umożliwiło dostanie się do Fermoura i uwolnienie go przez włazy. Mogli zaoszczędzić sobie tego trudu, gdyby po prostu wyciągnęli go przez kratkę jego celi. Zajęłoby im to nie więcej niż minutę i by ich nie zauważono. Dlaczego tak nie postąpili? Myślę, że po prostu nie mogli. Prawdopodobnie na górnym poziomie coś się zawaliło, blokując kratkę. Innymi słowy, na górze mogą być pokoje, do których nie mamy dostępu. Powinniśmy koniecznie zobaczyć, co się w nich znajduje.

- Mówię ci, że takich miejsc są setki - zaczął Gregg.

- Wydaje mi się, że jednak warto to sprawdzić - rzekł radca Ruskin.

- Załóżmy, że masz rację, Complain przerwał Scoyt. - Jeżeli jednak kratka jest zablokowana, to

jak przez nią przejdziemy?

- W ten sposób! - Complain skierował broń ciepłą na najbliższą ścianę poruszając nią poziomo. Ściana zaczęła się rozpadać. Gdy otworzył się poszarpany, łukowaty otwór, Complain wyłączył broń. Spojrzał wyczekująco na pozostałych. Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Rany boskie! - zachrypiał Gregg. - To to, co ja ci dałem!

- Tak. I właśnie w ten sposób należy tego używać. Nie jest to prawdziwa broń, jak myślałeś, lecz po prostu miotacz płomieni.

Scoyt wstał. Na jego twarzy pojawiły się wypieki.

- Chodźmy na Pokład 21 - rzekł. - Pagwam, niech pana ludzie otwierają klapy włazów tak szybko, jak pan nadaży przekazywać ten pierścień. Dobra robota, Complain, natychmiast wypróbujemy to cacko.

Wyszli wszyscy, ze Scoytem na czele. Mistrz z wdzięcznością uściśnął ramię Complaina.

- Jeżeli będziemy mieli czas, możemy za pomocą tej broni rozwalić ten przeklęty statek na kawałki - powiedział. Sens tej uwagi dotarł do Complaina dopiero znacznie później.

Na środkowym poziomie Pokładu 21, gdzie znajdowała się cela Fermoura, panował nieopisany chaos. Wszystkie włazy były otwarte i przy każdym stała straż. Klapy leżały obok zebrane w nieporządnym stos. Nieliczni mieszkający tu ludzie, głównie obsada zapór z rodzinami, ewakuowali się właśnie pośpiesznie w obawie przed przyszłymi kłopotami, kręcąc się między strażnikami i wchodząc wszystkim w drogę. Scoyt przepychał się wśród nich brutalnie łokciami, odsuwając na prawo i lewo piszczące dzieci.

Gdy otworzyli drzwi do celi Fermoura, Complain poczuł na ramieniu jakąś rękę. Odwrócił się i zobaczył Vyann. Stała wypoczęta, z błyszczącymi oczami.

- Myślałem, że śpisz! - zawołał uśmiechając się z zachwytem na jej widok.

- Nie zauważyłeś, że już jest prawie jawa? - powiedziała. - Poza tym mówiono mi, że coś tu się szykuje. Przyszłam dopilnować, abyś nie wpadł w kłopoty.

Complain ścisnął ją za rękę.

- Wpadłem w nie i wyszedłem z nich, kiedy spałaś - rzekł pogodnie.

Gregg był już na środku celi i stojąc na rozklekotanej skrzyni, która pełniła tu rolę krzesła, przyglądał się kratce znajdującej się nad jego głową.

- Roy ma rację! - oświadczył. - Po drugiej stronie jest przeszkoda. Widzę jakiś pocięty metal. Podajcie mi tę broń ciepłą i spróbujmy szczęścia.

- Nie stój pod kratką - ostrzegł go Complain. - Nie chcesz chyba, żeby cię polał strumień stopionego metalu.

Gregg skinął głową, wycelował broń, którą podał mu Scoyt, i nacisnął guzik. Przezroczysty łuk ciepła wgrzyzł się w sufit tworząc czerwoną pręgę. Pręga poszerzyła się, sufit zaczął się zapadać, a z góry spłynął metal wyglądający jak drobiny sproszkowanego mięsa. Przez siny otwór pojawił się inny metal, który również zaczął się żarzyć. W pokoju panował nieopisany hałas, a poza tym kłębił się gryzący dym, który wydobywał się na korytarz. Pomimo hałasu usłyszeli nagle głośny trzask i

światło pojaśniało gwałtownie, aby po chwili całkowicie zgasnąć.

- To powinno wystarczyć! - zawołał z ogromną satysfakcją Gregg schodząc ze swojego podium i patrząc na ziejącą nad nim dziurę. Broda drżała mu z podniecenia.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy odbyć posiedzenie Rady, zanim podejmiemy tak drastyczne działania, mistrzu Scoyt - rzekł żałośnie radca Ruskin oglądając zrujnowaną celę.

- Od lat nie robiliśmy nic oprócz posiedzeń Rady - powiedział Scoyt. - Teraz będziemy działać!

Wybiegł na korytarz wydając gniewne okrzyki i szybko sprowadził tuzin uzbrojonych ludzi z drabiną.

Complain, który uważał, że ma więcej doświadczenia w tych sprawach od innych, poszedł do pobliskiego pomieszczenia straży po wiadro wody, które wylał na rozgrzany metal. W chmurze pary Scoyt ustawił drabinę i wdrapał się po niej trzymając paralizator w pogotowiu. Reszta, jeden za drugim, możliwie jak najszybciej, podążyła za nim. Vyann trzymała się blisko Complaina. Wkrótce cała grupa znalazła się w dziwnym pokoju nad celą.

Było nieprawdopodobnie gorąco, ledwie mieli czym oddychać. Światło latarek wkrótce ujawniło przyczynę zablokowania kratki i zawalenia się kanału inspekcyjnego pod ich nogami. Podłoga pokoju zapadła się od jakiegoś dawnego wybuchu. Jaki maszyna pozostawiona bez nadzoru, prawdopodobnie w czasie Dziewięciodniowej Zarazy, jak sądził Complain, eksplodowała, niszcząc ściany i wszystkie znajdujące się w pokoju przedmioty. Podłoga zasłana była potłuczonym szkłem i kawałkami drewna, a ściany posiekane odłamkami. I ani śladu Gigantów

- Chodźmy? - powiedział Scoyt brnąc po kostki w gruzie w stronę jednych z dwojga drzwi. - Nie traćmy tutaj czasu.

Eksplozja wygięła nieco drzwi. Stopili je bronią ciepłą i przeszli. Teraz w zasięgu ich latarek była tylko złowroga ciemność. Cisza dzwoniła w uszach jak przelatujący w powietrzu nóż.

- Ani śladu życia... - rzekł Scoyt. W jego głosie brzmiała niepewność.

Stali w bocznym korytarzu odcięci od reszty statku, jak żywcem pogrzebani, i świecili nerwowo latarkami na wszystkie strony. Było tak potwornie gorąco, że z trudem mogli wytrzymać. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się podwójne drzwi z jakimś napisem. Stłoczyli się usiłując go odczytać. Brzmiał on:

TYLKO DLA OBSŁUGI

NIEBEZPIECZEŃSTWO!!!

Przy każdych drzwiach znajdowały się duże koła, a obok nich instrukcja: NIE OTWIERAĆ PRZED OTRZYMANIEM SYGNAŁU. Stali patrząc bezmyślnie na napis.

- Co robicie? Czekacie na sygnał? - zjadliwie rzucił Hawl. - Trzeba stopić te drzwi, kapitanie!

- Zaczekajcie! - zawołał Scoyt. - Musimy być ostrożni. Chciałbym wiedzieć, co to jest komora powietrzna. Poznaliśmy różne rzeczy zamki magnetyczne, zamki otwierane ośmiokątnym pierścieniem, ale co to jest komora powietrzna?

- Nieważne, top te drzwi! - powtórzył Hawl potrząsając swoją groteskową głową. - To pański statek, kapitanie, czuj się pan w nim, do cholery, jak u siebie w domu!

Gregg włączył spawarkę. Metal zaróżowił się słabo, ale nie topniał. Sytuacji nie poprawiła również potężna dawka przekleństw. Wreszcie Gregg zaskoczony odłożył broń.

- To musi być jakiś specjalny metal - powiedział.

Jeden z uzbrojonych ludzi podszedł bliżej i przekręcił koło. Drzwi wśliznęły się natychmiast w szczelinę w ścianie lekko i bezszelestnie. Ktoś roześmiał się krótko, napięcie zelżało, a Gregg pozwolił sobie nawet na rumieniec wstydu. Mogli wejść do towarowej komory powietrznej.

Zamiast tego jednak stali przykuci do miejsca strumieniem światła, który nagle w nich uderzył. Komora powietrzna była pomieszczeniem zaledwie średniej wielkości, ale miała naprzeciwko drzwi coś, czego żaden z nich nigdy nie widział, a co w ich pełnych podziwu oczach powiększało komorę w nieskończoność - okno. Okno, w którym widać było kosmos.

Nie był to tym razem skromny wycinek przestrzeni kosmicznej, jaki Vyann i Complain widzieli w sterowni, tylko gigantyczna panorama. Przygotowani już jednak przez poprzednie doświadczenie, pierwsi przeszli po grubo pokrytej kurzem podłodze, aby być bliżej wspaniałego widoku. Reszta stała jak wryta przy wejściu.

Za oknem, pełen gwiazd jak skarbiec cesarski drogich kamieni, rozciągał się bezmiar kosmosu. Było to coś niezrozumiałego, niesamowity paradoks, w który nie mogli wprost uwierzyć: bo chociaż kosmos robił wrażenie absolutnej czerni, to każdy jego fragment mienił się różnokolorowym światłem.

W milczeniu sycili oczy roztaczającym się przed nimi widokiem. Choć pogodna, pełna spokoju przestrzeń wzruszała do łez, to jednak największe wrażenie zrobiło na nich coś, co unosiło się w przestrzeni kosmicznej: przepiękny półksiężyc planety, tak błękitny jak oczy nowo narodzonego kociaka i nie większy niż trzymany w wyciągniętej ręce sierp. Na samym środku planeta iskrzyła się oślepiającą bielą, jakby w tym miejscu tkwiło słońce, które w swej przerażającej koronie przyćmiło swą wspaniałością wszystko dokoła.

W dalszym ciągu panowało milczenie, gdy półksiężyc powiększył się, a zza niego wychynęło słońce. To cudowne zjawisko zaparło im dech, jego wzniosłość oszołomiła ich ze szczętem. Pierwsza odezwała się Vyann.

- Och, Roy, najdroższy - wyszeptała - jednak gdzieś w końcu dotarliśmy! Jest jeszcze dla nas nadzieja, jakaś nadzieja jeszcze istnieje...

Complain odwrócił się usiłując dobrać głos, aby jej odpowiedzieć, ale stwierdził, że słowa więzną mu w gardle. Nagle zrozumiał, czym była ta wielka sprawa, której tak szukał przez całe życie...

Nic wielkiego. Drobną rzecz - twarz Laur opromieniona słońcem...

W ciągu jednej jawy do każdego mężczyzny, kobiety i dziecka na Dziobie dotarły najróżniejsze wersje wielkiej nowiny. Wszyscy o tym rozmawiali, z wyjątkiem mistrza Scoyta. Dla niego całe to wydarzenie nie miało większego znaczenia, było nawet po trosze przeszkodą w realizacji głównego celu, jakim jego zdaniem było wykrycie i zniszczenie Gigantów i ich sprzymierzeńców, Obcych. Nie znalazł na razie żadnych Gigantów i obecnie wystąpił z nowym planem, który po krótkiej drzemce i skromnym posiłku zamierzał wprowadzić w życie.

Plan był prosty, a to, że pociągał za sobą znaczne zniszczenie statku, nie przeszkadzało Scoytowi absolutnie. Miał zamiar całkowicie rozebrać Pokład 25.

Pokład 25 był pierwszym pokładem Bezdroży tuż za Dziobem. Po jego usunięciu uzyskiwało się idealnie bezludny teren, przez który nikt nie mógł przejść nie zauważony. Skoro tylko ten gigantyczny „rów” zostałby zrobiony i obstawiony strażą, można by spokojnie rozpocząć łowy w kanałach inspekcyjnych, gdyż Giganci nie mieliby gdzie uciekać. Pracę rozpoczęto od razu. Do pomocy zaczęli się zgłaszać gotowi na wszystko ochotnicy. Całe łańcuchy ludzi pracowały gorączkowo, podając sobie z rąk do rąk wszystkie ruchome przedmioty pochodzące ze skazanego na zagładę pokładu. Na tyłach inni niszczyli je, a jeżeli to się nie udawało, wrzucali do pustych pokoi. Przed łańcuchem spoceni wojownicy, w tym ludzie Gregga mający w tych czynnościach duże doświadczenie, atakowali glony ścinając je lub wyrwijając z korzeniami. Tuż za nimi szły grupy oczyszczające, łupiąc, gołocąc i wyjaławiając cały teren.

Gdy tylko jakiś pokój został oczyszczony, zjawiał się sam mistrz Scoyt z bronią ciepłą, grzejąc z niej po ścianach tak długo, dopóki nie runęły. Po ostygnięciu usuwano je na bok. Broń ciepła nie topiła metalu, który oddzielał pokłady; był to prawdopodobnie ten sam metal, z którego wykonano drzwi do komory powietrznej, wybitnie odporny na żar, wszystko inne bowiem ustępowało przed płomieniem miotacza.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy wykryto legowisko szczurów w wielkim pomieszczeniu oznaczonym napisem „Pralnia”. Rozcinając kocioł, dwóch ludzi Gregga odsłoniło mały obłądny labirynt szczurzych domków - osiedle gryzoni. Wewnątrz kotła skonstruowały one różne zdumiewająco zawile poziomy i pionowe, jako budulca używając kości, gruzu, puszek i różnych śmieci. Znajdowały się tam małe klatki, a w nich uwięzione głodujące stworzenia: myszy, chomiki, króliki, a nawet ptak. Żyły tam także mole, które jak chmura uniosły się w powietrzu, i wreszcie szczury, w wylęgarniach, zbrojowniach i rzeźniach. Gdy Scoyt włączył broń ciepłą i miniaturowe miasto stanęło w płomieniach, gryzoni z dziką zawziętością runęły do ataku. Scoyt wycofał się pod osłoną miotacza ognia, ale zanim zjawiała się pomoc z paralizatorami i pokonała małe furie, dwóch ludzi Gregga padło z przegryzionymi gardłami. Łańcuchem ludzkim odesłano zwłoki na tyły i prowadzono dalej dzieło zniszczenia.

Wszystkie włazy, Pokładów 24 do 13 na wszystkich trzech poziomach były już całkowicie pozbawione kłap. Przy każdym otworze stał wartownik.

- Statek staje się bardzo szybko zupełnie niezdatny do mieszkania - protestował radca

Tregonnin. - To jest niszczenie dla niszczenia!

Przewodniczył właśnie zebraniu, na które poproszono wszystkie znaczniejsze osobistości. Obecni byli radcowie Billyoe, Dupont i Ruskim Pagwam i inni członkowie Zespołu Przetrvania oraz Gregg i Hawl. W naradzie brali oczywiście udział także Complain i Vyann, wkręcił się nawet Marapper. Brakowało tylko Scoyta i Zaca Deighta.

Przez posłańców, którzy przynieśli mu wezwanie na naradę, Scoyt odpowiedział, że jest „zbyt zajęty”. Marapper, który na żądanie Tregonnina udał się po Zaca Deighta, stwierdził po prostu, że radcy nie ma w pokoju. Na tę wiadomość Complain i Vyann, która już wiedziała o ponurej roli, jaką w ostatnich wydarzeniach odegrał Deight, wymienili w milczeniu spojrzenia. Odczuliby z pewnością ulgę, gdyby mogli w tej chwili zdemaskować Deighta jako zdrajcę, obawiali się jednak, że w tym pokoju może być więcej zdrajców, których byłoby lepiej nie ostrzegać.

- Statek należy zniszczyć doszczętnie, zanim Giganci zrobią z nami to samo! - krzyczał Hawl. - To chyba dostatecznie jasne, po co tę sprawę jeszcze wałkować!

- Nic nie rozumiesz! Jeżeli statek zostanie rozebrany, zginiemy wszyscy! - protestował radca Dupont.

- Ale przy okazji pozbędziemy się szcurów - zarechotał Hawl.

Od samego początku on i Gregg byli w opozycji w stosunku do członków Rady. Zebranie było mało skuteczne także z innej przyczyny: nikt nie mógł zdecydować, czy mają dyskutować kroki, jakie podejmował Scoyt, czy też odkrycie dziwnej planety.

W końcu Tregonnin dokonał próby połączenia obu problemów w jeden.

- Nasze stanowisko powinno być następujące - rzekł. - Akcję Scoyta można zaaprobować, i o ile będzie uwieńczona sukcesem. Sukcesem zaś będzie nie tylko schwytanie Gigantów, ale przede wszystkim zmuszenie ich do ujawnienia, w jaki sposób można sprowadzić statek na powierzchnię planety.

Stanowisko to wywołało szmer uznania.

- Niewątpliwie Giganci muszą znać sposób - powiedział Billyoe - w końcu to oni zbudowali ten statek.

- A więc skończmy z gadaniem i chodźmy pomóc Scoytowi - rzekł Gregg wstając z miejsca.

- Jest jeszcze coś, co chciałbym powiedzieć, zanim wyjdziecie - rzekł Tregonnin. - Otóż nasza dyskusja dotyczyła wyłącznie spraw materialnych. Sądzę jednak, że mamy także moralne uzasadnienie naszej akcji. Statek stanowi dla nas obiekt święty i możemy go zniszczyć tylko pod jednym warunkiem: że nasza długa podróż zostanie zakończona. Ten warunek będzie szczęśliwie spełniony. Nie ulega wątpliwości, że planeta, którą część z nas widziała, to Ziemia.

Nabożny ton jego wypowiedzi spotkał się z drwinami ze strony Gregga i kilku przedstawicieli Zespołu Przetrvania. U innych wywołała ona podniecenie i oklaski, a Marapper zawołał, że Tregonnin powinien zostać kapłanem.

- Ta planeta to nie jest Ziemia! - głos Complaina przebił się przez ogólny gwar. - Przykro mi was rozczarować, ale mam pewne informacje, których wy nie macie. Jesteśmy bardzo daleko od Ziemi; na statku wymarły dwadzieścia trzy pokolenia, a Ziemię powinno się osiągnąć w ciągu

siedmiu!

Zakrzyczały go głosy gniewne, rozżalone, napastliwe.

Complain doszedł do wniosku, że każdy powinien znać dokładnie sytuację, bo tylko wtedy będzie mógł się z nią pogodzić. Trzeba im powiedzieć wszystko: o zniszczonych sterach, o dzienniku kapitana Gregory'ego Complaina, o Zacu Deighcie. Muszą wiedzieć o wszystkim, problem rozrósł się za bardzo, aby pojedynczy człowiek mógł sobie dać z nim radę. Ale zanim zdążył powiedzieć jedno słowo, drzwi do pokoju Rady otworzyły się gwałtownie. Stało w nich dwóch mężczyzn o twarzach wykrzywionych strachem.

- Giganci atakują!

Na pokładach Dziobu kłębił się śmierdzący, oślepiający dym. Podpalono spiętrzone rupiecie usunięte z Pokładu 25 na Pokłady 24 i 23. Nikt nie zwracał na to uwagi, każdy stał się nagle pirotechnikiem. Automatyczne urządzenia statku stosowały w walce z ogniem bardzo prostą metodę - zamykały mianowicie pokój, w którym wybuchł pożar, i usuwały z niego powietrze. Tym razem, na nieszczęście, ogień pojawił się w pokoju, w którym automatyczne urządzenie nie działało, oraz na otwartych korytarzach.

Scoyt i towarzysząca mu grupa pomocników pracowała nieprzerwanie nie zwracając uwagi na dym. Obiektywny obserwator przyglądający im się z boku stwierdziłby bez trudu, że opanowała ich jakaś wewnętrzna pasja. Hodowana przez całe życie nienawiść do statku, który ich więził, znalazła wreszcie ujście i wybuchła z ogromną siłą.

Giganci uderzyli bardzo mądrze.

Scoyt wypalił właśnie ścianę w małej umywalni i odpoczywał, podczas gdy jego trzech ludzie zajmowali się jej usuwaniem. Przy okazji zasłonili mistrza na chwilę. W tym momencie kratka nad jego głową została usunięta i Gigant strzelił do niego pociskiem gazowym. Pocisk trafił mistrza w twarz i Scoyt nie wydając dźwięku osunął się na podłogę. Z kratki spłynęła w dół drabinka sznurowa. Jeden z Gigantów zbiegł po niej i wyrwał broń ciepłą z bezwładnej ręki mistrza. W tym momencie wycięta ściana zwała się na niego i zamroczyła go. Był to czysty przypadek. Trzej mężczyźni stali patrząc na Giganta w osłupieniu. Tymczasem z drabinki zeskoczyli następni Giganci unieruchamiając całą trójkę strzałami, po czym schwycili swego towarzysza oraz broń ciepłą i usiłowali schronić się w bezpieczne miejsce.

Pomimo dymu cały ten incydent nie uszedł uwagi innych. Jeden z najsprawniejszych zabijaków Gregga, człowiek o nazwisku Black, skoczył gwałtownie naprzód. Ostatni Gigant, który osiągał już kratkę, zwał się z nożem w plecach, broń ciepła wypadła mu z ręki. Black odzyskał swój nóż i wołając o wsparcie zaczął wdrapywać się po drabince. Ale i on spadł otrzymawszy porcję gazu prosto w twarz. Jego towarzysze byli jednak tuż za nim i przeskakując go rzucili się do góry.

W ciasnej przestrzeni kanałów inspekcyjnych rozgorzała zaciekle walka. Giganci dostali się tu przewodem wentylacyjnym, teraz jednak odwrót hamowała im obecność ranego towarzysza. Zjawily się posiłki, które przybyły jednym z niskich pojazdów inspekcyjnych, jakim w swoim czasie wieziono kiedyś Complaina. Tymczasem wśród rur i dźwigarów kanału Dziobowcy atakowali ze wzrastającą siłą.

Było to dziwne miejsce do prowadzenia walki. Kanały inspekcyjne biegły wokół wszystkich poziomów i między wszystkimi pokładami. Były zupełnie nie oświetlone, a latarki, których nerwowe światło rozjaśniało je w tej chwili, ożywiały między dźwigarami upiorne cienie. Dla pojedynczego strzelca warunki były idealne, dla całej gromady potworne; nie można było odróżnić przyjaciela od wroga.

Taki stan rzeczy zastał Gregg, gdy przybył z pokoju Rady, aby objąć dowództwo. Szybko uporządkował swoje szeregi. Teraz gdy Scoyt był unieruchomiony, słuchali go nawet Dziobowcy.

- Niech mi ktoś przyniesie tę broń ciepłą! - krzyknął. - Wszyscy za mną na Pokład 20! Jeżeli zejdziemy tam w dół przez włazy inspekcyjne, możemy zająć Gigantów od tyłu!

Był to świetny pomysł. Jedyłą trudność, która jednocześnie wyjaśniała, dlaczego Giganci nadal mimo usunięcia klap wszystkich włazów przenosili się niewidoczni z pokładu na pokład, stanowił fakt, że tunele inspekcyjne biegły wokół całego obwodu statku, wewnątrz kadłuba. Otaczały one w ten sposób każdy pokój na górnych poziomach. Zanim sobie to uświadomiono, nie można było zablokować Gigantom możliwości swobodnego ruchu. Statek miał jednak bardziej skomplikowaną budowę, niż to zakładał Gregg. Jego ludzie rzucając się dziko w dół włazami nie byli w stanie odnaleźć śladów wroga.

Gregg postępował zgodnie ze swoją dziką naturą. Włączył broń ciepłą na pełną siłę i topił wszystko, co mu stało na drodze.

Nigdy przedtem kanały inspekcyjne nie stały otworem dla mieszkańców statku, nigdy przedtem szalencie ze spawarką w rękach nie buszował wśród jego delikatnych naczyń włoskowatych.

W trzy minuty po włączeniu broni Gregg przedziurawił służbę kanalizacyjną i uszkodził wodociąg. Strumień wody trysnął pod ciśnieniem, przewracając jednego z mężczyzn, zalewając go i wreszcie topiąc. Następnie strumień ten runął wzdłuż kanału zalewając wszystko po drodze i wijąc się między metalowymi warstwami pokładów.

- Wyłącz to, durniu jeden! - krzyknął na Gregga jakiś Dziobowiec widząc grożące niebezpieczeństwo.

W odpowiedzi Gregg skierował na niego lufę miotacza.

Zaraz potem poszedł kabel elektryczny. Skwiercząc i wijąc się jak żywa kobra uszkodzony kabel dotknął torów, po których poruszały się pojazdy inspekcyjne. Dwóch ludzi zginęło nie zdążywszy wydać głosu.

Siła ciężenia przestała działać. Na całym pokładzie zapanował stan nieważkości, a nic nie wywołuje tak szybko paniki jak uczucie spadania. Popłoch, jaki powstał na ograniczonej z konieczności przestrzeni, pogorszył tylko sytuację. Sam Gregg, mimo że miał już wcześniej do czynienia ze stanem nieważkości, stracił głowę i rzucił broń. Odbiła się łagodnie i powróciła do niego. Czując, że płonie mu broda, wrzasnął i odepchnął pięścią ziejącą ogniem lufę.

W czasie całego tego piekła Complain i Vyann stali przy mistrzu Scoycie, którego właśnie przyniesiono na noszach do jego pokoju. Pamiętając jeszcze zapach gazu Complain współczuł nieprzytomnemu mistrzowi. Czuł ten zapach we włosach Scoyta, czuł jednak także smród spaleniźny. Spojrzał w górę i zobaczył cienką strużkę dymu wpływającą przez kratkę do wnętrza pokoju.

- To ten ogień, który ci durnie wzniecili dwa pokłady stąd! Przewody wentylacyjne



rozprowadzą dym po całym statku! - zawołał do Vyann.

- Gdybyśmy tylko mogli zamknąć drzwi międzypokładowe... - powiedziała. - Czy nie powinniśmy stąd wynieść Rogera?

Gdy to mówiła, Scoyt poruszył się i jęknął. Zbyt byli zajęci spryskiwaniem mu wodą twarzy i masowaniem rąk, aby usłyszeć w ogólnej wrzawie krzyki dochodzące z korytarza. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł radca Tregonnin.

- Bunt! - zawołał. - Bunt! Obawiałem się tego. Na Boga, co się z nami stanie? Mówiłem od początku, że nie należy tutaj wpuszczać tej bandy z Bezdroży. Czy nie możecie obudzić Scoyta? On będzie wiedział, co robić! Ja nie jestem powołany do działania.

Complain popatrzył na niego pogardliwie. Mały bibliotekarz prawie tańczył na palcach, a na jego twarzy malowało się głupkowane podniecenie.

- Ale o co właściwie chodzi? - zapytał.

Pod wpływem lekceważącego spojrzenia Complaina Tregonnin opanował się z widocznym wysiłkiem.

- Statek jest systematycznie niszczoney rzekł spokojniej. - Ten wariat Hawl, ten człowiek o małej głowie, dorwał się do broni ciepłej. Twój brat jest ranny. Obecnie większość jego bandy, a także wielu naszych ludzi, rozwala wszystko, co się da. Kazałem im przerwać i oddać broń, ale mnie wyśmiali.

- Oni posłuchają Scoyta - rzekł ponuro Complain. Zaczął potrząsać mistrzem gwałtownie.

- Boję się, Roy. Nie mogę pozbyć się uczucia, że stanie się coś strasznego - powiedziała Vyann.

Jeden rzut oka na jej twarz powiedział Complainowi, jak bardzo jest zaniepokojona. Stał obok niej gładząc ją po ramieniu.

- Niech pan zajmie się mistrzem Scoytem, radco - rzekł do Tregonnina. - Niedługo będzie już dostatecznie przytomny, aby rozwiązać za pana wszystkie problemy. My zaraz wrócimy.

Wyciągnął zaskoczoną Vyann na korytarz. Cienki strumyk wody pełzał wzdłuż pokładu kapiąc do włazów.

- Co teraz? - zapytała.

- Byłem głupcem, że nie pomyślałem o tym wcześniej,- rzekł. - Musimy zaryzykować rozwalenie wszystkiego, aby dostać się do Gigantów, o ile nie ma innego sposobu. Ale inny sposób jest! Zac Deight ma w swoim pokoju przyrząd, przez który rozmawiał z przywódcą Gigantów, Curtisem.

- Nie pamiętasz już, Roy, jak Marapper mówił, że Zac Deight zniknął?

- Może znajdziemy sposób, aby uruchomić ten przyrząd bez niego - odpowiedział. - A może znajdziemy coś innego, co nam się przyda. Tutaj na pewno nie robimy nic pożytecznego.

Kiedy to mówił, nie bez ironii, przebiegło koło niego co sił w nogach sześciu Dziobowców. Wszyscy wokół poruszali się teraz biegiem, rozchlapując wodę w korytarzach, ponaglani niewątpliwie ostrym zapachem spalenizny. Complain ujął miękką dłoń Vyann i poprowadził ją szybko na Pokład 17, a stamtąd w dół na dolny poziom. Klapy włazów leżały wkoło jak porzucone

płyty nagrobkowe, a wartownicy, którzy mieli ich pilnować, zdezerterowali, aby szukać gdzie indziej mocniejszych wrażeń.

Zatrzymując się przed pokojem, w którym pozostawił porażonego radcę, Complain pochylił latarkę i otworzył drzwi.

Pośrodku na metalowym stołku siedział Zac Deight. Obok na krześle Complain dostrzegł zwalistą postać Marappera z paralizatorem w ręku.

- Przestrzeni dla waszego ja, dzieci - rzekł kapłan - wejdz Roy, wejdz. Pani także, inspektor Vyann.

- Co ty sobie do diabła myślisz siedząc tutaj, ty stary, tłusty łajdaku - rzekł zaskoczony Complain.

Kapłan, ignorując nieprzyjemną formę powitania, na jaką Complain nigdy dawniej by się nie ważył, jak zwykle skwapliwie pospieszył z wyjaśnieniem. Jest tu, oświadczył, wyłącznie po to, aby za pomocą tortur wyciągnąć od Zaca Deighta wszystkie tajemnice statku. Dopiero co zaczął, bo chociaż jest tu już od jakiegoś czasu, ledwie zdążył ocucić radcę.

- Ale przecież powiedziałaś na posiedzeniu Rady, że go tu nie ma - wypomniała mu Vyann.

- Nie chciałem, aby go rozszarpali za to, że jest Obcym, zanim ja się nim zajmę - oświadczył Marapper.

- Od jak dawna wiesz, że on jest Obcym? spytał podejrzliwie Complain.

- Od czasu jak tu przyszedłem i zastałem go leżącego na podłodze z ośmiokątnym pierścieniem na palcu - rzekł zadowolony z siebie Marapper. - Na razie, wsadzając mu nóż pod paznokcie, wycisnąłem z niego jedną informację. Obcy i Giganci pochodzą z planety, którą widzieliście, ale nie mogą tam powrócić, jeżeli nie przybędzie po nich statek. Nasz statek nie może lądować.

- Oczywiście, że nie może. Jest przecież pozbawiony sterów - powiedziała Vyann. Tracisz tylko czas, kapłanie Marapper. Nie mogę także pozwolić na torturowanie radcy, którego znam od czasu, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką.

- Nie zapominaj, że on chciał nas zabić przypomniał jej Complain. Patrzyła na niego w milczeniu, z uporem. Kobieca intuicja mówiła jej, że dysponuje argumentem silniejszym od rozsądku.

- Nie miałem innego wyjścia, jak tylko spróbować was usunąć - rzekł głucho Zac Deight. - Jeżeli uwolnicie mnie od tej okropnej kreatury, zrobię wszystko, oczywiście w granicach rozsądku.

Trudno sobie wyobrazić kłopotliwszą sytuację niż ta, w jakiej znalazł się Complain, nic więc dziwnego, że nie budziła jego zachwyty. Zostać wciągniętym w spór między kapłanem i dziewczyną! Byłby nawet skłonny pozwolić Marapperowi wycisnąć z Deighta wszystkie informacje, i to przy użyciu wszelkich dostępnych środków, ale nie mógł tego zrobić w obecności Vyann. Z drugiej strony nie mógł także wyjaśnić kapłanowi, skąd wzięła się u niego ta nagła wrażliwość. Zaczęły się spory, które przerwał jakiś hałas. Był to dziwny dźwięk, coś jakby szelest lub drapanie, tym bardziej przerażający, że trudny do zidentyfikowania. Narastał nieustannie i nagle znalazł się tuż nad ich głowami.

To szły szczury! Biegły przewodem wentylacyjnym ciągnącym się nad poziomem, na którym się znajdowali. Były akurat na kratce, przez którą nie tak dawno wychodził Complain. Drobne, różowe łapki zbliżały się i oddalały, gdy cały szczurzy szczep przewalał się nad ich głowami. Do pokoju

posypał się kurz, a wraz z nim, pojawił się dym.

- Tak jest teraz na całym statku - zwrócił się ponownie do Zaca Deighta Complain, gdy tupot oddalił się i ścichł. - Ogień wypłasza szczury z ich jam. Jeżeli starczy czasu, to ludzie zniszczą tu wszystko. Znajdą także to wasze tajne schronienie, nawet gdyby mieli nas przy tym zabić. Jeżeli chcesz z tego wyjść cało, Deight, to podejdź do tego instrumentu i powiedz Curtisowi, aby wyszedł z rękami podniesionymi do góry.

- Nawet gdybym to zrobił, on mnie i tak nie posłucha - rzekł Zac Deight. Niespokojnie pocierał ręce pokryte cienką jak papier skórą.

- Oto już ja się będę martwił - powiedział Complain. - Gdzie jest ten Mały Pies? Tam w dole, na planecie?

Zac Deight żałośnie skinął głową. Bez przerwy chrząkał i ta nerwowa czynność zdradzała jego napięcie.

- Wstawaj i powiedz Curtisowi, aby jak najszybciej połączył się z Małym Psem i polecił im przysłać po nas statek - rzekł Complain. Wyciągnął paralizator i spokojnie wycelował go w Deighta.

- Ja jeden mam tu prawo wymachiwać paralizatorem! - krzyknął Marapper. - Deight to mój jeniec!

Zerwał się i podszedł do Complaina z uniesioną bronią. Jednym kopnięciem Complain wytrącił mu ją z ręki.

- Nie możemy sobie pozwolić na to, aby w dyskusji brały udział trzy strony, kapłanie rzekł. - Jeżeli chcesz tu zostać, zachowuj się spokojnie. W przeciwnym razie wynoś się stąd! No, Deight, już się zdecydowałeś?

Zac Deight wstał bezradnie. Na jego twarzy malowała się niepewność.

- Nie wiem, co zrobić. Wy zupełnie nie rozumiecie sytuacji - powiedział. - Naprawdę chciałbym wam pomóc, gdybym tylko mógł. Wydajesz się z gruntu rozsądnym człowiekiem, Complain. Gdybyśmy obaj...

- Nie jestem rozsądny! - krzyknął Complain. - Wszystko, tylko nie rozsądny! Łącz się z Curtisem! No już, stary lisie, ruszaj się! Sprowadź tu statek!

- Inspektor Vyann, czy pani nie może... zaczął Deight.

- Oczywiście, Roy, proszę cię... - próbowała interweniować Vyann.

- Nie! - ryknął Complain. Rozpętało się istne piekło, każdy miał swoje zdanie, nawet kobiety. - Ci łajdacy są odpowiedzialni za wszystkie nasze nieszczęścia. Teraz muszą nas z tego wyciągnąć albo...

Gwałtownie odsunął od ściany jedną z szaf. Telefon stał w małej niszy, milcząco i neutralnie, gotów przekazać każdą wiadomość, która mu zostanie powierzona.

- Tym razem mój paralizator nastawiony jest na ładunek śmiertelny, Deight - rzekł Complain. - Liczę do trzech, a ty zaczynaj mówić. Raz... dwa...

Oczy Zaca Deighta były pełne łez, gdy drżącą ręką podnosił słuchawkę.

- Dajcie mi Crane'a Curtisa, dobrze? rzekł, gdy po drugiej stronie ktoś się odezwał. Pomimo zacierzenia Complain nie zdołał opanować dreszczu emocji na myśl, że w tej chwili instrument ten połączony jest z tajną twierdzą na statku.

Gdy Curtis się odezwał, czwórka znajdujących się w pokoju ludzi mogła doskonale słyszeć jego głos. Był piskliwy ze zdenerwowania, a poza tym Curtis mówił tak szybko, jakby nie był Gigantem. Przystąpił do rzeczy, zanim stary radca zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Deight! Coś pan naknocił?! Zawsze mówiłem, że pan jest za stary do tej roboty! Przeklęte zawrotki mają nadal spawarkę. A pan chyba utrzymywał, że to pan ją ma. Oni dostali kompletnego fiola, kompletnego! Kilku chłopców usiłowało odebrać im tę spawarkę, ale bez powodzenia, a teraz statek pali się niedaleko nas! To pana robota! Będzie pan za to odpowiadał...

Wśród tej powodzi słów Zac Deight zmienił się, jakby powróciła mu dawna godność. Słuchawka przestała drzeć mu w rękę.

- Curtis! - jego rozkazujący ton przerwał na chwilę potok słów z tamtej strony. - Curtis, niech pan się weźmie w garść! To nie pora na oskarżanie się nawzajem. Teraz są ważniejsze sprawy. Musi pan połączyć się z Małym Psem i powiedzieć im...

- Małym Psem! - zawołał Curtis. Zaczął znowu mówić z wielkim pośpiechem. - Ja nie mogę się połączyć z Małym Psem! Dlaczego pan nie słucha tego, co ja mam do powiedzenia? Jakiś zidiociały zawrotek, bawiąc się spawarką jak małpa, uszkodził kabel elektryczny na środkowym poziomie Pokładu 20, tuż pod nami. Wszystko wokół nas jest teraz pod napięciem. Czterech moich ludzi leży w szoku nieprzytomnych. Wysiadło nam radio i światło. Jesteśmy całkowicie unieruchomieni. Nie możemy zaalarmować Małego Psa i nie możemy stąd wyjść...

Zac Deight jęknął. Odwrócił się bezradnie do telefonu i spojrzał na Complaina.

- Jesteśmy skończeni - powiedział. - Sam słyszałeś.

Complain pchnął go paralizatorem między żebra.

- Cicho bądź - syknął. - Curtis nie skończył jeszcze mówić!

Telefon wydawał nadal skrzeczące dźwięki.

- Jest pan, Deight? Dlaczego pan nie odpowiada?

- Jestem - odrzekł znużonym głosem Deight.

- To niech pan odpowiada. Czy pan myśli, że ja z panem mówię dla zabawy? - warknął Curtis. - Istnieje dla nas tylko jedna szansa. Na górze, w luku osobowym na Pokładzie 10, znajduje się dodatkowy, awaryjny nadajnik. Rozumie pan? My tu jesteśmy uwięzieni jak homary w puszczy. Nie możemy stąd wyjść. Pan jest wolny. Musi pan dostać się do tego nadajnika i wezwać na pomoc Małego Psa. Czy może pan to zrobić?

Paralizator wbił się głębiej między żebra Zaca Deighta.

- Postaram się - rzekł Deight.

- Niech pan się dobrze stara! To jest nasza jedyna szansa. I jeszcze, Deight...

- Tak?

- Powiedz im pan na miłość boską, żeby się zjawili szybko, i uzbrojeni.

- W porządku.

- Niech pan idzie do kanału inspekcyjnego i weźmie pojazd.

- W porządku, Curtis.

- Człowieku, niech pan się spieszy! Na Boga, Deight, niech pan tam idzie jak najprędzej.

Gdy Zac Deight odłożył słuchawkę, zapanowała długa cisza.

- Czy pozwolicie mi poszukać tego radia? zapytał wreszcie Deight.

Complain skinął głową.

- Idę z tobą - powiedział. - Musimy zdobyć statek. - Odwrócił się do Vyann. Przyniosła właśnie staremu radcy kubek wody, który Deight przyjął z wdzięcznością.

- Laur - zwrócił się do niej - bądź tak dobra i powiedz Rogerowi Scoytowi, który już powinien być na chodzie, że kryjówka Gigantów znajduje się gdzieś na górnym poziomie Pokładu 20. Powiedz mu, żeby zlikwidował ich całkowicie jak najszybciej. Niech uważa, tam jest niebezpiecznie. Powiedz mu też, że jest tam taki jeden Gigant o nazwisku Curtis, który powinien być wysłany w Długą Podróż bardzo powoli. Uważaj na siebie, Laur. Wróć najszybciej, jak tylko będę mógł.

- Czy nie mógłby iść Marapper zamiast... zaczęła Vyann.

- Chcę, aby ta wiadomość szybko dotarła, gdzie trzeba - rzekł zdecydowanym głosem Complain.

- Bądź ostrożny - błagała.

- Nic mu się nie stanie - rzekł szorstko Marapper. - Pomimo jego zniewag, pójdę z nim. Mój pęcherz mówi mi, że szykuje się coś paskudnego.

Na korytarzu powitały ich kwadratowe światła kontrolne. Ich rzadko rozrzucone niebieskie plamy niewiele rozjaśniały nieprzyjemną ciemność i Complain patrzył na odchodzącą Vyann z pełną złych przeczuć obawą. Brnąc w wodzie niechętnie ruszył za Marapperem i Deightem. Radca zniknął właśnie w otwartym włazie, a kapłan stał nad nim wyraźnie niezdecydowany.

- Poczekaj! - zawołał. - A co ze szczurami?

- Ty i Complain macie paralizatory - rzekł łagodnie Zac Deight.

Ta uwaga nie uspokoiła jednak całkowicie Marappera.

- Obawiam się, że ten właz jest za wąski, abym mógł się przez niego precyzyjnie - zawołał. - Jestem kawał chłopca, Roy.

- I jeszcze większy kawał łgarza - rzekł Complain. - Jazda, złaź na dół. Musimy mieć oczy otwarte i uważać na szczury. Na szczęście są teraz zbyt zajęte czymś innym, aby zwracać na nas uwagę.

Z trudem dostali się do kanału inspekcyjnego, pełznąc na czworakach w kierunku szyn, po których zazwyczaj poruszały się niskie wózki należące do tego poziomu. Wózki te przemierzały statek na całej jego długości. Ale teraz pojazdu nie było. Pełzali nadal wzdłuż szyn, z trudnością

przeciskając się przez wąskie przejścia, które nawet tutaj dzieliły jeden pokład od drugiego. Na trzecim pokładzie znaleźli wreszcie wózek. Zgodnie ze wskazówkami Deighta wdrapali się na pojazd i położyli na brzuchu. Po uruchomieniu silnika ruszyli, szybko nabierając szybkości. Przegrody międzypokładowe przelatowały zaledwie o cale nad ich głowami. Marapper jęczał usiłując wciągnąć swój pokaźny brzuch, wkrótce jednak pojazd zwolnił. Dotarli na Pokład 10. Radca zatrzymał wózek i wszyscy wysiedli.

W tym odległym miejscu pełno było szczurzych śladów. Cała podłoga zanieczyszczona była odchodami i skrawkami szmat. Marapper systematycznie oświetlał latarką to jedną, to drugą ścianę korytarza.

Ponieważ zatrzymali pojazd w samym środku pokładu, mogli się wyprostować. Wokół nich szerokie na cztery stopy szlaki inspekcyjne tworzyły przekładkę umieszczoną między dwoma pierścieniami pokładów. Przez całą jego szerokość krzyżowały się dźwigary, klamry, większe i mniejsze przewody oraz potężne rury, którymi przebiegały korytarze statku. Gdzieś w ciemnościach nad ich głowami zniknęła stalowa drabina.

- Luk osobowy znajduje się oczywiście na górnym poziomie - rzekł Zac Deight, po czym chwyciwszy się szczebli drabiny zaczął się wspinać do góry. Podążający za nim Complain zauważył, że po obu stronach widoczne są liczne uszkodzenia, tak jakby w pokojach, które mijali, miał kiedyś miejsce wybuch. W chwili gdy o tym pomyślał, potężny grzmot rozległ się w tunelach inspekcyjnych, wywołując wśród licznych rur taki rezonans, jakby wokół nich grała wielka orkiestra.

- Wasi ludzie nadal niszczą statek - rzekł chłodno Zac Deight.

- Miejmy nadzieję, że przy tej okazji wytluką całe rzesze Gigantów - powiedział Marapper.

- Rzesze! - zawołał Deight. - A ilu „Gigantów”, jak ich nazywacie, znajduje się, twoim zdaniem, na statku?

Ponieważ kapłan milczał, Deight sam odpowiedział na swoje pytanie.

- Jest tych biedaków dokładnie dwunastu. Trzynastu, jeżeli doliczymy Curtisa.

Cornplainowi udało się spojrzeć na sytuację oczyma człowieka, którego nigdy nie widział, oczyma Curtisa. Ujrzał go - przerażonego urzędnika, siedzącego po ciemku gdzieś w rozwalonym pokoju, podczas gdy na statku wszyscy zawzięcie szukali miejsca jego schronienia. Niezbyt miły obraz.

Nie było jednak czasu na dalsze rozważania. Osiągnęli górny poziom i znowu zaczęli pełznąć w kierunku najbliższego włazu. Zac Deight wprowadził w mamek swój ośmiokątny pierścień i otworzył klapę nad ich głowami. Gdy wydostali się na zewnątrz, otoczyła ich chmura małych moli, która trwała tak przez chwilę zawieszona w powietrzu, po czym odleciała w głąb ciemnego korytarza. Complain szybko wyciągnął paralizator i strzelił w tym kierunku. W świetle latarki Marappera stwierdził z satysfakcją, że większość owadów spadła na pokład.

- Mam nadzieję, że żaden nie ocalał - powiedział. - Mógłbym przysiąc, że te owady to zwiadowcy szczurów.

Zniszczenia w rejonie, w którym się obecnie znajdowali, były większe od dotychczasowych. Ani jedna ściana nie stała prosto. Szkło i różne potłuczone przedmioty pokrywały grubą warstwą pokład, z wyjątkiem wąskiej dróżki, z której gruz został usunięty. Tą właśnie ścieżką posuwali się

ostrożnie naprzód, cały czas czujni i napięci.

- Co tutaj było? - spytał zaniepokojony Complain. - To znaczy przed tą ruiną.

Zac Deight szedł w milczeniu, nadal ponury i zamyślony.

- Co tutaj było, Deight? - powtórzył Complain.

- Och... większość tego pokładu zajmował Medyczny Ośrodek Badawczy - rzekł Deight odrywając się od swoich myśli. - Przypuszczam, że jakiś porzucony komputer rozerwał się w końcu na kawałki. Nie można się tu dostać normalnie - korytarzami czy windami. Ten rejon jest całkowicie odcięty. Grobowiec w grobowcu.

Complain poczuł dreszcz emocji. Medyczny Ośrodek Badawczy! To właśnie tutaj dwadzieścia trzy pokolenia temu pracowała June Payne, wynalazczyni payniny. Starał się wyobrazić ją sobie pochyloną nad stołem, ale widział stale tylko Laur.

Dotarli wreszcie do komory powietrznej i luku osobowego. Wyglądał on jak mniejszy luk towarowy z podobnymi kołami przy drzwiach i ostrzegawczymi napisami. Zac Deight podszedł do jednego z kół. Był nadal pogrążony w myślach.

- Poczekaj! - rzekł pośpiesznie Marapper. - Ja się znam dobrze na podstępach, Roy, i przysięgam, że ten drań chowa dla nas jakąś niespodziankę w zanadrzu. On nas chce zgubić.

- Jeżeli tam ktoś na nas czeka, Deight powiedział Complain - to ty i oni udacie się niezwłocznie w Podróż. Ostrzegam!

Deight odwrócił się. Cała jego postawa znamionowała ogromne napięcie i wyczerpanie. W innych okolicznościach i w innym gronie wzbudzałby tylko litość.

- Nie ma tam nikogo - rzekł chrząkając. Nie musicie się niczego obawiać.

- A ta... ta rzecz zwana radiem znajduje się za tymi drzwiami? - spytał z wahaniem Complain.

- Tak.

Marapper chwycił Complaina za ramię i skierował jego latarkę Deightowi w twarz.

- Chyba nie pozwolisz mu rozmawiać z Małym Psem, co? Będzie chciał ich tu ściągnąć uzbrojonych.

- Nie uważaj mnie za głupca, kapłanie, tylko dlatego, że przypadkiem urodziłem się w twojej parafii - rzekł Complain. - Deight przekaże im to, co my mu powiemy. Otwieraj, radco!

Drzwi otworzyły się i znaleźli się w luku. Było to kwadratowe pomieszczenie o boku nie dłuższym niż pięć kroków. Sześć skafandrów kosmicznych, przypominających metalowe zbroje, stało opartych o ścianę. Poza skafandrami w pokoju znajdował się jeszcze tylko jeden przedmiot. Było to radio, niewielki przenośny przyrząd z pasami do noszenia i anteną teleskopową.

Podobnie jak w luku towarowym, znajdowało się tu okno. Nie licząc zamkniętego obecnie obserwatorium w sterowni, cztery osobowe i dwa towarowe luki były jedynymi pomieszczeniami, zaopatrzonymi w otwory obserwacyjne. Mając inny współczynnik rozszerzalności niż reszta obudowy, stanowiły słaby punkt statku. Dlatego też zostały zaplanowane tylko tam, gdzie były konieczne. Widok, który się z nich roztaczał, wywarł na Marapperze takie samo wrażenie jak poprzednio na innych. Bez tchu wpatrywał się w olbrzymią przestrzeń po raz pierwszy nie mogąc

wykrztusić słowa. W tej chwili sierp planety był dużo większy niż wtedy, kiedy oglądał go Complain. Widoczna była biel i zieleń zmieszane z oślepiającym błękitem, a wszystko to lśniło w jakiś dziwny sposób. W pewnym oddaleniu od majestatycznego sierpa, znacznie od niego mniejsze, jaśniej niż samo życie, płonęło słońce.

Zafascynowany Marapper wskazał je ręką.

- Co to jest? Słońce? - zapytał. Complain skinął głową.

- Jezus Maria! - zawołał wstrząśnięty Marapper. - Ono jest okrągłe! Jakoś zawsze wyobrażałem sobie, że musi być kwadratowe jak światło kontrolne!

Zac Deight podszedł do radia. W chwili gdy drżącą ręką podnosił aparat, odwrócił się do pozostałych.

- No więc dowiedzcie się - powiedział. Cokolwiek się stanie, nie będę przed wami ukrywał: ta planeta to Ziemia.

- Co? - zawołał Complain. Pytania, które cisnęły mu się na usta, więzły mu w gardle. Kłamiesz, Deight! Na pewno kłamiesz! To nie może być Ziemia! My wiemy, że to nie może być Ziemia!

Stary człowiek zaczął nagle płakać. Po policzkach spływały mu słone łzy, których nawet nie usiłował powstrzymać.

- Powinniście o tym wiedzieć - powiedział. - Cierpieliście bardzo... za bardzo. To jest Ziemia, ale wy nie możecie na nią powrócić. Długa Podróż... Długa Podróż musi trwać wiecznie. To jest jedno z okrucieństw życia.

Complain chwycił go za cienką szyję.

- Posłuchaj mnie, Deight - warknął. - Jeżeli to jest Ziemia, to dlaczego my na niej nie jesteśmy? Kim jesteś ty, kim są Obcy, Giganci? Kim jesteście wy wszyscy? No, kim?

- My... my jesteśmy z Ziemi - wycharczał Deight. Chaotycznie machał rękami przed wykrzywioną przerażeniem twarzą Complaina, który potrzasał radcą jak wyrwanym z korzeniami kozakiem glonów. Marapper krzyczał coś Complainowi do ucha, szarpiąc go za ramię; krzyczeli teraz zresztą wszyscy, a twarz Deighta pod wpływem żelaznego uchwytu Complaina stała się purpurowa. Zatoczyli się na stojące skafandry przewracając dwa z nich i padając na nie. Kapłanowi udało się wreszcie oderwać palce Complaina od gardła radcy.

- Jesteś szalony, Roy! - wysapał. - Zwariowałeś czy co? Chciałeś go udusić!

- Nie słyszałeś, co on powiedział? - krzyknął Complain. - Jesteśmy ofiarami jakiejś przerażającej znowy...

- Każ mu najpierw rozmawiać z tym Małym Psem, każ mu! On jeden potrafi uruchomić ten przedmiot! Powiedz mu, żeby z nim pomówił, Roy. Potem możesz go zabić albo stawiać pytania.

Znaczenie tych słów z wolna zaczęło docierać do Complaina. Gniew, który czerwoną płachtą przesłonił mu oczy, ustąpił. Marapper; jak zwykle rozważny, gdy chodziło o jego własną skórę, miał rację. Complain z trudem się opanował. Wstał i brutalnie postawił Deighta na nogi.

- Co to jest Mały Pies? - spytał.

- To jest... to jest kodowa nazwa instytutu powołanego na Ziemi do badań nad mieszkańcami



tego statku - rzekł Zac Deight rozcierając szyję.

- Do badań... No, dobrze, połącz się z nimi szybko i powiedz... powiedz, ale kilku waszych ludzi zachorowało i żeby zaraz przysłali po nich statek z Ziemi. I nie waż się mówić nic innego, bo rozerwiemy cię na kawałki i damy szczurom na pożarcie! Jazda!

- Ach! - Marapper zatarł z uznaniem ręce i poprawił płaszcz. - Mówisz jak wzorowy wierny Roy. Jesteś moim ulubionym grzesznikiem. Kiedy przybędzie tu statek, obezwładnimy załogę i wrócimy nim na Ziemię. Wszyscy wrócą! Wszyscy! Każdy mężczyzna, każda kobieta i każdy mutant - od Dziobu do Schodów Rufowych.

Zac Deight ujął przyrząd i włączył prąd. Następnie, stawiając czoło ich wściekłości, odwrócił się odważnie, stając z nimi twarzą w twarz.

- Pozwólcie mi coś powiedzieć - rzekł z godnością. - Cokolwiek się stanie, a lękam się niezmiernie zakończenia tej strasznej historii, chciałbym, abyście pamiętali to, co wam powiem. Zostaliście oszukani, to prawda. Wasze pełne cierpienia życie upływa w zamknięciu tego statku. Ale gdziekolwiek byście żyli, w jakimkolwiek miejscu czy czasie, wasze życie nie byłoby wolne od bólu. Dla każdego w całym wszechświecie życie jest długą i ciężką podróżą. Jeżeli wy...

- Wystarczy, Deight - powiedział Complain. - My nie żądamy raju, chcielibyśmy tylko mieć prawo wyboru miejsca cierpienia. No, pogadaj z Małym Psem.

Zrezygnowany, blady jak ściana Zac Deight odwrócił się i zaczął nadawać, świadom paralizatora, który trzymano mu przed samym nosem. Po chwili w metalowym pudełku rozległ się donośny głos.

- Halo, Wielki Psie. Tu Mały Pies, słyszymy was dobrze i wyraźnie. Odbiór.

- Halo, Mały Psie - zaczął Zac Deight i przerwał. Odchrząknął z wyraźnym bólem. Z czoła spływał mu pot. Gdy tylko przestał mówić, Complain poderwał broń. Radca podjął, patrząc przez chwilę z rozpaczą na słońce. - Halo, Mały Psie. Natychmiast przyślijcie statek. Zawrotki szaleją. Na pomoc! Na pomoc! Zawrotki szaleją! Przychodźcie dobrze uzbrojeni! Zawrotki... chrrr...

Strzał Complaina trafił go w otwarte usta, a strzał Marappera w łedźwia. Skulił się i runął, a wraz z nim upadło z trzaskiem radio. Nawet nie drgnął, był martwy, zanim dotknął głową pokładu. Marapper podniósł aparat z podłogi.

- Dobra jest! - wrzasnął w aparat. Chodźcie tu i bierzcie nas, wy śmierdzące trupojady! Chodźcie i bierzcie nas!

Zamachnął się i z całej siły rzucił aparatem o ścianę. Następnie z charakterystyczną dla siebie gwałtowną zmianą nastroju upadł na kolana przy ciele Zaca Deighta, w akcie żalu i rozpaczy, rozpoczynając w ten sposób rytualne egzekwie.

Complain z zaciśniętymi pięściami patrzył na planetę. Nie był w stanie przyłączyć się do kapłana. Nawyk wykonywania rytualnych gestów nad zwłokami opuścił go na zawsze, po prostu wyrósł z wszelkich przesądów. Zmroziła go świadomość pewnego faktu, który uszedł uwadze Marappera, a który rozwiewał wszelkie ich nadzieje.

Pokonawszy tysiące przeszkód stwierdzili, że Ziemia jest tak blisko. Ziemia, ich prawdziwy dom, ale jak to potwierdził Zac Deight, opanowana przez Gigantów i Obcych. Ta właśnie

świadomość rozpałała w nim bezsiany gniew.

Laur Vyann stała w milczeniu przyglądając się bezradnie ożywionemu ruchowi na Pokładzie 20. Mogła stać tylko dlatego, że trzymała się wyłamanej framugi drzwi, bowiem w wyniku zniszczeń dokonanych przez oddziały szturmowe Scoyta siła ciężenia na tym pokładzie przestała istnieć. Wszystkie kierunki na trzech koncentrycznych poziomach dokładnie się pogmatwały, góra i dół znalazły się tam, gdzie ich przedtem wcale nie było. Po raz pierwszy Vyann zdała sobie sprawę z tego, jak genialnie inżynierowie skonstruowali statek. W obecnych warunkach połowa pokładu nie nadawała się do zamieszkania, pokoje poodwracały się do góry nogami.

Obok Vyann stała, także w milczeniu, grupka kobiet z Dziobu, niektóre tuliły do siebie dzieci patrząc na zagładę swoich domów. Scoyt, ubrany tylko w szorty i cały czarny od sadzy, przyszedł już do siebie po zatruciu gazem i obecnie rozbierał cały pokład, tak jak to robił poprzednio z Pokładem 25. Po otrzymaniu informacji od Complaina, przekazanej przez Vyann, rzucił się do pracy z budzącą grozę zawziętością.

Jego pierwszym posunięciem była bezzwłoczna egzekucja dwóch kobiet i czterech mężczyzn, u których Pagwam wraz z kilkoma członkami Zespołu Przetwarzania znalazł ośmiokątne pierścienie Obcych. Pod jego twardym kierownictwem, jak słusznie przewidywał Complain, działanie Hawla i jego towarzyszy zostało ujęte w karby i nabrało celowego charakteru. Ponieważ Gregg z twarzą i kikutem ramienia w bandażach był całkowicie nieczynny, Hawl z ochotą go zastąpił, a jego zapadnięta twarz promieniała, gdy operował miotaczem żaru. Pozostała członkowie bandy Gregga pomagali mu chętnie, w czym brak siły ciężenia wcale im nie przeszkadzał. Nie oznaczało to bynajmniej, że słuchają Hawla; po prostu łączyli się z nim w jego demonicznej woli.

To, co kiedyś przypominało zgrabny plaster miodu z korytarzami i mieszkaniami, wyglądało obecnie w świetle licznych latarek jak wykuta w brązie scena z fantastycznego snu. Na oczyszczonym terenie, na którym jednak pozostało wiele metalu pod wysokim napięciem, tak, że aż zabiło pięciu ludzi, dźwigary sporządzone ze specjalnego ciężkiego stopu, stanowiące sam szkielet statku, nadal trwały nie naruszone. Sterczały z nich sopele lżejszych metali, które pod wpływem temperatury topiły się, spływały i ponownie zastygały. Chaosu dopełniała woda tryskająca z uszkodzonych rur wodociągowych.

W całej tej dzikiej scenerii najbardziej niesamowite wrażenie robiła właśnie woda. Siłą bezwładności płynęła naprzód, ale po dostaniu się w strefę stanu nieważkości zatrzymywała się tworząc zawieszane w powietrzu krople. Pożoga szalejącą na Pokładach 23 i 24 zamieniła się w istne piekło i spowodowała z kolei powstanie silnych prądów powietrza. Pod ich działaniem krople wydłużały się przypominając fantastyczne szklane ryby.

- Myślę, że zagnaliśmy Gigantów w ślepy zaułek, chłopcy! - krzyczał Hawl. - Jeszcze tego snu będziecie mieli dosyć krwi, aby napęlić nią wasze menażki!

Z wprawą rozciął następne przepierzenie, a otaczający go mężczyźni wydali okrzyk podniecenia. Niezmordowanie odwalali na bok metalowy złom.

Vyann nie mogła już dłużej patrzeć na Scoyta. Głębokich bruzd na jego twarzy, jeszcze wyraźniejszych w świetle latarek i ognia, nie zatarł nawet brak ciężenia. Wydawały się głębsze niż zwykle, dla Scoyta bowiem rozpad świata, w którym żył, był bardzo bolesnym doświadczeniem. W tym zamknął się jego nieustanny pościg za nieprzyjacielem, a w małym, szalonym Hawlu znalazł

swoje nowe wcielenie.

Głęboko zasmucona dziewczyna odwróciła się. Rozejrzała się za Tregonninem, ale nigdzie go nie było. Biegał pewnie rozpaczliwie po swoim pokoju; mały człowieczek, który znał prawdę nie mogąc nikomu jej przekazać. Trzeba było wracać do Roya Complaina. W swoim obecnym stanie uważała, że tylko jego twarz zachowała jeszcze cechy ludzkie. Wśród ogłuszającego huku, jaki wywołało demołowanie statku, uświadomiła sobie spokojnie, dlaczego kocha Complaina. Oboje o tym wiedzieli, chociaż żadne z nich tego nie mówiło, ale Complain zmienił się, a Vyann była jednocześnie świadkiem i przyczyną tej zmiany. Wielu ludzi zmieniło się w tym czasie, Scoyt również. Odrzucili wiekowe jarzmo przygnębienia i beznadziejności, podobnie jak to zrobił Complain, ale o ile inni zmieniali się na gorsze, metamorfoza Roya Complaina wzniosła go na wyższy poziom.

Pokłady 19 i 18 zatłoczone były ludźmi czekającymi na nieuchronny kataklizm, z którego niejasno zdawali sobie sprawę. Za nimi, jak stwierdziła przechodząc tamtędy Vyann, górne poziomy były całkowicie wyludnione. Chociaż ciemna sen-jawa już minęła, niezawodne dotychczas jak wschód słońca światła statku nie zapłonęły. Vyann zapaliła latarkę przy pasie, trzymając jednocześnie paralizator w rękę.

Na Pokładzie 15 zatrzymała się nagle.

Korytarz rozjaśniało delikatne, subtelne, różowe światło. Wydobywało się ono z jednego z otwartych włazów. Na oczach Vyann z włazu powoli i z trudem wygramolił się szczur. Musiano mu kiedyś przetrącić grzbiet i miał teraz przymocowane do tułowia coś w rodzaju sań, na których spoczywały jego tylne łapy. Przednimi podciągał się bardzo powoli i mozolnie, gdyż sanie wyraźnie hamowały jego marsz.

Jak długo jeszcze potrwa, zanim odkryją koło? - pomyślała ze zdziwieniem Vyann.

Natychmiast po zjawieniu się szczura nasiliło się bijące z włazu światło. Z otworu wystrzeliła kolumna ognia, po czym opadła nieco, aby po chwili znówu wyrosnąć. Przestraszona tym Vyann przyspieszyła kroku doganiając szczura, który spojrzał na nią przelotnie i obojętnie posuwał się dalej. wiadomość wspólnego z nim cierpienia osłabiła wstręt, jaki zwykle czuła do tych stworzeń. Ogień nie wywołał większego zainteresowania ze strony mieszkańców statku. Po raz pierwszy Vyann uświadomiła sobie, że może ich zupełnie zniszczyć, a tymczasem nikt nic nie robił, aby temu zapobiec. Pożar rozszerzał się między poziomami jak nowotwór i istniała obawa, że gdy wszyscy uświadomią sobie wreszcie związane z nim niebezpieczeństwo, będzie już za późno. Przyspieszyła kroku, zagryzając wargi i czując Pod stopami rozgrzewający się pokład.

Okaleczony szczur znajdujący się kilka kroków przed nią zakaszlał nagle i znieruchomiał.

- Vyann! - ozwał się za jej plecami jakiś głos.

Obróciła się jak spłoszona sarma.

Przed nią stał Gregg i chował paralizator. Idąc cicho tuż za nią korytarzem nie mógł oprzeć się chęci zabicia szczura. Z głową spowitą w bandażę zmienił się nie do poznania. Pozostałość jego lewego ramienia była także obandażowana i przywiązana do koszuli. W czerwieniącej ciemności widok jego nie budził zaufania.

Vyann nie mogła opanować dreszczu przerażenia. Gdyby z jakiegokolwiek powodu chciała

wezwać pomocy, nikt by jej w tym zapadłym kącie nie usłyszał.

Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia. Wśród zwojów bandażu dostrzegła jego wargi.

- Chciałbym z panią iść, inspektorze - powiedział spokojnie. - Szedłem za panią cały czas. Tam już nic po mnie.

- Dlaczego szedłeś za mną? - spytała cofając rękę.

Wydawało jej się, że pod maską bandażu widzi jego uśmiech.

- Coś jest nie w porządku - rzekł powoli cedząc słowa, a widząc, że dziewczyna go nie rozumie, dodał: - Mam na myśli statek. Koniec z nami. Gaszenie świateł. Czuję to w kościach... Pozwól mi iść ze sobą, Laur, jesteś tak... Och, chodźmy, robi się gorąco.

Bez słowa ruszyła naprzód. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale miała oczy pełne łez. Ostatecznie znaleźli się w tych samych tarapatach...

Podczas gdy Marapper rozpaczał nad zwłokami Zaca Deighta, Complain krążył po komorze powietrznej badając jej możliwości obronne. Jeżeli Giganci nadciągną z Ziemi w dużej liczbie, należy bronić tego miejsca. To było w tej chwili najważniejsze zadanie. W ścianie komory znajdowały się ściśle dopasowane drzwi prowadzące do jakiegoś przedpokoju. Complain otworzył je.

Przedpokój był małym, owalnym pomieszczeniem, z którego można było nadzorować akcję przebiegającą w komorze. Leżał tam na prymitywnej pryczy człowiek.

Był to Bob Fermour.

Z przerażeniem patrzył na swego byłego towarzysza, gdyż przez otwarty zawór powietrzny słyszał doskonale wszystko, co działo się po drugiej stronie drzwi. Delikatne przesłuchanie, jakiemu został poddany przez Scoyta i jego przyjaciół, przerwane wprawdzie przez gwałtowne wtargnięcie Gigantów, pozbawiło go jednak prawie całkowicie skóry na plecach, a także w znacznej mierze odporności psychicznej. Miał tutaj czekać na statek ratowniczy z Ziemi, podczas gdy jego wybawiciele wrócili do Curtisa. Był całkowicie przekonany, że za chwilę uda się w Długą Podróż.

- Roy, nie rób mi krzywdy! - błagał. - Powiem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć, zdradzę ci coś takiego, czego się nawet nie domyślasz. Wtedy nie będziesz chciał mnie zabijać!

- Nie mogę się tego wprost doczekać rzekł groźnie Complain - ale ty pójdziesz ze mną wprost do Rady, aby im to wszystko powiedzieć. Uważam, że to niebezpieczne samemu wysłuchiwać takich zwierzeń.

- Tylko nie w głąb statku! Roy, błagam cię! Mam tego już dosyć. Nie zniosę tego więcej!

- Wstawaj ! - powiedział ostro Complain. Chwycił Fermoura za rękę, ściągnął z posłania i wepchnął do komory. Następnie łagodnie kopnął Marappera w obfity kapłański tyłek.

- Powinieneś już dawno wyrosnąć z tych bzdur, kapłanie - powiedział. - Nie mamy czasu do stracenia. Musimy sprowadzić Scoyta, Gregga i wszystkich pozostałych na ten pokład, aby dokonać zmasowanego ataku, gdy tylko przybędą Giganci. Wydaje mi się, że jedyną szansą, jaka nam jeszcze pozostała, jest opanowanie ich statku, jak tylko się pojawią.

Czerwony na twarzy kapłan podniósł się z kolan i zaczął poprawiać płaszcz otrzepując się jednocześnie z kurzu. Cały czas manewrował tak, aby Complain znalazł się między nim a Fermourem, na którego patrzył jak na zjawę.

- Sądzę, że masz rację - rzekł zwracając się do Complaina - chociaż jako miłujący pokój człowiek bardzo boleję nad rozlewem krwi. Musimy błagać Świadomość, aby to była raczej ich krew niż nasza.

Pozostawiając starego radcę tam, gdzie upadł, wypchnęli Fermoura z komory na brudny korytarz i do włazu, którym przybyli. Po drodze usłyszeli jakiś szmer, który nasilał się w miarę, jak zbliżali się do włazu. Przy klapie zatrzymali się jak wryci. Pod ich nogami, tunelem inspekcyjnym gnały szczury. Ich oczy błyskały czerwono w świetle latarki Marappera, ale szczury ani na chwilę nie przerwały swego pochodu w stronę przedniej części statku. Małe i duże, brązowe, szare i brunatne, niektóre z przymocowanymi do grzbietu tłumokami, parły naprzód pędzone obłądnym strachem.

- Nie możemy tędy zejść! - rzekł Complain i na samą myśl, co by mogło wtedy nastąpić, poczuł skurcz żołądka.

Masa szczurów sunęła z ogromną determinacją i widać było, że nic nie jest w stanie jej zatrzymać. Można by sądzić, że będzie tak wiecznie płynąć pod ich nogami.

- Na statku musi się dziać coś strasznego! zawołał Fermour. W tej przerażającej, kosmatej rzece utonął cały jego strach przed tymi, którzy byli kiedyś jego przyjaciółmi. Okoliczności znowu ich łączyły.

- W szafce komory powietrznej - mówił dalej - znajduje się skrzynka z narzędziami. Powinna tam być piła tarczowa. Za jej pomocą możemy otworzyć sobie drogę do centralnej części statku!

Pobiegł z powrotem tędy, którędy przyszli, i wrócił po chwili a workiem, w którym coś grzechotało. Otworzył go szybko i wyciągnął ręczną atomową piłę z kolistym ostrzem. Na ich oczach z przeraźliwym zgrzytem narzędzie wycięło w ścianie duży, nieforemny otwór. Przedostali się przez niego z trudem kierując się instynktownie w stronę znanej im części pokładu. Ponownie usłyszeli dźwięk uderzeń, jakby nieregularne bicie serca. Sprawiało to takie wrażenie, jakby w czasie gdy przebywali w komorze powietrznej, statek nagle ożył. Niszczyciele Scoyta wyraźnie działali dalej... W miarę posuwania się naprzód powietrze coraz bardziej gęstniało, w ciemnościach snuł się dym. Jakiś znajomy głos wzywał Complaina.

Minęli zakręt i zobaczyli Vyamn i Gregga. Dziewczyna rzuciła się Complainowi na szyję.

Pospiesznie poinformował ją o aktualnej sytuacji, ona zaś opowiedziała mu o zniszczeniach dokonywanych na dwudziestych pokładach statku. Nie zdążyła jeszcze skończyć, gdy światło rozjarzyło się gwałtownie i zgasło. Pogasły także światła kontrolne, siła ciężenia przestała działać, a oni bezradnie zawisli w powietrzu.

Z głębi statku, jakby z płuc ogromnego wieloryba, wydobył się głuchy jęk i przetoczył po jego metalowych wnętrznościach. Po raz pierwszy poczuli, że cały statek drgnął.

- Statek jest skazany na zagładę! - krzyknął Fermour. - Ci durnie niszczą go dalej! Nie musicie już obawiać się Gigantów, kiedy się tu pojawiają, spełnią jedynie rolę ekipy ratunkowej poszukującej na wraku spalonych zwłok!

- Nikt nie odwiedzie Rogera Scoyta od zadania, którego się podjął - powiedziała ponuro

Vyann.

- Matko boska! - rzekł Complain. - Sytuacja jest beznadziejna!

- Nie ma nie beznadziejnego poza ludzkim przeznaczeniem - powiedział Marapper. - Według mnie najbezpieczniejsi będziemy w sterowni. Tam właśnie zamierzam się udać, jeżeli tylko utrzymam się na nogach.

- Dobry pomysł, kapłanie - rzekły Gregg. Mam dosyć podpalania. Dla Vyann też będzie to najbezpieczniejsze miejsce.

- Sterownia! - powtórzył Fermour. Ależ oczywiście...

Complain nie odezwał się. W milczeniu porzucił plan doprowadzenia Fermoura przed oblicze Rady, było już na to za późno. W tych warunkach nie istniała także nadzieja na odparcie Gigantów.

Niezdarnie i niesłuchanie powoli cała grupa pokonała odległość dziewięciu pokładów dzielących ich od owalnego pomieszczenia ze zniszczonymi sterami. Wdrapali się w kopcu z trudem po krętych schodach i przeleźli przez otwór zrobiony wcześniej przez Complaina i Vyann.

- To zabawne - rzekł Marapper. - Pięciu z nas wyruszyło z Kabin, aby dotrzeć do tego miejsca, a ostatecznie trzech z nas tego dokonało!

- Dużo nam z tego przyszło - powiedział Complain\_ - Do dziś nie wiem, dlaczego w ogóle poszedłem z tobą, kapłanie.

- Urodzeni przywódcy nie muszą takich spraw wyjaśniać - odparł skromnie Marapper.

- Ależ tak, właśnie tu jest nasze miejsce - powiedział podniecony Fermour. Oświetlił latarką całe pomieszczenie, oglądając stopione w jedną masę przyrządy. - Ale stery są dobre. Gdzieś tutaj znajduje się urządzenie, które zamyka wszystkie drzwi międzypokładowe. Są one wykonane z tego samego stopu co kadłub i dużo czasu upłynie, zanim ogień je ruszy. Jeżeli tylko uda mi się znaleźć to urządzenie...

Machnął piłą atomową dla podkreślenia tego, co miał zamiar zrobić, szukając jednocześnie pulpitu.

- Musimy uratować statek! - ciągnął dalej. - Istnieje szansa, że nam się to uda, jeżeli tylko przerwiemy łączność między pokładami.

- Niech szlag trafi statek! - powiedział Marapper. - Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko trzymać się razem, dopóki się stąd nie wydostaniemy.

- Nie wydostaniecie się stąd - rzekł Fermour. - Lepiej będzie, jeżeli sobie to w porę uświadomicie. Żadne z was nie dostanie się na Ziemię. Wasze miejsce jest na statku i tu musicie pozostać. To jest Podróż non stop, bez końca.

Complain odwrócił się gwałtownie.

- Dlaczego to mówisz? - zapytał głosem tak pełnym napięcia, że prawie go nie było słychać.

- To nie moja wina - rzekł pośpiesznie Fermour wietrząc niebezpieczeństwo. - Sytuacja jest niewątpliwie okropna i to dla każdego z nas. Statek znajduje się na orbicie okołoziemskiej i na niej musi pozostać. Tak brzmiało zarządzenie Rządu Światowego, gdy powołano Małego Psa do sprawowania kontroli nad statkiem.

Complain machnął gniewnie ręką.

- Dlaczego? - spytała błagalnie Vyann. Dlaczego statek musi tu zostać? To takie okrutne... Jesteśmy ludźmi z Ziemi. Ta straszna podwójna podróż na Procyona i z powrotem skończyła się, a myśmy w jakiś niezrozumiały sposób ją przetrwali. Czy nie powinni... och, ja nie wiem, co się dzieje na Ziemi, ale czy ludzie nie powinni być zadowoleni, że wróciliśmy? Szczęśliwi? Ożywieni?...

- Kiedy statek, Wielki Pies, jak go dowcipnie nazwano przez zabawną aluzję do konstelacji Małego Psa, do której został wysłany, wracając ostatecznie ze swej długiej podróży został wykryty przez teleskopy, każdy mieszkaniec Ziemi był, jak pani mówi, szczęśliwy, ożywiony, zadowolony - Fermour przerwał. Wszystko to zdarzyło się jeszcze przed jego urodzeniem, ale fakty znał dokładnie z opowiadań. Wysłano sygnały w kierunku statku - podjął ale pozostały one bez odpowiedzi. A jednak statek cały czas mknął w kierunku Ziemi. Było to zupełnie niewytłumaczalne. Wprawdzie wyszliśmy już z technologicznej ery naszej cywilizacji, ale szybko zbudowano fabryki i cała flotylla małych statków została wysłana na spotkanie Wielkiego Psa. Miały one ustalić, co się stało na pokładzie. Zrównano szybkość małych statków z prędkością tego kolosa, po czym ludzie weszli do środka. Odkryli... no tak, odkryli, że na statku w wyniku jakiejś dawnej katastrofy panuje Czarny Wiek.

- Dziewięciodniowa zaraza! - wyszeptała Vyann.

Zdziwiony, że ona wie, Fermour skinął głową.

- Nie można było pozwolić, aby statek leciał dalej - powiedział - gdyż w ten sposób mógłby pędzić wiecznie przez galaktyczną noc. Stery znalezione w tym samym stanie, w jakim je teraz widzicie - zniszczone, prawdopodobnie przez jakiegoś szaleńca, wiele pokoleń temu. Wyłączono siłę napędową u samego jej źródła, a statek wciągnięto na orbitę, przy czym małe statki wykorzystujące grawitację służyły jako holowniki.

- Ale czemu zostawiono nas na pokładzie? - rzekł Complain. - Dlaczego nie zabraliście nas na Ziemię, kiedy statek był już na orbicie? Laur ma rację, że to było okrutne, nieludzkie!

Fermour potrząsnął głową.

- To co nieludzkie było właśnie na statku - powiedział. - Otóż załoga, która przeżyła zarazę, uległa nieznacznej modyfikacji fizjologicznej. Nowe białko przenikając do każdej komórki przyspieszyło jej metabolizm. To przyspieszenie, początkowo niezauważalne, wzrastało z każdym pokoleniem i teraz żyjecie cztery razy szybciej, niż powinniście.

Gdy to mówił, ogarnęła go ogromna litość, ale ich twarze były nadal pełne niedowierzania.

- Kłamiesz, aby nas wystraszyć - rzekł Gregg, a jego oczy błyszczały pośród bandaży.

- Nie kłamię - powiedział Fermour. - Zamiast przewidzianych dla normalnego człowieka osiemdziesięciu - wasze życie trwa zaledwie dwadzieścia lat. Element przyspieszenia nie rozkłada się równomiernie na całe wasze życie. Rozwijacie się dużo szybciej jako dzieci i po w miarę normalnym okresie dojrzałości nagle przychodzi starość.

- Przecież my byśmy odkryli ten łajdacki spisek! - zawył Marapper.

- Nie - odparł Fermour. - Nie mogliście odkryć. Jakkolwiek jest wokół was pełno jego oznak, to jednak nie możecie ich dostrzec nie mając żadnego punktu odniesienia. Przyjęliście na

przykład za zjawisko naturalne fakt, że jedna sen-jawa na cztery jest ciemna. Żyjąc cztery razy szybciej nie mogliście zauważyć, że cztery wasze dni albo sen-jawy to w rzeczywistości jeden prawdziwy dzień. Kiedy statek był jeszcze pełnosprawny, w drodze na Procyona, od północy do godziny szóstej rano wygasało automatycznie światło. Miało to na celu wywołanie wrażenia, że zapadła noc, a także umożliwienie obsłudze dyskretnego dokonywania niezbędnych napraw. Ta krótka sześciogodzinna przerwa to dla was cały dzień.

Nagle zaczęli rozumieć. Dziwne, ale wydawało im się, że to zrozumienie nie przyszło z zewnątrz, że tkwiło w nich niby w jakiś mistyczny sposób uwięziona prawda. Fermour opanowało ogromne zadowolenie, że może im powiedzieć wszystko, co najgorsze. Że może to powiedzieć tym, którzy go torturowali. Pragnąc niezwłocznie dać im odczuć, jak mało są warci, ciągnąc dalej

- To dlatego my, prawdziwi Ziemianie, nazywamy was zawrotkami; po prostu żyjecie tak szybko, że przyprawiacie nas o zawrót głowy. Ale to jeszcze nie wszystko! Wyobraźcie sobie ten wielki statek funkcjonujący nadal automatycznie, pomimo że nikt nim nie steruje. Zaopatruje on was we wszystko, z wyjątkiem tego, w co was zaopatrzyć nie może: a więc świeżego powietrza, świeżych witamin i promieni słonecznych. Każde z waszych kolejnych pokoleń jest mniejsze. Natura sama reguluje te sprawy, a w tym wypadku po prostu wprowadziła oszczędności w tworzywie ludzkim. Inne elementy, jak na przykład krzyżowanie się wewnątrz pewnej zamkniętej społeczności, zmieniły was tak dalece, że ostatecznie uznaliśmy was za całkowicie odrębną rasę. Faktycznie jesteście tak idealnie zaadaptowani do waszego środowiska naturalnego, że wątpliwe, czy byście przeżyli przeniesienie na Ziemię!

Teraz wiedzieli już wszystko, okropna prawda dotarła do nich z całą jasnością. Fermour odwrócił się, aby nie patrzeć na ich oniemiałe twarze. Wstydił się swego triumfu. Zajął się metodycznym poszukiwaniem pulpitu sterowniczego. Znalazł go po chwili wśród głuchego milczenia i za pomocą piły zaczął usuwać szerniałą obudowę.

- A więc my nie jesteśmy ludźmi...! - zawołał Complain. Mówił właściwie tylko do siebie. - Powiedziałaś nam to wyraźnie. Nasze czyny, nadzieje, cierpienia, miłość... tego w ogóle nie było. Jesteśmy tylko małymi śmiesznymi nerwowo skaczącymi mechanicznymi zabawkami. Chemicznie napędzane lalki... O Boże!

Zamilkł i wtedy wszyscy usłyszeli dźwięk. Był to ten sam odgłos, który słyszeli w tunelu inspekcyjnym: miliony szczurów niepowstrzymanie gnających korytarzami statku.

- One idą do nas! - wrzasnął Fermour. - Nadchodzą! Znaleźliśmy się w ślepych zaułku! Zaleją nas! Rozszarpią na kawałki!

Gwałtownie oderwał gołymi rękami obudowę pulpitu i odrzucił za siebie. Spoczywały pod nią osiemdziesiąt cztery nie osłonięte niczym podwójne kable. Za pomocą piły Fermour pośpiesznie pospinał kolejno wszystkie kable parami. Błysnęły iskry i straszliwy odgłos zbliżającej się armii gryzoni ucichł raptownie. Pokłady zostały odcięte jeden od drugiego i wszystkie drzwi międzypokładowe na każdym poziomie zatrzasnęły się przerywając wszelką łączność.

Dyszząc ciężko Fermour oparł się o pulpit. Udało się, ale dosłownie w ostatniej chwili. Na myśl o tym, jak bliski był straszliwej śmierci, zaczął wymiotować na podłogę.

- Popatrz na niego, Roy! - krzyknął ironicznie Gregg wskazując zdrową ręką na Fermoura. - Mówiąc o nas nie miałeś racji! Jesteśmy równie dobrzy jak on, a nawet lepsi. On jest zupełnie



zielony ze strachu...

Zbliżał się do Fermoura z zaciśniętą pięścią. Marapper szedł tuż za nim wyciągając po drodze nóż.

- Ktoś musi zapłacić za to całe potworne zło - rzekł kapłan przez zaciśnięte zęby - i to właśnie ty, Fermour. Jako zapłata za cierpienia dwudziestu trzech pokoleń udasz się w Długą Podróż. To będzie ładny gest!

Fermour bezradnie wypuścił piłę z ręki nie usiłując się nawet bronić. Nie ruszał się, milczał, zupełnie jakby podzielał punkt widzenia kapłana. Marapper i Gregg zbliżali się do niego powolnym krokiem, a za nimi stali w bezruchu Complain i Vyann.

W momencie gdy Marapper uniósł w górę nóż, wielką kopułę, pod którą się znajdowali, wypełnił donośny szcęk. Zamknięte od czasu kapitana Gregory'ego Complaina żaluzje otworzyły się w niewyjaśniony sposób, odsłaniając ogromne okna. Trzy czwarte otaczającej ich kopuły zajmowała teraz panorama kosmosu. Spoza hysliny tungstenu patrzył na nich wszechświat. Po jednej stronie statku intensywnie płonęło słońce, po drugiej Ziemia i Księżyc przypominały rozżarzone kule.

- Jak to się stało? - spytała Vyann, gdy już zamilkły echa otwierających się żaluzji.

Rozejrzeli się niepewnie dokoła. Nic się nie poruszało.

Z głupią miną Marapper schował nóż do kieszeni. Widok był zbyt wspaniały, aby go brukać krwią; nawet Gregg odwrócił się od Fermoura. Światło słoneczne zalewało ich obezwładniającą powodzią. Wreszcie Fermour odzyskał głos.

- Wszystko będzie w porządku - rzekł spokojnie. - Nie bójcie się. Mały Pies przyśle statek, ogień zostanie ugaszony, szczury wytepione, wszystko uporządkowane. Otworzymy znowu drzwi na pokłady i będziecie mogli żyć jak dawniej.

- Nigdy! - powiedziała Vyann. - Niektórzy z nas poświęcili całe życie, aby wydostać się z tego grobowca. Prędzej umrzemy, niż zostaniemy tutaj.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł Fermour półgłosem, jakby do siebie. - Spodziewaliśmy się, że taki dzień nadejdzie. Już inni przed wami odkryli wiele tajemnic, ale zawsze udawało nam się w porę ich zmusić do milczenia. No cóż, może byście się nawet zaadaptowali na Ziemi, tak jak niektóre wasze dzieci, ale my zawsze...

- „My"! - zawołała Vyann. - Mówisz stale „my". Ale ty jesteś przecież Obcy, sojusznik Gigantów. Co się łączy z prawdziwymi Ziemianami?

Fermour roześmiał się, ale nie był to śmiech wesoły.

- Obcy i Giganci to właśnie prawdziwi Ziemianie - rzekł. - Gdy Wielki Pies został umieszczony na orbicie, my, to znaczy Ziemia, zdaliśmy sobie sprawę z ciężącej na nas odpowiedzialności. Potrzebowaliście przede wszystkim lekarzy i nauczycieli. Potrzebni byli duchowni do zwalczania okrutnych przesądów Nauki, która jednak mimo swego okrucieństwa pomogła wam w jakimś stopniu przetrwać. Istniały jednak trudności. Lekarze i inni ludzie nie mogli tak po prostu przedostać się przez komory powietrzne i przeniknąć między was, mimo iż dzięki kanałom inspekcyjnym i gęstwinie glonów było to możliwe. Musieli być najpierw szkoleni w Instytucie Małego Psa, aby potrafili poruszać się i mówić tak szybko, jak to tylko było możliwe, spać bardzo krótko, słowem żyć jak

zawrotki. Musieli także znosić okropny smród panujący na statku. Oczywiście mogli to być tylko wyjątkowo niscy ludzie, gdyż żadne z was nie ma więcej niż pięć stóp wzrostu. Wielu z nich znaliście i lubiliście, na przykład doktora Lindseya i malarza Mellera. Obaj byli Ziemianami żyjącymi w Kabinach. Byli Obcymi, a jednocześnie waszymi przyjaciółmi.

- A ty? - spytał Complain. Machnął ręką koło twarzy, usiłując odpędzić mola.

- Ja jestem antropologiem - powiedział Fermour - i poza swoimi badaniami zajmowałem się także szerzeniem wiedzy na statku. Przebywa nas tu więcej. Jest to jedyna w swoim rodzaju szansa zbadania mechanizmu działania zamkniętego środowiska na osobowość człowieka. Pozwoliło to znacznie bardziej rozszerzyć naszą wiedzę o człowieku i cywilizacji niż wielowiekowe badania na Ziemi.

Zac Deight był tutaj szefem wszystkich, jak ich nazywacie, Obcych. Zwykły okres przeznaczony na pracę w terenie wynosi u nas dwa lata. Mój pobyt dobiega końca, nie mogę zostać tu dłużej, muszę wracać do domu, pisać pracę o tym, jak byłem Obcym. Przebywanie w terenie przynosi wiele korzyści; jest wprawdzie uciążliwe, ale nie niebezpieczne, chyba że się wpadnie w ręce wyjątkowo sprytnych ludzi, takich jak Scoyt. Zac Deight kochał zawrotków... kochał was... Pozostał na statku o wiele dłużej, niż musiał, by walczyć o poprawę warunków bytu dla was, by sposób myślenia Dziobowców zbliżyć do normalnego. Miał w tym bardzo duże osiągnięcia, co sami zresztą możecie stwierdzić, porównując warunki panujące na Dziobie z warunkami, w jakich żyły szczepy z Bezdroży i Kabin. Zac Deight to był wspaniały człowiek. Humanista jak Schweitzer w dwudziestym i Turnbull w dwudziestym trzecim wieku. Możliwe, że jak tylko skończę swoją pracę, napiszę jego biografię.

Complain poczuł się niewyraźnie. Przypomniawszy sobie, jak wraz z Marapperem z zimną krwią zabili starego radcę.

- Czy Giganci to po prostu wysocy ludzie? spytał pragnąc zmienić temat.

- Nie wysocy, normalnego wzrostu - wyjaśnił Fermour - to znaczy sześć stóp i więcej. Do tego nie trzeba było dobierać specjalnie niskich ludzi; w przeciwieństwie do Obcych mieli nie być przez was widziani. Był to personel techniczny, który się tu znalazł, gdy statek był już na orbicie, i w tajemnicy zaczął go przystosowywać, tak aby stał się dla was wygodnym i odpowiednim miejscem do życia. Zapieczętowali stery, na wypadek gdyby ktoś je odkrył i chciał coś z nimi robić, bo chociaż zawsze staraliśmy się doprowadzić do waszej świadomości, że znajdujecie się na statku, na wypadek gdybyście mogli go opuścić, to jednak personel techniczny miał obowiązek niszczenia wszystkiego, czego wykrycie przez was mogłoby ich narazić na niebezpieczeństwo.

Ich praca miała jednak głównie charakter konserwatorski. Naprawiali wodociągi, przewody wentylacyjne, przecież pamiętasz, Roy, jak spotkałeś Jacka Randalla i Jocka Andrewsa, gdy usuwali powódź w basenie kąpielowym. Zabili mnóstwo szczurów, ale szczury były chytre. Wiele gatunków zmieniło się bardzo od czasu opuszczenia Procyona V. Teraz gdy większość szczurów znajduje się na Pokładzie 2, zlikwidujemy je za jednym zamachem.

Pierścienie, które nosimy my i tak zwani przez was Giganci, są odpowiednikami kluczy, używanych przez personel techniczny jeszcze wtedy, kiedy statek znajdował się na kursie. Klucze te i tunele inspekcyjne, którymi można było swobodnie wyjść, pozwalały nam z wami jakoś współżyć. Mieliśmy na statku tajną centralę, dokąd czasem można było się wymknąć, aby coś zjeść i wykapać się. Tam prawdopodobnie umiera teraz Curtis, o ile nie uratowało go zamknięcie pokładów.

Curtis nie jest typem człowieka, który odnosi sukcesy w pracy. Jest na to zbyt nerwowy. Pod jego kierownictwem osłabła dyscyplina i popełniono liczne błędy. Ten biedak, którego Gregg zranił włócznią i który miał przy sobie tę nieszczęsną spawarkę, pracował w Bezdrożach sam, zamiast we dwójkę, jak przewidują przepisy. Był to jeden z błędów Curtisa. Mimo wszystko mam nadzieję, że on się jakoś uratuje.

- To znaczy, że wyście się nami po prostu opiekowali! Nie chcieliście nas wystraszyć, co? - spytał Gregg.

- Oczywiście, że nie - odparł Fermour. Nasze przepisy wyraźnie zabraniają zabijania zawrotków. Nikt z nas nie nosi przy sobie broni. Legenda, że Obcy powstają samoistnie z resztek gnijących glonów, była tylko dziecinny przesądem zawrotków. Nie chcieliśmy was niepokoić, naszym zadaniem było nieść wam pomoc.

Gregg roześmiał się krótko.

- Rozumiem - powiedział. - Po prostu grono zacnych nianiek dla nas, biednych tumanów, co? Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, skurwysyny o wielkich sercach, że gdyście nas pieścili i prowadzili na nas te swoje badania, myśmy przeszli przez piekło? Popatrz na mnie! Popatrz na mego towarzysza Hawla i na tych biedaków, którzy mi podlegali! Nie zapominaj o tych, którzy byli tak zdeformowani, że natykając się na nich w Bezdrożach zabijaliśmy ich z litości! Policzmy: dwadzieścia trzy mniej siedem... Szesnastu pokoleniom pozwoliliście żyć i umierać tutaj, tak blisko Ziemi, pozwoliliście na to, abyśmy cierpieli wszystkie możliwe katusze, i jeszcze uważacie, żeście zasłużyli na medale? Daj mi ten nóż, Marapper, zaraz wyprujemy bebechy temu zasranemu bohaterowi!

- Źle mnie zrozumiałeś! - krzyknął Fermour. - Powiedz mu, Complain! Mówiłem, że wasze życie jest przyspieszone. Okres jednego waszego pokolenia jest tak krótki, że minęło ich dwadzieścia, zanim Wielki Pies został odkryty i umieszczony na orbicie. Przysięgam wam, że zasadniczy problem jest nieustannie badany w laboratorium Małego Psa. W każdej chwili mogą wynaleźć środek, który wstrzyknięty w żyły, przerwie obcy łańcuch peptydowy w waszych komórkach. Wtedy będziecie wolni. Nawet teraz...

Przerwał gwałtownie patrząc ze zdumieniem w jakiś punkt sterowni.

Wszyscy spojrzeli w tę samą stronę. Nawet Gregg się odwrócił. Z otworu znajdującego się w jednym z rozwalonych pulpityw wydobywała się w oslepiający blask słoneczny smuga dymu.

- Pożar! - krzyknął Fermour.

- Bzdural - rzekł Complain. Podeszedł bliżej do ciągle powiększającej się chmury. Uformowana była z tysięcy moli. Całymi chmurami wlatywały pod kopułę kierując się do słońca. Za pierwszymi falangami małych pojawiły się duże sztuki, przeciskające się z trudem przez niewielki otwór w pulpicie. Nieprzebrane roje, które leciały przed swymi szczurzymi sojusznikami, dostały się na teren sterowni, zanim gryzonie osiągnęły pokład. Nadlatywały teraz w stale wzrastającej liczbie. Marapper wyjął paralizator niszcząc je w miarę, jak się pojawiały.

Ogarnęło ich dziwne odurzające uczucie, z wirującej chmury mutantów emanowały jakieś nie dokończone fragmenty myśli. Oszołomiony Marapper przestał strzelać i owady pojawiły się znowu we wzrastającej liczbie. Gdzieś za płytami pulpityw sterowniczych rozległ się trzask wyładowania elektrycznego. Hordy moli zablokowały połączenia wywołując krótkie spięcie.

- Czy one mogą narobić jakiejś poważnej szkody? - spytała Vyann.

Complain potrząsnął głową dając jej tym samym do zrozumienia, że nie wie. Cały czas walczył z uczuciem, że ma głowę wypchaną watą.

- Statek się zbliża! - zawołał z ulgą Fermour wskazując na coś palcem. Maleńkie, na tle planety macierzystej, światełko pozornie prawie się nie ruszało.

Czując okropny zawrót głowy Vyann patrzyła na kadłub ich własnego statku, Wielkiego Psa. Z wysokości kopuły znakomicie było widać jego łukowaty grzbiet. Pod wpływem jakiegoś nieokreślonego impulsu odepchnęła się nogą i znalazła się bliżej szczytu kopuły, skąd widok był bardziej rozległy. Complain płynął obok niej. Po chwili uchwycili się jednej ze zwiniętych w rolkę żaluzji. Uświadomiła sobie nagle, że to mole musiały przypadkowo włączyć ich mechanizm, gdy gromadziły się za sterami. Teraz krążyły dokoła napawając ich nadzieją.

Vyann wyglądała tęsknie na zewnątrz. Widok planety był jak ból zęba, musiała zaraz odwrócić głowę.

- I pomyśleć, że oni tu przybywają aż z Ziemi tylko po to, aby nas na zawsze odciąć od słońca... - powiedziała.

- Nie zrobią tego... Nie mogą... - rzekł cicho Complain. - Fermour jest głupi, on nic nie wie. Kiedy tamci przybędą, Laur, zrozumieją, że zasłużyliśmy na wolność, na prawo do życia na Ziemi. Nie są przecież okrutni, inaczej nie zadawaliby sobie dla nas tyle trudu. Zrozumieją, że wolimy raczej tam umrzeć niż tu żyć.

Gdzieś z dołu doszedł ich huk eksplozji. Do pokoju wleciały kawałki metalowych płyt wraz z martwymi molami i dymem. Vyann i Complain spojrzeli w dół i zobaczyli, jak Gregg i Fermour odpływają w stronę ściany, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Kapłan podążał za nimi bardzo wolno, gdyż podmuch zarzucił mu płaszcz na głowę i krępował ruchy. Następny wybuch wypluł dalsze masy martwych moli, wśród których trzepotały się te, co pozostały przy życiu. Sterowni groził całkowity zalew moli. Po drugim wybuchu, gdzieś w głębi statku zaczął narastać grzmot, słyszalny nawet przez pozamykane drzwi, grzmot, który nasilał się symbolizując niejako wielowiekową agonię statku. Odgłos ten potęgował i Complain poczuł nagle, że całe jego ciało drży w tym samym rytmie.

Vyann bez słowa wyciągnęła rękę wskazując na zewnętrzną powłokę statku. Wzdłuż całego kadłuba pojawiły się poprzeczne szczeliny. Po czterystu pięćdziesięciu latach Wielki Pies rozpadał się, a grzmot, który słyszeli, był jego przedśmiertnym krzykiem, potężnym i pełnym patosu.

- To hamulec bezpieczeństwa! - krzyknął Fermour. Jego głos dobiegł ich jakby z oddali. - Mole uruchomiły hamulec bezpieczeństwa! Statek rozpada się na pojedyncze pokłady!

Było to jasne dla wszystkich. Szczeliny przecinające szlachetną linię grzbietu zmieniły się w wąwozy, które po chwili stały się fragmentami kosmosu. A potem nie było już statku, tylko osiemdziesiąt cztery jak gdyby wielkich monet, coraz mniejszych i mniejszych w miarę jak rozsypywały się w różne strony. Każda moneta był to pokład, odrębny zamknięty świat, niby korek na bezkresnym oceanie czerni żeglujący statecznie wokół Ziemi z przypadkowym ładunkiem ludzi, zwierząt i glonów.

Tego uszkodzenia nie sposób już było naprawić.

- Teraz już nie mają innego wyjścia, muszą nas zabrać na Ziemię - powiedziała słabym głosem

Vyann. Popatrzyła na Complaina usiłując po kobiecemu odgadnąć, co ich czeka. Próbowwała wyobrazić sobie wszystkie te trudności, jakie towarzyszyć będą ich przystosowywaniu się do zupełnie odmiennych warunków Ziemi. To tak jakby każdy z nas dopiero miał się urodzić, pomyślała patrząc z uśmiechem na całkiem już trzeźwą twarz Complaina.

Byli z tej samej gliny. Żadne z nich nigdy nie wiedziało dokładnie, czego naprawdę chce teraz wreszcie mieli okazję się przekonać.